

Przeszłość to mrok, od którego nie ma ucieczki.  
Czasem trzeba w niego wejść...

ANNA  
Klejzerowicz

STARA  
PAPIERNIA

Purple  
BOOK

ANNA  
Klejzerowicz

STARA  
PAPIERNIA

Purple  
BOOK  
WYDAWNICTWO

Copyright © for the Polish Edition by Purple Book Wydawnictwo, Warszawa 2022  
Copyright © by Anna Klejzerowicz, 2022

ISBN 978-83-8310-324-2

Purple Book Wydawnictwo  
ul. Hankiewicza 2  
02-103 Warszawa  
[facebook.com/purplebookwydawnictwo](https://facebook.com/purplebookwydawnictwo)  
[instagram.com/purple\\_book\\_wydawnictwo](https://instagram.com/purple_book_wydawnictwo)

Dyrektor Zarządzająca: Iga Rembiszewska  
Wydawca: Anna Kubalska  
Produkcja: Klaudia Lis  
Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska  
Digital i projekty specjalne: Tatiana Drózdź  
Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 601 457030), Beata Trochonowicz (tel. 506 622519)

Redakcja: Jolanta Kucharska  
Korekta: Beta Wójcik, Agnieszka Szmatoła  
Projekt okładki i stron tytułowych: Anna Slotorsz Zdjęcia na I stronie okładki: awakeaftermidnight/Shutterstock;  
DaMojo/Shutterstock; Valeriya Popova 22/Shutterstock; r.kathesi/Shutterstock  
Zdjęcie na IV stronie okładki z archiwum prywatnego autorki

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

# Spis treści

## Część I

Trzydzieści lat wcześniej  
Felicja. Ponad rok wcześniej. Wspomnienia  
Kryszewo, trzeci rok pandemii  
Greta  
Felicja  
Kryszewo, nazajutrz

## Część II

Kryszewo, obecnie  
Nazajutrz  
Następne dni  
Kryszewo, marzec  
Kryszewo, kwiecień  
Kryszewo, maj

## Część III

Kryszewo, maj, Felicja

## Epilog

*Dedykuję przyjaciołom i rodzinie*

*Zazdroszczę tej, co dzisiaj rano  
Mną była.*

(Juliusz Słowacki „Balladyna”)

*Rośnij kwiecie wysoko,  
Jak pan leży głęboko;  
Jak pan leży głęboko,  
Tak ty rośnij wysoko.*

Adam Mickiewicz, *Lilije*

*Życie jest tylko przechodnim półcieniem,  
Nędznym aktorem, który swoją rolę  
Przez parę godzin wygrawszy na scenie  
W nicość przepada – powieściq idioty,  
Głośną, wrzaskliwą, a nic nie znaczącą.*

William Szekspir, *Makbet*

# CZĘŚĆ I

## *Trzydzieści lat wcześniej*

W mroku czuł się bezpiecznie, jak nocne zwierzę. Sprzyjał mu, otulał go i chronił przed jedynym wrogiem, którego musiał się obawiać: przed człowiekiem. Stanął pod drzewem, bo mżyło, wyjął z kieszeni papierośnicę z monogramem i zapalił. Błysk ognia wykrzesanego z eleganckiej srebrnej zapalniczki rozświetlił na moment czerń, wydobyl zarysy torów i obmurowania, przy którym rosły stare lipy, i padł na sygnet, a ten odbił światło, jakby mrugnął porozumiewawczo.

Mężczyzna uśmiechnął się z zadowoleniem, dumny z siebie. Wybił się. Był kimś. Był kimś lepszym od innych. Wybrańcem. Miał pieniądze, władzę, do niego należała przyszłość. Nie tylko własna, ale także innych ludzi, w ten czy inny sposób od niego zależnych. Dlatego był teraz w tym miejscu. Czekał.

Prywatny samochód zostawił po drugiej stronie dogorywającej stacji kolejowej. Lepiej, żeby nikt go tutaj nie zobaczył, nawet jeśli psia pogoda i tak nie zachęcała do spacerów. Nigdy nic nie wiadomo. Czasem jakiś pijak wracający z knajpy mógł spowodować kłopoty. Wszyscy go tutaj znali, nie był anonimowy. Wiedział, jak szybko rozchodzą się plotki, wołał dmuchać na zimne. Nie lubił korzyć się przed nikim. Tłumaczyć. Był panem, królem życia.

W jego żyłach buzowały wypite podczas wystawnej kolacji drinki, w głowie odrobinę szumiało. Ale nie upił się jak świnia, był to raczej przyjemny stan lekkiej ekscytacji. Normalny i nawet pożądany w jego branży, dodawał sił, umacniał samozadowolenie. Lekko zniecierpliwiony zerknął na podświetlony zegarek, równie drogi i markowy jak zapalniczka, papierośnica czy sygnet. Osoba, z którą się tu umówił, spóźniła się. Spotkanie miało się odbyć jak zwykle w nieczynnej piarni, od mniej więcej roku formalnie należącej do jego przedsiębiorstwa. Lecz by stąd do niej dotrzeć, trzeba przejść przez nieużytki rozciągające się tuż za torami. Nieoświetlone, błotniste, pełne wertepów, porośnięte chwastami. Nikt tam samotnie nie chodził. Okolice piarni – podobnie jak budynek – budziły w ludziach strach. Ale nie w nim. Od początku stara piarnia stała się jego drugim domem. Drogi też się nie obawiał, w końcu znał tutejsze ścieżki na pamięć, korzystał z nich, gdy chciał być niezauważony. Kiedyś zbuduje tam nowy dojazd i duży parking, ale bez pośpiechu. Teraz te bezdroża były przydatne. Buty co najwyżej pobrudzi, wprawdzie sporo kosztowały, ale miał ich kilka par. Musiał dziś załatwić definitywnie tę sprawę, by iść naprzód. Nie potrzebuje więcej problemów. Nikt nie ma prawa narzucać mu czegokolwiek, dyktować warunków. Ktoś się przeliczył. Czas pozbyć się zbędnych obciążeń. Skończyć z tym.

W skórzanej torbie na ramieniu spoczywał telefon komórkowy, kolejny przedmiot dumy – jego firma jako jedna z pierwszych w kraju miała je na wyposażeniu. Wyjął go teraz, czule pieszcząc dłońmi znajome kształty. Wysunął antenę, lecz aparat zaszyfrował brak zasięgu. „Nic dziwnego przy tej pogodzie”, pomyślał z niesmakiem. Wyłączył urządzenie i włożył je z powrotem do torby. Zapalił następnego papierosa, kilka razy zaciągając się głęboko i nasłuchując w ciemnościach. Zadrzał, gdy w górze poderwał się do lotu jakiś ptak. Gdzieś po drugiej stronie torów coś stuknęło... zapewne zwierzę buszuje w śmieciach. Od strony głównej ulicy miasteczka dobiegł go dźwięk silnika auta, który po chwili oddalił się i ucichł.

Niemal w tym samym momencie usłyszał szelest, kilka zimnych kropli spadło z drzewa wprost na dopalającego się papierosa, gasząc go w ułamku sekundy. Ciemność wokół zgęstniała. Zaklął pod nosem, a wtedy jego mózg, zamroczony oparami wilgotnej mgły unoszącej się nad mokrą ziemią oraz resztkami alkoholu, zarejestrował odgłos kroków.

Ale to nie była jedna osoba...



## FELICJA

### *Ponad rok wcześniej* *Wspomnienia*

Greta nie wierzyła, że to zrobię, że zrezygnuję ze stanowiska rzeczniczki prasowej gminy, porzucę Kryszewo, a wraz z nim swoje dotychczasowe życie. A przecież już nieraz to robiłam, przeniosłam się przecież przed kilkoma laty z Trójmiasta na prowincję. Może nie dotarło do niej znaczenie tej zmiany, a może nie chciała uwierzyć w moją determinację. Alła ja już tak mam. Gdy w pewnym momencie podejmuję decyzję – kiedy czuję, że muszę – trwam przy niej. A wtedy dusiłam się w Kryszewie. Mogę siedzieć gdzieś na tyłku przez wieki, dopóki nie wezwie mnie zew, a on jest jak nakaz. Wtedy zostawiam wszystko za sobą i zaczynam od nowa. Nie miałam zresztą czego zostawiać. Po śmierci Sebastiana byłam jak pęknięta wydmuszka. Krucha i pusta. Musiałam ją jakoś posklejać i czymś wypełnić. Ale nie tutaj, gdzie wszędzie widziałam nasze cienie. Nie, to nie była ucieczka, raczej świadome wycofanie się, choć nie miałam zielonego pojęcia, co zrobię, dokąd się udam. Pomógł mi przypadek, a raczej kilka przypadków.

Gdy Kaśka, moja asystentka i następczyni, zajmowała się portalem, marnotrawiłam czas, oglądając od niechcenia jakieś filmiki w Internecie. Tam po raz pierwszy usłyszałam o życiu w samochodzie, tak zwanym *van life*. Uznałam, że to coś dla mnie, jako że nie przywiązuję się ani do miejsc, ani do ludzi. Kiedy jeden jedyny raz zdarzyło mi się naruszyć tę żelazną zasadę, skończyło się to fatalnie dla mnie, dla niego, dla innych. A życie w drodze byłoby symbolicznym spełnieniem. Myśl zakiełkowała i zakwitła, a ja pielęgnowałam ją wprawdzie ukradkiem, lecz konsekwentnie.

Los chciał, że w tym samym czasie, z polecenia znajomego fotoreportera, zaproponowało mi współpracę pewne amerykańskie czasopismo zajmujące się, ogólnie rzecz biorąc, folklorem i kulturą regionów Europy. Z głupia frant zapytałam, czy byliby zainteresowani reportażami z podróży. Owszem, byliby. I w tym momencie sprawa została już w zasadzie przesądzona. Sprzedałam za bezcen moją wysłużoną dryndę. Zaczęłam szukać kampera...

Wszystko robiłam po amatorsku, na wyczucie. Nie zamierzałam nawiązywać kontaktów z kamperowcami, nie interesowało mnie to środowisko jako takie. Chciałam ruszyć przed siebie. Jak najszybciej. Kupiłam więc vana, którego znalazłam w ogłoszeniach w sieci i na którego było mnie stać z pieniędzy uciulanych przez lata pracy, a także kwoty, którą uzbieraliśmy z Sebastianem na nasz ślub i wspólną przyszłość. Myślałam, że w pewnym sensie on będzie tam razem ze mną. W tym aucie. Samochód sprzedawała para emerytów, ludzi po siedemdziesiątce, pasjonatów, byłych hipisów. Podobno nie tyle rezygnowali z karawangu, ile raczej zdecydowali się zmienić auto na większy, wygodniejszy w ich wieku model. Podczas załatwiania formalności zwierzyli mi się, że ten styl życia wchodzi w krew, i jeśli o nich chodzi, to zapewne umrą w podróży. Kiedyś, bo świetnie się trzymali. Jeszcze bardziej mnie to nakręciło. Decyzji zakupu, być może pochopnej, ponieważ samochód – ford transit – okazał się ostatecznie do remontu, nie żałuję do dziś. Mimo wszystko spełnił moje oczekiwania: sprawdził się, dla mnie był w sam raz, niczego mi nie brakowało. Choć gdyby nie Ryba, który z zaciśniętymi ustami, lecz lojalnie, pomógł mi z remontem, nie wiem, czy w ogóle wyruszyłabym w tę trasę.

– Po co ci to, Felicja?! – napadła na mnie Greta, moja najlepsza przyjaciółka, której zawdzięczam wiele i dlatego na wiele jej pozwalałam. – Zastanów się! Pomału zbliżasz się do pięćdziesiątki. Nie jesteś już młódka, wariatko. Samotne życie w jakimś... cholernym samochodzie?! Na dodatek zimą! Ty, lalunia z miasta, wychuchana panienka z wyższych sfer? Nie mogłabyś zaczekać przynajmniej do lata? Przemysł to jeszcze. Niby czego się spodziewasz po tej eskapadzie?

– Gretka, daj mi święty spokój, pozwól żyć po swojemu, dobrze? Nigdy nie byłam lalunią, i doskonale o tym wiesz.

Machnęła ręką.

– Ale to wcale nie jest po twojemu!

– Niby dlaczego? I, kurde, nie wypominaj mi wieku – ciągnęłam. – Ty, zdaje się, już przekroczyłaś sześćdziesiątkę, co nie? Cicho siedź! – dodałam, bo już otwierała gębę. – Wyglądasz świetnie, trzymasz się świetnie, rozności cię energia za dziesięć, rzucaś się co chwile z motyką na słońce. Masz ze stu wielbicieli, wciąż z nimi byś romansowała, gdybyś nie uwielbiała męża, którego złapałaś raptem parę

lat temu. Sama widzisz. Wiek cię przed niczym nie powstrzymuje. A ja nie wiem, co jest „po mojemu”. Chcę się przekonać. Czego się spodziewam? Zmiany. Potrzebuję jej w tej chwili jak tlenu.

– Gonisz za cieniami...

– Cienie są tutaj – odparłam. – Właśnie tutaj. I niech tu zostaną.

– Więc przed nimi uciekasz. A ucieczka nigdy nie była w twoim stylu. – Greta była uparta, nie odpuszczała.

– Kiedy ja wcale nie uciekam. Chcę spróbować czegoś całkiem nowego. Zostawić za sobą... mrok, w którym zaczynałam się pograżać. Rozumiesz? – Broniłam się, jak umiałam, choć tak naprawdę nie byłam pewna, co mną kieruje.

Na szczęście Greta chyba pojęła wreszcie, że przegrała. Że i tak zrobię, co postanowiłam, a powstrzymywanie mnie może tylko pogorszyć sytuację.

– Okej. Rozumiem. – Ustąpiła wreszcie. – Więc jedź po to swoje wyzwolenie, może gdzieś w drodze uda ci się je dogonić. Tylko nie trać z nami kontaktu. Będziemy tu na ciebie czekać, pamiętaj o tym...

Kazałam jej spieprzać, zanim obie się popłaczą jak dwie durne pensjonarki. Wyruszyłam następnego dnia po zdaniu ostatnich spraw Kasi, która przejęta rolą, lekko spanikowana uściskała mnie, szepcząc do ucha, że ona i tak chwilowo mnie zastępuje. Za towarzysza miałam jedynie Burego – kochane wierne psisko, które adoptowaliśmy wspólnie z Sebastianem. Imię otrzymał ponoć od „wiejskiego burka”, choć jest rudy, co budzi wieczne kontrowersje, jak się z czasem okazało, nie tylko w Polsce. Obcokrajowcom nawet trudniej przychodziło wyjaśnić genezę jego imienia.

Zebrałi się w trójkę: obie dziewczyny i Zygmunt Ryba, by pomachać nam na pożegnanie. Greta nawet chusteczką. Serio. Po drodze zatrzymałam się na noc u rodziców. Nie do końca zdradziłam im swoje plany, bo i tak by nie zrozumieli, o co chodzi. Powiedziłam tylko, że jadę do pracy dla tej „cudzoziemskiej” – jak mówi matka – gazety. W pewnym sensie była to prawda. Ojciec przyjął informację ze stoickim spokojem, mama – jak zwykle – z paniką. Teraz nagle doceniła mój etat w „prowincjonalnej” gazetce: tutaj miała mnie przynajmniej pod ręką.

Tak zaczęła się moja przygoda...

Pierwsza trasa prowadziła do Chorwacji, gdzie miałam zrobić banalny reportaż jeszcze przed sezonem turystycznym. Miałam naświetlić temat raczej z perspektywy mieszkańców. Na początek, żebym się wdrożyła, tak umówiłam się z moją nową redakcją, potem dadzą mi coś bardziej ambitnego. W kamperze od razu poczułam się jak w domu, a nawet lepiej, bo prawdziwego domu nigdy nie miałam, może z wyjątkiem dzieciństwa – choć w tym akurat nigdy nie czułam się zbyt dobrze. Po prostu od dziecka uchodziłam za czarną owcę w „pryzwoitej” rodzinie. Pewnie dlatego ten wysłuchony van był pierwszym moim własnym, przeze mnie wybranym prawdziwym domem. O dziwo, Bury również doskonale się w nim zaaklimatyzował, zresztą zawsze lubił jeździć autem.

Spodobała mi się ta zimowa jazda przed siebie, czasem w śnieżyca, czasem w deszczu, bez pośpiechu, bez obciążeń, jakby w oderwaniu od znanego mi do tej pory uporządkowanej (przez system, nie przeze mnie) rzeczywistości. Nocowaliśmy zazwyczaj na specjalnie do tego celu wyznaczonych parkingach albo na dziko, gdyż większość kempingów była jeszcze nieczynna. Mój nowy domek na kółkach miał wprawdzie niewielkie rozmiary, lecz dzięki zapobiegliwości poprzednich właścicieli było w nim wszystko, czego potrzebowałam, mogłam więc z niego właściwie nie wychodzić. Nawet gotowałam sobie, bo pies posiadał zapas własnej karmy, i po raz pierwszy w życiu zaczęło mi to sprawiać przyjemność. Wcześniej nie lubiłam tracić czasu na przygotowywanie posiłków: za dużo spraw miałam na głowie i w głowie, za wiele natrętnych myśli, które wolałam zagłuszyć w nieustającej „akcji”.

Z nostalgii wspominał ten pierwszy etap naszej podróży. Nikt mi nie przeszkadzał, nie narzucał się, nie zmuszał do udawania, myślenia czy rozmów. Polubiłam samotność, Bury jako towarzysz w zupełności mi wystarczył. Odżyłam. Nowe doświadczenie podziało na mnie odświeżająco.

Chorwacja również mnie zachwyciła. I klimat, i krajobrazy, i ludzie. No i żarcie, bo z racji tematu musiałam się nim też zainteresować. Greta byłaby zachwycona, ona kocha morskie pędaki! Do tej pory żywiłam się głównie serkiem homogenizowanym, sucharami i herbatą, a teraz – tutaj – rozumiałam jej nieustanny zachwyty. Spędziliśmy tam mniej więcej dwa tygodnie, Bury wybiegał się i odmłodził. Przygotowałam całkiem niezły materiał, mnóstwo zdjęć. Szefowa była zadowolona do tego stopnia, że zażyczyła sobie podobnego reportażu z Grecji. Ruszyliśmy więc w dalszą trasę – przez Albanię.

Wcześniej przebakiwano już w mediach o dziwnym wirusie z Chin, ale niespecjalnie się tym interesowałam: przecież tyle było innych przed nim... Te wszystkie świńskie czy ptasie grypy uznawałam za coś w rodzaju mitu – jeśli nie kitu – za objaw ludzkiej paranoi, a w najlepszym wypadku za zasłużoną karę wymierzoną ludzkości przez zmaltretowaną naturę. Tymczasem w marcu Światowa Organizacja

Zdrowia oficjalnie ogłosiła pandemię COVID-19, która uziemiła nas właśnie w Albanii. Kraju raczej brzydkim i nieciekawym w moim ówczesnym mniemaniu, obserwowanym głównie przez okna samochodu, pełnym brudnych miast i surowych ludzi. Jeszcze brzydszy wydał mi się, gdy wprowadzono tam stan klęski żywiołowej: reżim sanitarny graniczący z oblędem, godzina policyjna w miastach oraz wiele innych męczących ograniczeń, włącznie z zamknięciem granic. Wszędzie wojsko i policja, przynajmniej w pierwszym okresie lockdownu. Mundurowi mogli wobec opornych używać przemocy, lepiej więc było stosować się do nakazów.

Poczułam się jak w pułapce, ogarnęła mnie frustracja, w dodatku przepędzano nas z miejsca na miejsce i ustawicznie kontrolowano. Zaczęłam szukać jakiegoś cichego miejsca, gdzie moglibyśmy w miarę bezboleśnie przetrwać to szaleństwo. Wtedy jeszcze wydawało się, że i ta epidemia szybko się skończy i wkrótce wszystkim wróci do normy. Posłuchałam rady tubylców, by udać się na Riwierę Albańską w południowej Albanii, na wybrzeże Adriatyku, gdzie panuje względny spokój, jest raczej dziko, ciepło i podobno ładnie, a na turystów patrzą przychylnym okiem.

Pojechaliśmy najpierw do Wlory, nadmorskiego miasta, a potem kilkanaście kilometrów do miejscowości Zverec nad zatoką Narta. Tam dowiedziałam się, że niedaleko znajduje się dzika plaża, na której mogłabym przeczekać to pandemionium. Podobno nie będę pierwsza, ale miejsca nie zabraknie. Po przejechaniu kilku kilometrów kiepską, pokrytą koleinami żwirową drogą dotarliśmy do... raj. Gdybym miała wyobrazić sobie mityczny raj, to właśnie tak by wyglądał. Plaża jak z obrazka: smaragdowa laguna pod błękitnym niebem otoczona piaskiem, a całość zamknięta pierścieniem żółtych skał, które w promieniach słońca przybierały złotą barwę. Szum fal, cisza, czasem tylko krzyk ptactwa krążącego nad wodą, no i ten kojący spokój nieujarzmionej przez człowieka natury, choć rzeczywiście nie byłam tam sama, bo, oprócz paru samochodów miejscowych rybaków, przy skałkach zatrzymał się drugi kamper. Odległości od innych pojazdów były jednak na tyle duże, że zupełnie mi to nie przeszkadzało.

Postanowiłam, że zostaję i że nie dam się stąd wypędzić za żadne skarby. Bury też wyglądał na uszczęśliwionego, hasał po plaży jak szczeniak, brodząc w płytkiej wodzie, z nosem uwalanym w piasek, uśmiechnięty od ucha do ucha. Głębiej nie wchodził, zresztą nie pozwoliłabym mu na to. Uprzedzono mnie, żeby nawet latem nie ryzykować w tym miejscu kąpeli, ponieważ w lagunie występują niebezpieczne prądy morskie. „No i git”, pomyślałam. „Nie musimy się tu kąpać”. Zresztą nie było jeszcze na tyle ciepło, by odczuwać potrzebę pluskania się w morzu. Przyjdzie czas, to pojedziemy popływać gdzie indziej. Są przecież w okolicy miejsca przeznaczone do kąpeli.

Nigdy nie zapomnę pierwszej nocy na plaży, kiedy przyniósł mi się Sebastian. Był tutaj razem z nami, podziwialiśmy zachód słońca. Obudziłam się szczęśliwa. I tak zostało przez ponad dwa miesiące, które tam z Burem spędziliśmy. W tym czasie udało mi się zwiedzić stary zabytkowy monastyr na wyspie Zverec, zaprzyjaźnić się z albańskimi rybakami i z sympatycznym małżeństwem podróżników z Hiszpanii zamieszkujących sąsiedni kamper. Dwa razy widziałam brodzącą na płyciźnie charakterystyczne, bo białe flamingi. Na niezbędne zakupy jeździłam do Wlory, miasta leżącego nad dwoma morzami: Adriatykiem i Jońskim, pełnego białych domów, hoteli i pensjonatów. Prawdziwa bajka. Bajkowe życie w podłym czasie...

Pierwszego czerwca zostały otwarte lądowe przejścia graniczne z sąsiadami, między innymi z Grecją. Mogłam ruszać dalej, oczywiście po wykonaniu testu na obecność koronawirusa, który na szczęście dał wynik negatywny. Opuszczałam to miejsce z żalem, musiałam jednak kontynuować podróż, bo choć w trakcie pobytu w Albanii zrobiłam nadprogramowy materiał, to redakcja nalegała na ten grecki, wcześniej zaplanowany.

Grecję znałam, więc mniej mnie zauroczyła niż – o ironio – Albania, która początkowo wydawała mi się brzydka i nieprzyjazna. Teraz obiecałam sobie, że do niej wrócę, niech tylko skończy się ta cholerna pandemia. Tymczasem korzystając z poluzowania obostrzeń, pisałam reportaży między innymi w Atenach, Salonikach i Kawali, pstrykałam zdjęcia. Czas płynął, moje notowania w redakcji rosły. Otrzymałam kolejne zamówienia, tym razem we Włoszech, na Sycylii, potem w Turcji. Trochę się najeździłam. W Turcji poczułam się jak ryba w wodzie, zachwycała mnie i zaintrygowała swoimi kontrastami. Przebywałam tam nawet dłużej, niż to było potrzebne, ale tego nie żałuję. Niestety, doszło do kolejnej fali pandemii i zrobiło się trochę mniej miło, poza tym kończyła mi się kasa z oszczędności, a amerykańska gazeta aż tak dobrze nie płaciła, pomijając fakt, że nieregularnie.

Zastanawiałam się, jak przetrwać kolejny kryzys. Redakcja zleciła mi opracowanie czegoś w rodzaju miniprzewodnika do wydania specjalnego, opartego na moich materiałach z podróży. Mogłabym wracać do kraju, jednak nie ciągnęło mnie tam. Nie chciałam przebywać w miejscach zaludnionych, obawiałam się też, że się zarażę, choć udało mi się zaszczyćć w Grecji „służbowo” jako korespondentce prasowej. Uznałam, że mam okazję wrócić na moją ulubioną albańską plażę... zanim znów zamkną granice.

I tak zrobiłam. Tym razem już wiedziałam, gdzie się kierować. Naszą miejscówkę zastałam niezmienną. Wyglądała, jakbyśmy wyjechali stąd wczoraj, tyle że zamiast jednego kampera po sąsiedzku miałam dwa. Hiszpanie wyjechali, przybyli młodzi Anglicy, dwóch spokojnych brodatych facetów w busie, a także para około sześćdziesiątki ze Szwecji w aucie z dużą przyczepą kempingową, urządzoną jak lśniący czystością luksusowy apartament. Nie to co u mnie – wieczny rozgardiasz.

Najwyraźniej wszyscy mieli plan podobny do mojego, czyli przeczekać w tym sielankowym miejscu kolejny atak koronawirusa. Byli mili, nie sprawiali żadnych kłopotów, a razem było nam różniej. Czasem zapraszaliśmy się na piwo albo kawę, gawędziliśmy do późnej nocy, nawet wspólnie spędziliśmy święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Anglicy prowadzili podróżniczego bloga czy też raczej vloga. Namawiali mnie do tego i nawet przez chwilę się zastanawiałam, bo okazało się, że można w ten sposób całkiem nieźle zarobić. Szybko mi jednak przeszło. Nie jestem zbyt otwarta ani szczególnie gadatliwa, a kto chciałby oglądać i słuchać w sieci wynurzeń stukniętej baby w średnim wieku. I jeszczełożyć na to kasę...

W nowym roku wszystko się zmieniło, moi towarzysze wyjechali, zostaliśmy z Burem zupełnie sami. Wprawdzie regularnie odwiedzali mnie Albańczycy, z którymi zdążyłam się już całkiem dobrze poznać, mimo to zaczęłam coraz bardziej odczuwać samotność. Pracowałam dużo, by zabić czas i zarobić na chleb (czy może raczej na albańską pittę), ale dni się dłużyły, a noce stały bezsenne. Sama przed sobą nie chciałam przyznać, że tęsknię za krajem, zresztą nie wiem, czy tak było naprawdę, czy tylko po raz kolejny nie widziałam sensu w tym, co robię. Piękno krajobrazu przestało zachwycać, nastąpił presyt. Wracała depresja, by ponownie chwycić mnie w swoje drapieżne szpony. I coraz bardziej brakowało mi Sebastiana. Przestałam czuć obok siebie jego niematerialną, a bliską obecność. Tak jakby namacalnie się ode mnie oddalał, znikał, a wraz z nim i ja. Przynajmniej ta ważniejsza część mnie.

Coraz częściej zaczęłam sięgać po alkohol, coraz częściej też zdarzało mi się przeholować. Zaczęłam od lokalnego piwa, potem przerzuciłam się na greckie wina, których było tutaj do wyboru, do koloru, a skończyłam na rakiji z morwy. Tak się składa, że w Albanii alkoholu jest pod dostatkiem: można go kupić we wszelkich postaciach i gatunkach, a do tego bardzo tanio w każdym sklepie spożywczym. Korzystałam więc z tego ochoczo, próbując zabić niemoc i frustrację. Odpływałam. Pies wpatrywał się we mnie z wyrzutem, posmutniał.

Tamtego dnia, na dodatek w moje urodziny, gdy zapadał zmierzch, byłam już po dwóch czy trzech piwach. Siedziałam na piasku przed otwartym kamperem, w którym spał Bury, i otwierałam butelkę rakiji, gdy nagle śpiewnie rozzwoniła się moja komórka. Wystrząsła mnie. W pierwszej chwili nawet nie rozpoznałam dźwięku, tak się od niego odzwyczaiłam. Od dawna nikt do mnie nie telefonował. Z redakcją kontaktowałam się mailowo, a rodzice obrazili się i przestali do mnie dzwonić, czekali, aż sama to zrobię, co zdarzało mi się rzadko, bo zazwyczaj rozmowa i tak kończyła się kłótnią.

Zanim dobrnęłam do telefonu, zdążyłam zwalić się na tyłek ze stopnia wozu i obudzić psa, który wodził za mną zaniepokojonym wzrokiem. Biedne, wierne stworzenie, jedyna miłość w moim życiu – tylko on mi został. Gdyby i jego zabrakło, w ogóle nie miałabym po co budzić się rano. Rozczuliłam się. W stanie upojenia dość często mi się to zdarza. W końcu dopadłam aparatu i udało mi się odebrać. Na ekranie wyświetlił się jakiś numer, ale wzrok z lekka mi się już mącił, poza tym byłam zdenerwowana.

– Halo? – wybełkotałam niepewnie.

W odpowiedzi usłyszałam najpierw trzaski, a następnie znajomy głos, niesłyszany od miesięcy, bo choć miałyśmy stały kontakt, to z czasem niemal się urwał. Każda z nas żyła teraz innym życiem, no i... tak to bywa.

– Felicja, czy to ty? – Gretę rozpoznałam od razu, ale ona mnie chyba nie za bardzo.

– Ja, a kto? – Zapaliłam papierosa i pociągnęłam łyk z butelki.

– Nie byłam pewna. Dziwnie mówisz. Masz zachrypnięty głos...

– Jestem przeziębiona – odparłam.

– Ale chyba nie masz covida?

– Wal się. Chyba ty!

– No to super, bo...

– Stęskniliście się za mną? Raczej nie, bo dawno się nie odzywałaś!

– I vice versa – ucięła. – Ale fakt, stęskniliśmy się. I mam propozycję. Powiedz, co robisz, gdzie jesteś. Pracujesz?

– A bo co?

– Czy ty jesteś pijana, Felka?!

– Tylko nie Felka, dobrze?! Zwariowałaś, ja pijana?! W życiu! Odczep się. Chyba, kuźwa, ty! Jestem w Albanii, pracuję, to znaczy właśnie skończyłam i teraz odpoczywam. – Postawiłam się do

pionu, to znaczy usiadłam prosto i odstawiłam butelkę. – Czemu pytasz?

– Bo... – Usłyszałam w jej głosie wahanie. – Coś się wydarzyło w gminie. Sprawa dla ciebie. Powiem krótko, pomyśleliśmy, że może być do nas wróciła...

Zatkało mnie, odczułam to jak uderzenie. Cios był za szybko.

– Mowy nie ma! – wypaliłam bez zastanowienia. Co ona sobie myśli?! Dzwoni po dwóch miesiącach i wali prosto z mostu, jak gdyby nigdy nic. Nie pyta, co czuję. A czułam się zraniona, bunt we mnie narastał, alkohol tańczył we krwi.

– Ale posłuchaj, stara...

– Nie. Powiedziałam „nie”! Nie zrozumiałaś?

– Felicja!

– Coś jeszcze? Bo muszę wracać do pracy. Nie jesteś już moją szefową.

– Czuję, że coś jest z tobą nie tak – brnęła. – Martwię się. Proszę cię, wysłuchaj mnie chociaż...

Wkurzyłam się, choć w oczach poczułam łzy. Bury zaskomlał i wyszedł, by położyć się na moich kolanach. Znów to przekłete pijackie rozrzewnienie... Nie, do diabła. Dostyc tego!

– Nie mam czasu – walnęłam. – Może innym razem. – Jakoś się do tej pory nie martwiłaś. Bywaj, stara. – Rozłączyłam się i dopiero wtedy rozryczałam. Gdyby to nie były akurat moje urodziny! Niby nigdy nie przywiązywałam do tego wagi, ale mimo to w duchu spodziewałam się życzeń.

Chciałam pójść z Burem na wieczorny spacer brzegiem laguny, jednak skończyło się na obaleniu do dna butelki rakiji. Zasnęłam na plaży, a on mnie pilnował. Noc była chłodna: w końcu to zima, za dnia kilkanaście stopni, na słońcu odczuwalnie nawet więcej, ale w nocy zaledwie kilka. A ja miałam na sobie tylko dżinsy i bluzę z polaru. Chłód otępił mnie w końcu i obudził. Wstawał świt, z oddali pomachał do mnie któryś z rybaków, po czym wrócił do swojego zajęcia. Najwyraźniej wcześniej obserwował mnie z troską, jak już wiele razy bywało. Czasem budzili mnie z alkoholowych oparów, bojąc się, że zamarnę, przy okazji wysłuchując wianek, na szczęście po polsku, więc i tak nie rozumieli. Tym razem poczułam się głupio. Wstydziłam się siebie, swojego życia, zachowania, swoich od dawna niemytych włosów zwisających w smutnych strąkach, bo nie chciałam mi się ich nawet spaść. Co by pomyślał Sebastian, gdyby mnie taką zobaczył? Rozmowa z Gretą wydawała mi się teraz snem. Nie byłam pewna, czy wydarzyła się naprawdę, czy była jedynie wytworem mojej zamroczonej wódą imaginacji. Ostatecznie wróciliśmy z Burem do samochodu i spaliliśmy do południa...

Ostatni etap naszej podróży w czasie i przestrzeni – bo tak ją nazwałam – wspominam mgliście, lecz od tamtego momentu przestałam chłać. Podświadomie oczekiwałam kolejnego telefonu od Greta. Nie chciałam, żeby znowu przytąpała mnie w stanie wskazującym na spożycie. Ona jednak nie dzwoniła. Mijał dzień za dniem. Wszystkie zlewają mi się w pamięci w długą wzburzoną rzekę światła, mroku, lęku i nadziei. Wiem, że mogłam do niej zatelefonować, ale nie potrafiłam się na to zdobyć. Coś mnie blokowało, podejrzewam, że wtedy jeszcze nie myślałam normalnie, wciąż tkwiłam w tej dziwnej zapaści psychicznej.

Przypomniałam sobie natomiast, że jakiś czas temu dostałam maila od Kasi, w którym prosiła mnie o pomoc. Domyśliłam się, że chodzi o pomoc w pracy. Nie wnikałam, nie dopytywałam, zinterpretowałam to sobie jako próbę wkroczenia mnie na powrót w sprawy gminy. Odpisałam krótko, że mnie nikt nie pomagał, więc i ona sobie poradzi. Kończyłam wtedy artykuł dla amerykańskiego magazynu, miałam na głowie wybór dziesiątków zdjęć, podpisów, kłopoty z korektą (pisałam po angielsku). Nie miałam zamiaru wkleić się w cudze problemy, marzyłam tylko o tym, żeby zrobić swoje i... się napić. Kaśka już nie napisała. Teraz połączyłam jej wiadomość z tamtym telefonem od Greta, nie przypuszczając jednak, że...

Ale po kolei.

Doczekałam się. Greta zadzwoniła o świcie, kiedy jeszcze spałam, lecz już byłam wyczulona na dźwięk komórki, więc odebrałam natychmiast. Nie dała mi dojść do głosu. Płakała. Coś chaotycznie wyjaśniała, ale jej nie rozumiałam.

– Co się dzieje, Greta, do cholery? Czy możesz mówić wyraźniej? – zniecierpliwiałam się w końcu.

– Wracaj, musisz wrócić!

– Co się stało, gadaj normalnie!

Moja przyjaciółka rozkaszła się z emocji. Upłynęła dłuższa chwila, zanim była w stanie dokończyć urwaną myśl. Jednak gdy wróciła do rozmowy, jej głos brzmiał już normalnie i rzeczowo:

– Kaśka jest w szpitalu – oznajmiła. – Walczy o życie.

– Co?!

– Została napadnięta, poważnie ranna i leży nieprzytomna. Lekarze nadal nie wiedzą, czy przeżyje.

– W co wyście się...

– Daj spokój. Wszystko opowiem ci na miejscu. Tak, młoda wplątała się w aferę kryminalną. Bo chciała być taka jak ty, nie rozumiesz? Dorównać ci. Byłaś dla niej wzorem, bohaterką. Wmówiła sobie, że ona też może być dziennikarką śledczą. Ostrzegałam ją, ale mnie nie posłuchała.

Usiadłam na łóżku i zapaliłam papierosa. Bury przytulił się do mnie całym swoim kudłatym ciałem.

– Co to za afera?

– Morderstwo – odparła krótko. – Straszny syf. Nie mogę o tym gadać przez telefon. Sytuacja jest zbyt skomplikowana. Kaśka zostawiła swoje notatki, przejrzałam je, ale niewiele z tego rozumiem. Tylko ty możesz pomóc.

– A policja?

– Sama wiesz, jak jest...

Domyśliłam się, że chodzi o sprawę z tak zwanym drugim dnem, inaczej nie byłoby problemu.

– Kto się teraz zajmuje gazetą? – zapytałam.

– Nikt. Została zawieszona, portal też nie działa. Wrócisz?

– Dobra. Przemysłę to. Ale jeśli wrócę, zrobię to przede wszystkim dla Kasi. Niech się nie waży umierać!

Wyjechałam jeszcze tego samego popołudnia. Szczęśliwym trafem fala pandemii już opadła, granice otwarto, można było normalnie podróżować. Co mnie czeka w kraju, tego jeszcze nie wiedziałam.

Czułam jednak, że coś gorszego nawet od koronawirusa...

## *Kryszewo, trzeci rok pandemii*

– I się nie bałaś? – zapytała Greta, gdy skończyłam opowiadać.

– Ale czego?

– No, wiesz, sama w tym samochodzie, często na odludziu... Bury by cię przecież nie obronił.

– Nie doceniasz go. – Poglądałam psa tulącego się do mojej nogi. – Nie wiem tylko, przed czym miałby mnie bronić. Ani razu podczas tej podróży nie spotkałam się z agresją. Ludzie czasem bywają nachalni, dociekliwi, ale nic poważnego się nie wydarzyło. Poza tym wiesz, że potrafię bronić się sama. Skończyłam kurs samoobrony, no i miałam w samochodzie gaz łzawiący. Na wszelki wypadek.

– Wiem, wiem, że znasz sztuki walki... tym się zresztą pocieszałam. Bałam się o was, o ciebie i o Burego, naprawdę.

– Świat nie jest taki zły, Gretko. Tylko ci, którzy nim rządzą.

– Ludzie też nie anioły. A ty przez telefon brzmiałaś... zachowywałaś się dziwnie – dodała z wyrzutem.

Nie skomentowałam tego, bo po co, miała rację. Greta dołała mi kawy. Dotarłam do nich przed godziną. Dałam jej znać esemesem, że za chwilę będę razem z Burym. Czekala na mnie z kolacją mimo późnej pory. Przemek, jej mąż, już się położył spać – zazwyczaj o świcie wstaje do pracy w firmie. Jechałam dzień i noc, prawie się nie zatrzymując, z wyjątkiem dwóch godzin poświęconych po drodze na wykonanie testu antygenowego, bo na PCR zabrakło mi już czasu. Dzięki temu uniknę kwarantanny. A jednak nie czułam zmęczenia, adrenalina działała lepiej od kawy. Uściskaliśmy się z Gretą bez słowa i zapytałam o Kasię. Okazało się, że jej stan jest poważny, lecz stabilny, rokowania są dobre. To była dobra wiadomość na powitanie. Nadal jednak nie można z nią rozmawiać.

Zgodnie postanowiliśmy z Gretą najpierw coś zjeść, a dopiero po kolacji omówić wszystko. Gdy przyjechałam, miała już przygotowaną wielką tacę z kanapkami oraz miszkę smakołyków dla psa. Ale najpierw moja najlepsza i jedyna od lat przyjaciółka wyciągnęła ze mnie wspomnienia z „wojaży”, jak to nazwała. Potem przyniosła dzbanek mocnej kawy. Dla mnie (choć za kawą nie przepadam, teraz jednak była mi potrzebna), bo sama, ze względu na porę, popijała tylko herbatkę ziołową.

– Słyszałaś o tej młodej parze amerykańskich blogerów, którzy pozabijali się w podróży takim kamperem? – zapytała jeszcze.

Złapałam się za głowę.

– Rany, Greta! Jasne, że słyszałam, każdy chyba słyszał. Z tego co mi wiadomo, on ją zabił, a potem popełnił samobójstwo. Tam chodziło o przemoc domową, to były jeszcze dzieciaki. Co to ma ze mną wspólnego?

– Nic. – Wzruszyła ramionami. – Ale może taka izolacja od normalnego życia źle na ludzi działa?

– A co to niby jest „normalne życie”? To tak, jakbyś powiedziała, że jako ludzkość musimy zrezygnować z domów, bo w domach ludzie się nawzajem mordują. I to znacznie częściej niż w kamperach. Musielibyśmy chyba wracać do jaskiń. Ale zapewniam cię, że ludzie zabijają się wszędzie...

Spochmurniała.

– Tego nie musisz mi mówić. – Pokiwała głową. – Akurat coś o tym wiem.

– No właśnie – podchwyciłam. – Doszliśmy do sedna. Więc może opowiedz mi wreszcie wszystko po kolei.

– Zaraz cię na szybko we wszystko wprowadzę, tylko ustalmy szczegóły. Dziś oczywiście przenocujesz u nas. Jutro wracasz do siebie. Twoje poddasze czeka, ale gospodarze chcą tam jeszcze posprzątać. Ciesz się na twój powrót. Kaśka nie mieszkała tam, przychodziła do pracy, do biura. Swoją wóz, jeśli zechcesz, możesz zostawić tutaj, mamy jeszcze sporo miejsca w garażu. Twój etat jest wciąż aktualny, tak jak wcześniej obiecałam. Oficjalnie wracasz z bezpłatnego urlopu...

– Dobra, to nie jest najważniejsze, o tym możemy pogadać później – przerwałam jej. – Co do samochodu, zobaczymy. Czymś w końcu muszę jeździć.

Przypatrywała mi się z namysłem.

– Co jest? – zaniepokoiłam się.

– Nie, nic. Trochę się zmieniłaś. Jesteś jakby, nie wiem, spokojniejsza? Powiedz, spotkałaś tam... w drodze... swoje przeznaczenie?

– Nie jestem pewna, co masz na myśli. – Uśmiechnęłam się; jak ona dobrze mnie znała! – Ale chyba tak. Wiele zrozumiałam. A teraz opowiadaj...

## GRETA

Kurczę, nie wiem, od czego zacząć, to cholernie zagmatwana historia. Może od tego, że jakieś pół roku temu... Nie, nie od tego. Ta sprawa ma głębsze korzenie, więc cofnę się w czasie. Dość daleko, bo o trzydzieści lat. Chyba nawet dokładniej tyle. Pamiętasz na pewno te czasy, przemiana ustrojowa, początki kapitalizmu i III RP. Epoka bezbołowa, chaos i „dziki zachód” pomieszany z „dzikim wschodem”. Dużo się wtedy działo, głównie w polityce i biznesie, a często na styku tychże, a jak wiesz, na tych „stykach” aktywni byli i ówczesni, a także obecni politycy, i ci dawni, z PZPR, poza tym służby i gangsterzy. Oni się zresztą często mieszały. Uczciwym ludziom, którzy wtedy próbowali coś rozkręcać, system na to nie pozwalał. „Prawo” było dla swoich. Osobiście to przerobiłam w latach dziewięćdziesiątych, ale o tym już wiesz. Jednak tamci też nie zawsze dobrze na tym wychodzili. Zdarzało się nader często, że tracili swoje majątki równie szybko, jak się ich dorobili, a czasem też głowy...

To było ogólne tło, a teraz konkrety. Na terenie naszej gminy działali wtedy różni nowi biznesmeni, dorobkiewiczowie, szemrani przedsiębiorcy. Często wywodzili się z trzech środowisk: partyjnych lub ubeczkich albo z marginesu. Typy spod ciemnej gwiazdy, czyli z kryminalnego podziemia. Jak było z tym, o którym za chwilę, sama nie do końca wiem. Pochodził raczej z porządnej mieszczańskiej rodziny, przybyłej do nowej Polski gdzieś ze wschodu, zaraz po wojnie, on sam natomiast – tak przynajmniej plotkowano – sprzedał się komunie, wysługiwał partii, współpracował z bezpieką, był TW. Za PRL-u pracował w budownictwie, naturalnie w zakładach państwowych. Nazywał się Aleksander Żelazny. Gdy komuna upadła, szybko się odnalazł wśród nowych „elit”. Otworzył dużą prywatną firmę budowlaną, a nawet kilka – niby to odrębnych, w których prawie na pewno prał brudne pieniądze. Chodziły też słuchy, że handlował nielegalnie bursztynem albo go nawet wykopywał, nie jestem pewna. Skupywał zbankrutowane zakłady, budynki i grunty. Działal na granicy prawa, przynajmniej z pozoru, bo na żadnym przestępstwie oficjalnie nigdy go nie przyłapano. W każdym razie błyskawicznie się dorobił – jak na tamte czasy – fortuny. Nabył między innymi zamykany wówczas budynek starej piarni, coś tam chciał z nim robić, jakieś biura chyba, nie wiem. Obiekt miał kiepską opinię, bo gdy system padł, lokalni funkcjonariusze nocami palili w nim kompromitujące dokumenty i narkotyki, przede wszystkim marihuanę pochodzącą z konfiskaty. Na niby palili, oczywiście, bo nieoficjalnie handlowali nią na czarnym rynku. Jak już wspomniałam, dawne służby (nowe zresztą też) były umoczone w lewe interesy. Palili te rzeczy nawet wtedy, gdy Żelazny był już formalnym właścicielem piarni. Nic dziwnego, skoro on też w tym siedział. Niejedna mroczna tajemnica uleciała wtedy z dymem przez komin...

Żelazny miał rodzinę, żonę i dwoje wówczas nieletnich dzieci. Ta żona, na imię miała Sylwia, była piękną kobietą, to pamiętam. Ale raczej surową, to nie był typ słodkiej blondynki u boku bogatego samca. Zajmowała ważne stanowisko w jego firmie, miała też w niej udziały. I teraz uwaga. Pewnego dnia o poranku przechodnie zaalarmowali policję. A może była to wtedy jeszcze milicja? Nie, chyba jednak nie. Wydaje mi się, że działo się to w dziewięćdziesiątym drugim roku. A milicję przekształcono w policję w dziewięćdziesiątym. No więc zawiadomiono policję, że na torach leży rozkawałkowane ciało, najwyraźniej ofiara wypadku kolejowego. W tych latach nasza stacja kolejowa cienko przędła, wkrótce została zamknięta, ale pociągi towarowe i drezyny jechały z rzadka tu jeździły. Ciało zidentyfikowano jako zwłoki Aleksandra Żelaznego. Nieopodal zabezpieczono jego samochód, który był spalony, ale, o dziwo, cenne przedmioty, które w chwili wypadku miał przy sobie, pozostały nietknięte. Na przykład drogi telefon komórkowy, wiesz, to wielkie ustrojstwo z anteną, wtedy rzadkość, w skórzanym torbie. Postawiono trzy hipotezy: pierwszą był oczywiście nieszczęśliwy wypadek, facet miał trochę procentów we krwi, a wcześniej uczestniczył w uroczystej kolacji biznesowej w eleganckiej lokalnej knajpie, która już nie istnieje. Wyjaśnienie wygodne, gdyby nie fakt, że autopsja wykazała ponad wszelką wątpliwość wcześniejsze urazy zadane tępym narzędziem, co potwierdziły także ślady krwi poza torowiskiem. Wyglądało na to, że ktoś najpierw go zaatakował, a potem zawłókł jego ciało na tory, gdzie reszty dokonał pociąg, a maszynista nawet tego nie zauważył. Ta teoria jednak upadła. Drugą był rozbój. Wiadomo, też wygodny. No ale dziwny, skoro nie zrabowano cennych przedmiotów, choćby tego telefonu, złotego zegarka, wypchanego portfela, a auto stało dość daleko od prawdopodobnego miejsca zbrodni, na dzikim parkingu po przeciwnej stronie torów. Nieopodal piarni. Skąd niby złodzieje mieliby o tym wiedzieć?

Trzecią było morderstwo z premedytacją, a podejrzani różni: mafia, konkurencja, wspólnicy, a także żona. Żelazny ponoć zdradzał ją jawnie na prawo i lewo, a ona należała do tych, które nie pozwoliłyby wystawiać się na drwiny. Mogło tak być, bo był to znany dziwkarz. Niektórzy twierdzą, że w burdelach też miał swoje udziały, podobnie jak w handlu narkotykami. Tego jednak oficjalnie nie potwierdzono.



Ponadto od jakiegoś czasu spierali się z żoną o wizję firmy, jej udziały i stanowisko (a była jednym z prezesów). Możliwe, że kryła jakieś jego przekrety albo raczej nie chciała ich dłużej kryć.

Tak czy siak znakomicie im pasowała, więc na niej się skrupiło, choć po latach procesów poszlakowych w końcu została uniewinniona. Do dziś wielu uważa, że była winna, w tym jej syn mieszkający w Stanach. I do dziś nie wiadomo, jak było naprawdę. Mało tego, jakiś czas później ich córka – już dorosła – padła ofiarą kraksy drogowej, wraz z kierowcą i asystentem. Ona również pracowała w tej samej rodzinnej firmie, kierowca wcześniej był zatrudniony u jej ojca, podobnie jak asystent. Tam zresztą do dziś toczą się jakieś sprawy spadkowe i komornicze. Firma, po krótkim okresie zawirowań po śmierci Żelaznego, dalej niezłe prosperowała i się rozwijała, bo jak się okazało, Sylwia Żelazna miała nie tylko talent do biznesu, lecz także niezłe układy. O śmierć córki również ją obwiniano, ale oficjalnie śledztwo wykazało nieszczęśliwy wypadek...

Wracając do Sylwii Żelaznej. Przez trzydzieści lat żyła z piętnem morderczyni. Nikt tego oczywiście głośno nie powiedział, ale ludzie swoje myśleli i za plecami gadali. Zresztą nadal gadają. Wyrok uniewinniający nic nie znaczy, zwłaszcza tutaj, na prowincji, a wydaje mi się, że zarówno policja wtedy – albo inne służby – jak i dziennikarze, chętnie i celowo przykleili jej tę łatkę. Jawnie nie miał jej kto podskoczyć, nie te proggi. Jej firma – nazywa się Budomax – jest zbyt potężna. Budują osiedla domów, obiekty publiczne, sportowe, wypoczynkowe. Ale jak wiesz, plotka żyje własnym życiem. Uprzedzając twoje pytanie, nie mam swojego zdania w temacie. Nie znam ludzi. W tamtych czasach byłam plotką, oni byli na świeczniku. Nie miałam pojęcia o ich życiu prywatnym, znałam tylko plotki, tak jak każdy zwykły śmiertelnik. Nie wiem, czy mogła go zabić, moim zdaniem taka kobieta była do tego zdolna. To typ „władczyni”, ostrej, apodyktycznej, zdeterminowanej, nastawionej na zysk i skutecznej. Czy zabiła, to już całkiem inne pytanie. Nie do mnie.

A teraz przechodzę do sedna. Okazuje się, że pytanie jest nadal otwarte, ponieważ jakieś pół roku temu znaleziono Sylwię Żelazną martwą. Została zamordowana w okrutny sposób, we własnej rezydencji, tutaj, na wzgórzach Kryszewa. Od lat mieszkała sama, ale dom był zabezpieczony na wszelkie możliwe sposoby. A jednak. Dosłownie ją zmasakrowano. Policja stwierdziła, że zabójstwo wygląda na akt zemsty lub wyrok. Mordercy nie znaleziono, sprawę zamknięto. Wiem, że podejrzewali między innymi jej syna przebywającego w Stanach. Że mógł kogoś napuścić, wynająć. Ale bez dowodów mogą mu skoczyć. No i właśnie w tę paskudną aferę wkręciła się nasza Kaśka. Informacje, które ci tu przedstawiłam, pochodzą głównie z jej notatek, które oczywiście dostaniesz, i moich wspomnień.

Dlaczego tak mi na tej sprawie zależy? Po pierwsze, ze względu na nią. Na Kasię. To dziewczyna z sąsiedztwa. Nasza. O mały włos nie straciła życia. Została brutalnie napadnięta, gdy wracała z pracy, z naszego biura. Ktoś chciał ją zabić, ale nie udało mu się tylko dlatego, że bandziora – albo bandziorów – spłoszyli jacyś przechodnie. Po drugie, chyba sama rozumiesz. Naszą gminę znów okryła niesława. Inwestorzy się wycofują, nie chcą tu prowadzić działalności. Jeden przedsiębiorca, związany z gminą od wielu lat, zamierza przenieść siedzibę swojej firmy do sąsiedniej miejscowości. Może się boją. Może mają coś na sumieniu. Nie mogę do tego dopuścić, żeby za moich rządów gmina zbankrutowała. Po moim trupie!

## FELICJA

### *Kryszewo, luty*

– Ile lat miała Żelazna? – zapytałam, gdy Greta zamilkła.

Zastanawiała się przez chwilę, licząc w pamięci.

– Bo ja wiem, chyba około sześćdziesiątki – odpowiedziała z wahaniem, wzruszając ramionami. – Jej mąż zginął trzydzieści lat temu, musiała wtedy mieć przynajmniej trzydziestkę. Była mniej więcej w moim wieku, może trochę starsza. Ale wieku po niej byś nigdy nie odgadła. Aktywna do samego końca, stale nowe inwestycje, plany. Bardzo atrakcyjna babka, może i po liftingu, ale stać ją było na operacje plastyczne. Wyglądała najwyżej na cztery dychy.

– Więc może jakiś romans, odtrącony kochanek, zazdrość, coś w tym klimacie?

– Nie, nie sądzę. Zabójstwo było zbyt brutalne, sprofanowano ciało. Wygląda to na przemyślane działanie, nie w afekcie.

– Co to znaczy „sprofanowano”?

Greta rozlała do filiżanek Rosenthala resztki kawy.

– Zwłoki były rozebrane i upozowane, ubranie... bieliznę założyli jej na głowę, twarz wysmarowali krwią. Jej krwią. I na ścianie krwią wyrysowali literę „V”, tak to przynajmniej zinterpretowała policja. Że niby znak zwycięstwa.

– Ma to podtekst seksualny. To raczej nie syn, nawet skłócony z matką. Sprawdzali pod tym kątem? Ślady gwałtu?

– Nie, nic takiego. – Pokręciła głową.

– A w ogóle jakieś ślady? Odciski palców, ślady butów?

– Właśnie nie, policja nic nie znalazła. Wszystko starannie usunięto. Komplet informacji znajdziesz w notatkach Kaśki.

– Będę musiała porozmawiać z Rybą. Mam nadzieję, że jeszcze tutaj pracuje? – Gdy Greta potwierdziła skinieniem głowy, dodałam: – Okej, daj mi ten notes. Poczytam do poduszki.

– A właśnie. Czas się zdrzemnąć. Na pewno jesteś skonana, ja zresztą też. Pokój już dla ciebie przygotowałam, gościny, tutaj, na parterze...

Podczas gdy Greta szukała notatnika Kasi, zamyśliłam się, drapiąc za uchem Burego przysypiającego u moich stóp.

– A jej firma? – zapytałam, gdy weszła z powrotem do kuchni.

– Co firma? – Nie zrozumiała.

– Czy dalej działa? Ktoś ją odziedziczył? I ta papiernia...

– Aha, o to ci chodzi. – Pokiwała głową. – Na razie nie wiadomo, kto będzie dziedziczył. Sprawy spadkowe trwają, mówiłam ci. Jeszcze po nim, a teraz dojdzie jakiś jej testament. Ale firma działa, to w tej chwili wielkie przedsiębiorstwo. Z tego, co wiem, prowadzą ją jej wspólnicy. A papiernia ma nowego właściciela, odkupił ją wiele lat temu. Teraz jest tam muzeum. Chodź, zaprowadzę cię do twojej sypialni. To ten notatnik. – Podała mi oprawny w skóropodobną okładkę kalendarz. – Jutro do południa mam od cholery roboty, ale po południu, jak już się z powrotem rozlokujesz na swoim poddaszu, oprowadzę cię po miejscach związanych z tymi zabójstwami. Zobaczysz jej posesję, siedzibę firmy, pierwotną, bo teraz to filia. Główny budynek mają w Gdańsku. No i pójdziemy do tej starej papierni i tam, gdzie trzydzieści lat temu znaleźli jej męża. Czyli spacer śladami zbrodni – uśmiechnęła się smutno. – Bo pewnie nie wszystkie te miejsca znasz...

## Kryszewo, nazajutrz

Obudziłam się późno, południe dawno minęło. Zbudziło mnie miauczenie i syczenie kota, a raczej perskiej kocicy, wychuchanej Księżniczki, rozpieszczanej przez Pazików do granic możliwości. Nic dziwnego, wyrwali ją parę lat temu z chciwych pazurów pseudohodowcy. Syczała na Burego, który znosił fochy pięknej panny z właściwym sobie stoickim spokojem. Gospodarzy już nie było w domu, w kuchni znalazłam tylko kartkę od Grety z informacją, żebym zjadła śniadanie, które dla mnie przygotowała, nakarmiła kotkę, a klucz zostawiła u sąsiadów. Zaparzyłam kawę w ekspresie, wsunęłam z apetytem koreczki z łososiem, nakarmiłam oba zwierzaki, po czym wzięłam prysznic w luksusowej łazience i przebrałam się w czyste ciuchy. Wypadało jakoś wyglądać. Ogarnęłam swoje rzeczy i spakowałam je do plecaka, kładąc na wierzchu notatnik Kasi. Wczoraj nie byłam w stanie doczytać go do końca, zmorzył mnie sen. Przejrzę go w biurze.

Wreszcie opuściliśmy z Burym dom Grety, by wrócić – tylko na moment – do naszego kampera. Byłam ciekawa, czy psiak rozpozna nasze poddasze i w ogóle Kryszewo. Zrobiło mi się żal starego vana, ale przecież nie zamierzałam się go pozbywać. Zanim ruszyłam, odniosłam klucze do sąsiadki, która chyba na to czekała: powitała mnie wylewnie.

– Nareszcie pani wróciła, pani redaktor! – Prawie rzuciła mi się na szyję. – Bez pani to już nie było to samo miasteczko...

– Tak? A dlaczego?

Zmieszła się.

– Bo z pani taki egzotyczny ptak, pani Felicjo. Greta bardzo za panią tęskniła, zresztą jak my wszyscy. I nasza gazeta już przestała być taka poczytna jak za pani czasów, choć mała Kasia bardzo się starała. Naprawdę brakowało tu pani.

Nie wiem, czy mnie to tak do końca ucieszyło. Czuję się trochę skonsternowana.

„Chyba wygląda na to, że oni bardziej utożsamiają mnie z tym miejscem niż ja sama”, pomyślałam z zakłopotaniem.

Gdy podjechałam pod nasze biuro, czekała mnie podobna reakcja. Gospodarze już na nas czekali z ciepłym drożdżowym ciastem. W ogrodzie migotała pod śnieżnym puchem oświetlona choinka, a pani Maria wyściskała mnie ze łzami w oczach. Tym razem jednak i ja się wzruszyłam.

– Nasze poddasze było takie puste bez pani – powiedziała. – Cały nasz dom. Taki smutny! I bez Burego! Kochane psisko! Dla nas pani jak córka, pani Felu...

Tylko im – pocziwym starszym ludziom, którzy chyba nas pokochali – pozwalałam zdrabniać swoje imię.

Vana zostawiłam na podjeździe. Biuro redakcji, podobnie jak swoją część mieszkalną, zastałam niezmienną, tyle że w biurze było jakby... porządniej. Kaśka nie została po sobie bałaganu, którego ja nigdy nie potrafiłam opanować. Na antresoli leżał mój materac, teraz zasłany świeżą pościelą. Nawet aneks kuchenny został zaopatrzony we wszystko, czego potrzebowałam. Kawa rozpuszczalna, herbata czarna i zielona, sok, jogurt, herbatniki, serki, pomidory, grzybki marynowane domowej roboty. Nawet psie puszki. Świetnie, bo w kamperze zostało kilka ostatnich butelek słabego albańskiego piwa, rakiję wylałam do piachu, a reszta zapasów się skończyła.

Ogarnęłam mnie nostalgia. Na każdym kroku widziałam nasze ślady: moje i Sebastiana. Natychmiast wróciły wspomnienia... ale już nie bolały, raczej przynosiły ukojenie.

Niepotrzebnie niepokoiłam się też o Burego. Gospodarzy powitał, jakby rozstał się z nimi wczoraj. Na strychu – po szybkim, radosnym obwąchaniu każdego kąta – chwycił zębami swoją starą gumową zabawkę i poszedł z nią na górę, na materac. Już po chwili pochrapywał błogo. Wrócił do domu.

Wzięłam talerzyk z drożdżówką i usiadłam przy biurku. Szklankę mocnej herbaty przyniosła mi pani Maria, dopytując, czy czegoś mi jeszcze nie trzeba. Wręczyła mi spis telefonów od ludzi, którzy dzwoniли do redakcji już podczas nieobecności Kaśki, następnie wlotniła się dyskretnie. Poczuję spokój. Wyjęłam z plecaka zeszyt mojej zastępczyni. Będę czytać wieczorem, bo za godzinę byłam umówiona z Gretą.

Zapaliłam papierosa i się zamyśliłam...

Dziwne, bo ja też – jak Bury – poczułam, że znalazłam się z powrotem na swoim miejscu. Jakbyśmy nigdy stąd nie wyjeżdżali, a przecież nie trwało to dzień czy dwa. I nagle cała nasza długa podróż stała się odległą, prawie nierealną. Będę ją wspominać z przyjemnością, przynajmniej pierwszy jej etap. Ale tak jak wspomina się czasy dzieciństwa, sen lub dobrą książkę. Realne życie było tutaj.

Moja współpraca z amerykańskim pismem i tak rozluźniła się już jakiś czas temu, może i częściowo z mojej winy, choć nie została zerwana. Napisałam maila do redaktor prowadzącej, że wróciłam do Polski i – jeśli zechcą – mogą mi podsyłać od czasu do czasu materiały do zrobienia tutaj. Prawie natychmiast otrzymałam pocztą zwrotną odpowiedź: oczywiście są zainteresowani, w razie potrzeby będą się kontaktować.

„No i sru”, pomyślałam. Załatwione. Dyplomatycznie. Aż takich kokosów z tego nie było, żebym miała płakać. A wiszą mi jeszcze kasę za „przewodnik”.

Jako że zostało mi trochę czasu do spotkania z Gretą, postanowiłam przywrócić mój osobisty „ład” na poddaszu. Rozpakowałam rzeczy, rozwiesiłam, powrzucałam do szafek i szuflad. Kilkanaście książek i gazet ułożyłam na razie na stoliku do kawy, bo półki Kaśka przeznaczyła na segregatory, które za moich czasów zalegały w stertach na podłodze i biurku. Żyjąc od lat w locie, nie gromadziłam książek, nauczyłam się czytać na czytniku. Zajrzałam na górę do Burego, ale spał jak niemowlę, z zabawką pod łapą. Coś mu się śniło, bo co jakiś czas poruszał wąsikami i wzdychał. Niech śpi. Jest u siebie. Od dawna nie spał tak błogo.

Gdy zeszałam z powrotem do części biurowej, zadzwoniła Greta.

– Jestem już gotowa, a ty? Rozłokowałaś się?

– Tak, i nawet zaaklimatyzowałam. Gdzie jesteś?

– Za chwilę po ciebie podjadę, możesz już schodzić. Ubierz się ciepło, bo mróz. Bury jedzie z nami?

– Nie, zostanie pod opieką pani Marii. Nie mam serca go budzić, tak słodko śpi.

– Jest w domu – stwierdziła Greta z satysfakcją w głosie.

– Tak. Chyba tak – przyznałam. – Nie wejdiesz?

– Nie dziś, mam jeszcze potem trochę pracy, więc...

– Okej, zaraz schodzę.

Zarzuciłam na siebie ciepłą kurtkę. Przed wyjściem wstąpiłam do gospodarzy, prosząc, by zaglądali do Burego podczas mojej nieobecności. Nie chciałam, by się wystraszył, że został sam, i pomyślał, że go porzuciłam. Przy okazji przywitałam się z ich parą kotów. Rozpoznały mnie, zaczęły mruzczyć na mój widok, łaszcząc się i ocierając o nogi.

Greta już czekała w samochodzie przed bramą.

– Najpierw pojedziemy pod starą stację kolejową, tam, gdzie trzydzieści lat temu zginął Żelazny – oznajmiła. – Zachowajmy chronologię wydarzeń, wtedy lepiej ułoży ci się to w głowie...

Stacja kolejowa od dawna już nie działała, zostały tylko częściowo zachowane budynki kolejowe, obecnie przerobione na magazyny. Greta utrzymywała jednak, że otoczenie niewiele się od tamtej pory zmieniło. Porośnięta drzewami boczna ulica, po jednej stronie ciąg sklepów, po drugiej torowisko, za nimi dawny teren stacji – teraz ogrodzony siatką plac z górami żwiru, węgla, materiałów budowlanych. Zatrzymałyśmy się na wąskim chodniku, pod szpalerem gołych o tej porze lip, niedaleko od wylotu ulicy i skrzyżowania z główną szosą.

– To się stało gdzieś tutaj. – Greta rozejrzała się i wskazała na tory. – Tam znaleźli ciało. Zaraz ci pokażę dawny dziki parking, gdzie Żelazny zostawił swój samochód, który rozbebeszyli...

– Zaczekaj. – Zatrzymałam ją, bo już ruszyła. – Mówiłaś, że został zaatakowany wcześniej i znaleźli ślady walki. Gdzie konkretnie? Próbuję sobie to wszystko zwizualizować.

– Tak, zapomniałam. Masz rację. Pod tymi drzewami natrafili na ślady krwi. Była tu też torba z telefonem i porozrzucone pety. Papierosy były jego, dużo jarał. Pewnie tyle co ty – dodała z przekąsem.

Nie zareagowałam na zaczepkę, wpatrywałam się w miejsca, które wskazała.

– Była noc?

– Tak.

– Oświetlenie tu raczej kiepskie...

– Wtedy prawie w ogóle nie było, tyle co pod sklepem.

Pokiwałam głową.

– Wygląda na to, że tu czekał, może na kogoś, bo chyba nie na pociąg. Gdyby czekał na pociąg... pociągi jeszcze wtedy jeździły? Osobowe?

– Nie, chyba już wtedy tylko towarowe. Nie czekał na pociąg. Nawet gdyby, to peron znajdował się po drugiej stronie torów, przy stacji.

– A więc pewnie z kimś się tu umówił. Chyba że wybrał się na spacer...

– Wątpię. Nie należał do tych, którzy spacerują samotnie po nocach. Chociaż nieźle się wtedy wstał, więc cholera go wie. – Wzruszyła ramionami.

– No dobra, nieważne. Fakt, że tu musiał stać i palić papierosy. W mroku. I ktoś go zniemacka zaatakował.

– A, właśnie! On miał broń przy sobie, jakiś pistolet na gaz czy coś takiego, dokładnie nie wiem. Znaleźli go w teczce. Nie zdążył go nawet wyjąć.

– Czyli gość nie spodziewał się ataku. A napastnikom nie chodziło o rabunek. Gdyby to byli przy-padkowi bandyci, złodzieje, nie zostawiliby pistoletu. Takie gadzety były raczej drogie, nie na kieszeń zwykłego śmiertelnika. Zresztą podobnie jak telefony komórkowe w tamtych czasach – zauważyłam.

Greta potwierdziła skinieniem głowy, że zgadza się z moimi wnioskami.

– Poza tym zostawili portfel – dodała. – Wypełniony gotówką.

Rozejrzałam się ponownie. W mojej wyobraźni pojawiła się nocna scena sprzed trzydziestu lat, jak na klatce filmowej. Na koniec wyjęłam smartfon i wszystko dokładnie obfotografowałam.

– Okej, mniej więcej chyba już to widzę. Pokaż mi teraz parking.

– Parking to za dużo powiedziane! – sprostowała. – Taki mały plac przed stacją, gdzie zwykle zatrzymywały się samochody. Wtedy jeszcze wystarczyło, nie było ich tyle, co obecnie. Teraz to po prostu nieużytek. Chodźmy...

Zaprowadziła mnie wąskim przesmykiem pomiędzy magazynami na tyły zabudowań dawnej kolei. Niedaleko, ale przejście zajęło nam kilka minut. Miejsce nie było widoczne z ulicy, i na odwrót. Wtedy, w nocy, nikt by tutaj niczego nie szukał. Musieli wiedzieć, że Żelazny tam zaparkował. Podzieliłam się tą myślą z Gretą.

– Tak, masz rację – przyznała. – Zresztą nie ukradli auta, tylko je zdemolowali. Jakby w przyływie furii.

– Albo żeby zmylić trop.

– Możliwe, na to nie wpadłam. Dalej mieści się stara papiernia. – Wskazała ręką przeciwny kierunek. – Teraz tam pójdziemy, na skróty...

Niski, długi biały budynek z wysokim kominem był odrestaurowany i zadbane. Miejsce okazało się malownicze, otoczone zielenią, osłonięte drzewami, ładnie położone pomiędzy Radunią a dawną stacją kolejową. Obecnie mieściło się w nim muzeum techniki i papiernictwa, o czym informował szyld. Po dziedzińcu kręciła się spora grupka rozbrzykanych dzieciaków, zapewne wycieczka szkolna. Oglądały starą dreżynę.

– To ten sam komin, przez który wtedy ulatywały z dymem ubeckie dokumenty – odezwała się Greta.

– I marihuana, o ile dobrze pamiętam – dodałam, mierząc wzrokiem komin. – Przynajmniej teoretycznie... To stare zabudowania?

Pstryknęłam kilka zdjęć.

– Tak, to zabytek. Najstarsze budynki pochodzą z dziewiętnastego wieku. Niewiele w Polsce podobnych obiektów. – Na twarzy mojej przyjaciółki pojawiła się duma, jak zawsze, gdy mogła pochwalić się swoją ukochaną „małą ojczyzną”.

– I to wszystko należało do Żelaznych? A teraz?

– No, do jego firmy. Kupił budynek za bezcen w czasach dzikiego kapitalizmu. Było to bardziej przejęcie niż transakcja, z pewnością bezpieka mu w tym pomogła. Ale czegoś tam nie dopełnił, dlatego gmina mogła go odzyskać. Teraz służy kulturze. Chcesz zwiedzić muzeum?

– Może nie teraz, bo czas ucieka. Przy innej okazji na pewno. – Obejrzałam się w kierunku, z którego przyszliśmy. – Niedaleko do tej stacji – zauważyłam. – Może on stąd przyszedł?

– Żelazny?

– No a kto...

– Albo tutaj się wybierał. – Rozłożyła ręce. – Mogło być tak i tak.

– Ale wtedy chybaby raczej podjechał? Przecież miał samochód, a z tamtej strony jest droga i normalny podjazd. Kiedy papiernia funkcjonowała, musiał być do niej normalny dostęp.

– Oczywiście. Trudno teraz coś stwierdzić. Fakt, że Żelazny lubił to miejsce. Urządził tu coś w rodzaju nieformalnego biura, często w nim przesiadywał. Ponoć tutaj załatwiał różne lewe interesy...

– No właśnie. O tym właśnie pomyślałam. To raczej nie przypadek, że tamtej nocy był tak blisko swojego ulubionego przybytku. I auto zostawił praktycznie przy nim, a jednocześnie niedaleko stacji. Dobra, chodźmy dalej. Gdzie teraz?

Greta miała opracowany program.

– Teraz musimy kawałek podjechać – odparła. – Pokażę ci siedzibę firmy Żelaznych. W tej chwili to tylko budynek, a raczej budynki administracji. To tam od początku aż do dzisiaj zbiera się zarząd...

Musieliśmy przejechać na drugą stronę Kryszewa, na peryferia, w sumie kawał drogi. Miasteczko jest niby niewielkie, ale rozległe, rozłożyste, rozrzucone po okolicznych wzgórzach, no i... wciąż go przybywa. Siedziba firmy Żelaznych zajmowała ogromny teren w dolinie pod lasem. Ogrodzona ażurowym murem, składała się z kosmicznego w kształcie dużego budynku głównego oraz dodatkowych

przeszkłonych pawilonów. Do tego wielki parking z luksusowymi samochodami, portiernia przy bramie wjazdowej, stylizowane kute latarnie, tereny zielone w postaci trawników, zadbanych i równo przyciętych żywopłotów uformowanych w różne kształty oraz kamiennych klombów, w tej chwili przysypanych resztkami śniegu. Full wypas. Bogactwo się z tego wszystkiego wylewało.

– No cóż, wygląda na to, że dalej im się wiedzie, nie widać tu znamion upadku – zauważyłam z przekąsem. – To prawdziwy zespół pałacowy.

– Sama widzisz. A zauważ jeszcze, że to nie jest ich jedyna lokalizacja – dodała Greta. – Mają jeszcze ze dwie siedziby w Trójmieście, nie licząc filii w Polsce, a nie wiem, czy również nie za granicą. To moloch, potężna korporacja.

– I to ona tak rozwinęła firmę?

– Tak, Żelazna. Mimo procesów i niedokończonych spraw spadkowych. Za jego czasów, owszem, już była wielka, dynamicznie się rozbudowywała, ale nie do tego stopnia. To były początki.

– No to jest o co walczyć...

– Zdecydowanie.

– I mówisz, że kto tym królestwem teraz rządzi?

– Nikt konkretny. Jakaś rada nadzorcza. Udziałowcy. Śmierć właścicielki najwyraźniej nie wpłynęła za bardzo na ich działalność, choć przed nimi zapewne kolejne procesy.

– Z taką kasą dadzą radę. – Wzruszyłam ramionami.

– Też tak myślę. To co, napatrzyłaś się? To teraz jedziemy do rezydencji świętej pamięci Sylwii Żelaznej...

Znów jechałyśmy dość długo, ponieważ droga, aczkolwiek wygodna, wila się licznymi zakrętami, wspinając na szczyt wzniesienia, gdzie ulokowano otoczoną drzewami rezydencję. Określenie nie było na wyrost: trudno coś takiego nazwać domem, a nawet willą. Podobnie jak firma zmarłej tragicznie biznesmenki, była to pod każdym względem luksusowa siedziba. Prawdziwy współczesny pałac. Zbudowany na różnych poziomach – jakby z osobnych klocków – rozległy nowoczesny budynek z wielkimi okratowanymi oknami. Każdy klocek pomalowany na inny kolor, wszystkie w stonowanych pastelowych odcieniach. Ogromny! Otoczony ogrodem, a raczej wielkim parkiem za żelaznym ogrodzeniem, przez które oglądałyśmy posesję. Nie potrafiłam zrozumieć, jak w tak wielkiej posiadłości mogła mieszkać tylko jedna osoba. Ja bym tam zwariowała. Budynek, jak zresztą całe otoczenie, przytłaczał mnie. Zwłaszcza teraz, gdy było widać, że jest opuszczony. Mimo radosnych kolorów w resztkach brudnego śniegu wyglądał ponuro, niepokojąco. Czulo się tutaj... pustkę. I śmierć.

– Zatrudniała kogoś, jakąś służbę? – zapytałam Gretę, która stała oparta o samochód, pałac papieża.

– Oczywiście, ale nie na stałe, tylko dochodzącą pomoc domową, firmę sprząającą i w sezonie ogrodnika – odparła.

– A ochroniarza?

– Nie potrzebowała go. Cały dom i teren są podłączone do systemu alarmowego. Idealnie zabezpieczony.

– Nawet psów nie miała?

– Zdaje się, że nie lubiła zwierząt. – Greta się skrzywiła. – A może po prostu nie miała dla nich czasu. Woląla kamery.

Pokiwałam głową. Wielkie pieniądze odczłowieczają. Biedni są ci milionerzy, omija ich prawdziwe życie. Ta na dodatek marnie skończyła mimo kosmicznych zabezpieczeń.

– Więc jak to się stało, że kamery nie wyłapały zabójcy albo zabójców? – zadałam kolejne pytanie i też zapaliłam papierosa.

– A to jest właśnie ciekawe... – Greta wdeptała w śnieg niedopałek i oderwała się wreszcie od auta. Podeszła do mnie. – System alarmowy był częściowo wyłączony, kamery działały jedynie od frontu. Ona podobno często wyłączała go, kiedy przyjmowała gości. Nie chciała fałszywych alarmów. Wygląda na to, że sama z własnej woli wpuściła mordercę, zapewne tylnym wejściem od strony lasu. To jej las i też jest ogrodzony. Prowadzi tamtędy druga wewnętrzna droga, krótsza, ale prywatna, zamknięta dla obcych. Ten ktoś, morderca, musiał przyjechać tamtędy, dlatego kamery nikogo nie namierzyły. Te, które znajdują się po tamtej stronie, też były feralnego dnia wyłączone.

– To znaczy, że znała zabójcę...

– Na to wygląda.

– Zaraz... to się stało za dnia czy w nocy? – Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że nie wiem.

– Na pewno nie nocą. Prawdopodobnie późnym popołudniem albo wczesnym wieczorem. Dobra pora na podejmowanie gości.

– Aha...

Wyjęłam telefon i zrobiłam zdjęcia.

– Czy będziemy mogły tam wejść?

– Nie dziś, niestety, ja nie mam takich uprawnień. Ale Ryba obiecał, że oprowadzi cię po tym domu. Wiesz... – dodała, tupiąc w śniegu. – On jest strasznie przejęty twoim powrotem. Dzwonił rano i dopytywał, kiedy mógłby cię odwiedzić.

– Zadzwoń do niego.

– Tak, i poproś, żeby cię tu przywiózł. Musisz przecież obejrzeć miejsce zbrodni. Tylko ostrzegam, że wygląda przerażająco, jeśli nikt tam do tej pory nie posprzątał. Przynajmniej dla mnie. – Wzdrygnęła się i znów zatupała. – Skończyłaś robić zdjęcia? Wracajmy już, co? Zimno jak cholera i jakoś tak...

## CZĘŚĆ II



## Kryszewo, obecnie

Po dwóch dniach Felicja poczuła się w Kryszewie z powrotem jak w domu. Tyle dała sobie czasu. Bardzo szybko przyzwyczała się do dawnego trybu życia, do porządku dnia, do ludzi i do klimatu miasteczka. Zagospodarowała się na poddaszu, przejęła gazetę i portal, nadrobiła opóźnienia. Zrobiła w końcu niezbędne zakupy w miejscowym supermarkecie. Mieszkańcy witali ją ciepło i szczerze cieszyli się z jej powrotu. Zdziwiło ją to, bo nie miała pojęcia, że zdążyła wrosnąć w tę społeczność.

Teraz, gdy niezbędną prozę życia miała już za sobą, zajęła się sprawą zabójstwa Sylwii Żelaznej. Z Kasią wciąż nie było kontaktu – codziennie dzwoniły z Gretą do szpitala, dziewczynę po operacji utrzymywano w śpiączce farmakologicznej – ale przestudiowała dokładnie jej notatki. Nie znalazła tam wiele więcej, niż przekazała jej Greta. Szczegółowy opis zarówno miejsca, jak i samej zbrodni zamierzała omówić z Rybą. I tak musi zobaczyć wszystko na własne oczy. Byli umówieni dziś wieczorem, policjant miał przynieść kopie zdjęć, a nazajutrz zawieźć ją do posesji Żelaznej.

Trochę nazwisk, te też należało skonsultować. No i kilka niejasnych zapisków, jakby Kaśka notowała szyfrum lub w wielkim pośpiechu. Do rozwikłania może wtedy, kiedy pacjentka dojdzie do siebie i będzie można z nią porozmawiać.

Felicja usiadła przy komputerze i zaczęła planować poszczególne kroki, tak jak robiła przed każdym dziennikarskim śledztwem. Niekoniecznie później trzymała się planu z żelazną konsekwencją, ale przynajmniej dawał jej jakiś punkt oparcia. Na razie miała jeszcze zbyt mało danych. Kwestia czasu, tego była pewna. Greta zaferowała pomoc:

– Nie masz Kaśki, zostałaś z tym sama. Jasne, że jest jeszcze Ryba, ale wiesz... on mimo wszystko tkwi jakby po drugiej stronie. Więc ty rozkazuj, a ja zrobię, co mogę. Oczywiście nieoficjalnie. Wierzę w ciebie. Przecież cię tu ściągnęłam – westchnęła ciężko, gdy ostatnio wracały ze swojego rekonesansu.

Felicja doceniła tę deklarację. W końcu Greta Pazik była wójtem, nie mogła angażować się jawnie w dziennikarskie śledztwo.

Na początek więc zanotowała:

1. Ryba, szczegóły i foto
2. Miejsce zbrodni
3. Środowisko: firmowe i prywatne kontakty ofiary
4. Syn
5. Procesy
6. Plotki

Zerknęła na zegar ścienny: zbliżała się piąta po południu. Nakarmiła psa, a potem zaczęła przygotowywać lekką kolację dla młodego policjanta. Sałatka, kanapki, kawa, piwo. Po tak długiej przerwie wypadalo. A syty Ryba był zwykle bardziej chętny do współpracy...

Zygmunt Ryba – obecnie już aspirant sztabowy, a także nowy szef miejscowego komisariatu – wparował na poddasze uśmiechnięty od ucha do ucha, bez słowa zamknął ją w niedźwiedzim uścisku, a następnie podniósł wysoko i okręcił wokół własnej osi.

– Puszczaj, wariacie! – Zaśmiała się. – Jak tutaj wszedłeś? Znowu zapomnieli zamknąć drzwi wejściowe?

Wreszcie postawił ją na podłodze.

– Wpuściła mnie osobiście twoja gospodyni. Spotkałem ją w progu, wołała koty. Dobrze cię znowu widzieć. Kurczę, nareszcie. Świetnie wyglądasz, wcale się nie zmieniłaś, jak zawsze piękna... Mam piwko! – Tryumfalnie wręczył Felicji zgrzewkę.

– Hej, hej, hej, tylko bez takich komplementów, dzieciaku! Piwo też mam. Niepotrzebnie kupowałeś...

– Oj tam, kiedyś o tym zapomniałaś i musiałem pić cholerną herbatkę. Poza tym baby... – Urwał i ostantacyjnie zasłonił dłonią usta. – Chciałem powiedzieć, że ty się nie znasz na piwie!

– A to żałuj, frajerze, bo przywiozłam albańskie. Takiego się nigdzie indziej nie napijesz. – Wzruszyłam ramionami, prowadząc go w głąb pokoju.

Ryba jak zazwyczaj opadł ciężko na wersalkę, łakomym wzrokiem ogarniając zastawiony smakołykami stół.

– Serio? Jakoś nie dowierzam albańskiemu piwu. Ale dasz choć spróbować? A to wszystko... mmm... na moją cześć?

– No przecież sama bym tego nie zezażała, jak sądzisz... – Felicja przerwała, bo w tym momencie z impetem na kanapę wparował Bury. Dopiero się obudził i chyba poznał Rybę po głosie.

– Dobry piesek, doobry... Ale weź, sierściuchu, bo mnie stratusjesz! – Chłopak, śmiejąc się, przytulił do swojej szerokiej policyjnej piersi rudy pysk, liżący go zawzięcie po nosie. – Ty wiesz, że i ze mnie pies, co, brachu?

– To co, najpierw kawa? – zapytała już z aneksu kuchennego, nastawiając ekspres, prezent od gminy, który tu został, kiedy wyjeżdżała.

– Oczywiście. Tradycyjnie! – odparł wesoło zza zasłony psiej sierści. – Ja prosto z roboty. Padnięty jestem...

Gdy skończyli jeść, Felicja po raz kolejny musiała zdać relację ze swojej podróży, Ryba nie odpuścił, wypytał – jak na przesłuchaniu – o każdy szczegół. Wreszcie, gdy temat się wyczerpał, zapytała:

– No dobra, tyle o mnie. A co u ciebie, u was? Jak Justyna i mała?

Ryba się rozpromienił.

– Mała rośnie jak na drożdżach! Musisz do nas koniecznie wpaść, zobaczysz, jaka z niej miss piękności, i mądrała przy tym, że hej... A Justynka w porządku. Niedługo wraca na stałe do pracy.

– Do biblioteki?

– Jasne! Jako zastępca kierowniczkii. To przecież jej pasja.

– No to gratulacje. A kto się zajmie małą?

– Pójdzie do przedszkola. – Dumnie wypiął pierś. – Czas leci. Już nie wystarczy, że babcia nakarmi i zabawia. Młoda bardzo potrzebuje teraz kontaktów z rówieśnikami, najlepiej w grupie...

– Wow, Ryba! Jak ty mądrze i uczenie gadasz! – zakpiła dobrotliwie, za co dostała kuksańca. Była zadowolona, że z ich relacji zniknął wreszcie na dobre erotyczny podtekst, który tak ją drażnił, choć wiedziała, że sama była sobie winna. Na szczęście czas działał na jej korzyść. Początku Zygmunt najwyraźniej poświęcił się teraz karierze zawodowej i ognisku domowemu.

– No widzisz, w końcu ma się już ten staż rodzicielski! – Roześmiał się w odpowiedzi. – No a ty? Co z tobą, co dalej? Zostaniesz u nas, prawda? – Policjant spoważniał. – Wiem, że Greta liczy...

Dziennikarka włączyła wentylator i zapaliła papierosa. Na początku wizyty umówili się, że w pomieszczeniu wypalą maksymalnie po dwa. Na więcej będą musieli wyjść do ogrodu. Bury wrócił na antresolę, dym tam raczej nie dotrze.

– Zostaję, przynajmniej na razie. – Zaciągnęła się i strzepnęła popiół do popielniczki. – Wiem, czego oczekuje Greta, po to tu jestem, ściągnęła mnie przecież. Więc może przejdźmy teraz do meritum, bo będę potrzebowała twojej pomocy. Greta wprowadziła mnie w temat, ale chcę informacji z pierwszej ręki. Po pierwsze, wytłumacz mi na początek, jeśli możesz, dlaczego w ogóle zamknęliście śledztwo? Przecież to bez sensu.

Ryba napił się piwa z butelki.

– Brz... – Wzdrygnął się. – Albańskie piwo to nie jest jednak prawdziwe piwo – stwierdził. – Dopiję, ale potem otwieramy nasze. Co do śledztwa... nie ujawniło sprawcy, a upłynęło już z pół roku, więc zostało zawieszono.

– Czyli nie macie nawet podejrzeń, kto ją zabił?

Wzruszył ramionami.

– Podejrzeń akurat było mnóstwo – odparł. – Tyle że żadne się nie potwierdziło, a bez dowodów dupa zimna. Ja bym stawiał na tego synalka z Ameryki, na pewno słyszałaś. Ale ogólnie stanęło na porachunkach, a to oznacza przestępczość zorganizowaną. Oczywiście nieformalnie. Co ja ci zresztą będę tłumaczył. Pytasz, jakbyś pierwszy raz się w tym gównie babrała.

– Nie pierwszy, choć miałam nadzieję, że tym razem będzie inaczej. Że coś się w tym kraju zmieniło. – Skrzywiła się. – A tu dalej rączka rączkę.

– To jest bagno, staruszko. Cały ten światek biznesu i tak dalej.

– Staruszko? Odwal się, bo ci strzele! A, zresztą... dobra, gówniarzu, niech ci będzie. Ale jutro jedziesz ze mną, żeby mi pokazać miejsce zbrodni. Wiesz o tym? Przywiozłeś zdjęcia? Bo Greta obiecywała, że mi je pokażesz. – Felicja zgasiła papierosa i też skosztowała piwa. „Rzeczywiście, tutaj nie smakowało jak w Albanii. Najwidoczniej to kwestia aury”, pomyślała. „Klimatu, kultury? Wszelkie kuliniarni sprawdzają się najlepiej na swoim miejscu, tam gdzie się rodzą”.

– Kurczę, zapomniałem o fotach – odpowiedział tymczasem Ryba, lekko zmieszany. – Mogę ci jakieś podesłać. Albo jutro wezmę ze sobą odblaski. Fatalnie to wyglądało, jeśli chcesz wiedzieć.

– Domyślam się. Trupy zwykle wyglądają fatalnie. Więc jesteśmy umówieni na jutro, a zdjęcia podesłaj mailiem. Choćby jedno. Teraz cofnijmy się w czasie. Do zabójstwa jej męża, tego słynnego Żelaznego...

– Ale to było, kurde, ze trzydzieści lat temu!

- Tak, wiem. Ciebie jeszcze nie było na świecie. - Uśmiechnęła się złośliwie.
- Akurat już byłem. Raczkowałem.
- No to niewiele pamiętasz - odparła z przekąsem. - Jednak w trakcie śledztwa w sprawie Żelaznej na pewno wracaliście do tamtej sprawy?  
Westchnął.
- No owszem. Trochę tak, bo to mogło mieć związek. Więc co konkretnie chcesz wiedzieć? Bo całą historię już znasz, założę się...
- Felicja poprawiła się w fotelu, podwijając nogi.
- Piąte przez dziesiąte. Na przykład, co wykazała sekcja zwłok? - zapytała.
- O ile sobie dobrze przypominam, facet najpierw dostał w czapę czymś ciężkim, a później rozjechał go pociąg.
- I to jest pewne? Że to nie był wypadek? Gość był podobno pijany, może...
- Na sto procent to nie był wypadek.
- Znaczy, ktoś go nieprzytomnego zaciągnął na tory?
- Raczej już wtedy nie żył, więc sam by nie wszedł - zakpił Ryba. - Możliwe, że go kolesie z esbecji załatwili, żeby pozbyć się niewygodnego świadka. Bo Żelazny był ponoć kapusiem, czytaj: tajnym współpracownikiem.
- Wiem lepiej od ciebie, co to znaczy, żyłam wtedy. Może ich szantażował. Ale był też biznesmem, mogli go załatwić konkurenci albo mafia, mafia w tamtych czasach miała rozmach.
- Mogło tak być - zgodził się. - Teraz już się tego nie dojdzie. Jak wielu podobnych przypadków z tamtej radosnej epoki, którą z taką nostalgią wspominacie. Cieszę się, że mnie ominęła.
- No i słusznie. Kto niby wspomina z nostalgią? - obruszyła się dziennikarka.
- No wy... starsi. - Parsknął śmiechem.
- Chciałeś powiedzieć, że zombie? Dość tych żartów. Bój się, mały!
- Ryba z niewinną miną rozłożył ręce.
- Już nic nie mówię, tylko nie zakładaj mi tego nelsona. Co jeszcze chcesz wiedzieć? - zmienił temat.
- Co przy nim znalezione. Bo podobno wykluczono napad rabunkowy dlatego, że znaleźli przy nim cenne przedmioty.
- Tak. I forsy, sporo forsy w portfelu. To nie byli rabusie. Tych przedmiotów dokładnie sobie w tej chwili nie przypominam, ale na pewno była jakaś broń, a nawet złota papierosnica... albo zapalniczka...
- Zdaje się, że jedno i drugie. - Kiwnęła głową. - I jeszcze telefon komórkowy, wtedy cholernie drogie urządzenie.
- To po co pytasz, skoro wiesz?
- Żeby się upewnić, czy Kaśka z Gretą czegoś nie pokręciły.
- No właśnie, ta Kaśka, biedna dziewczyna, oby z tego wyszła. - Policjant posmutniał. - Od początku jej mówiłem, żeby to w cholerę zostawiła. Nie jest tobą. Ale się zaparła. No. Czyli złodzieje go raczej nie napadli, to była zaplanowana mokra robota. Chociaż...
- Co? - podchwyciła zujnie.
- Ryba dopił piwo i otworzył nową puszkę - polską, ze zgrzewki. Tym razem nalał do szklanek.
- Coś mi się przypominało. - Powrócił pospiesznie do przerwanoego wątku, jako że Felicja w międzyczasie piorunowała go wzrokiem. - Choć to nic pewnego. Żona Żelaznego, czyli nasza obecna ofiara, twierdziła, że zaginiął jego pierścień czy sygnet... Bardzo się wtedy przy tym upierała. Podobno nigdy się z nim nie rozstawał. Był z pieczęcią, ten pierścień. Przedmiot jego dumy, kapujesz. W każdym razie nie znaleźli go.
- Może nie było żadnego pierścienia? Może się pomyliła?
- Raczej nie. Denat był wcześniej na jakiejś imprezie, świadkowie twierdzili, że miał ten cholerny sygnet na paluchu. Charakterystyczny był.
- Ciekawe - zamyśliła się. - Nie rozumiem. Kradliby tylko sygnet? Może chodziło im o pieczęć?
- Tak podejrzewano, ale nic w temacie nie wypłynęło. Nie wygląda, żeby ktoś się nią potem posłużył, choć to oczywiście możliwe, do wszystkiego na pewno nie dotarli. W każdym razie gadżet zniknął jak kamfora.
- Może zleceniodawca chciał mieć dowód...
- Możliwe. O ile była to zbrodnia na zlecenie.
- Wiesz, jak wyglądał ten sygnet?
- Ryba wruszył ramionami.
- Gdzieś w aktach jest jego opis i rysunek na podstawie opisu - odparł. - Znajdę ci, jeśli chcesz.

– Chcę.

Felicja nie miała więcej pytań. Potem już rozmawiali o wszystkim i o niczym, na luzie. W końcu zrobiło się późno i Ryba przypomniał sobie o obowiązkach rodzinnych. Umówili się na następny dzień po południu, żeby razem pojechać na miejsce zbrodni, czyli do rezydencji Sylwii Żelaznej.

## Nazajutr

Ogród oglądany od środka jeszcze bardziej przypominał spory park. Alejki wijące się pomiędzy wysokimi drzewami, wokół których jeszcze leżał śnieg, ozdobne latarnie, ławki również przykryte kołderkami topniejącego puchu. Podążając główną aleją, dotarli do... budynku, bo jak nazwać domem coś, co rozmiarami i kształtem przypominało raczej duży hotel lub motel. Dopiero teraz Felicja zdała sobie sprawę z jego rozmiarów, z ulicy dało się dostrzec jedynie fragmenty budowli. Szerokimi marmurowymi schodami weszli na ogromny taras, depreczając po strzępach brudnej taśmy policyjnej.

– Nie ma włamań? – zapytała Stefańska.

– Nie, nawet złodzieje boją się tego przybytku. Poza tym wiedzą, że posesja jest przez cały czas pod obserwacją policji.

– Rozumiem ten strach. – Rozejrzała się. – Dość tu upiornie... Tego nikt nie posprząta? – Z dezaprobatą wskazała na resztki taśmy.

Ryba, zaskoczony, zerknął pod nogi i lekko się zmieształ.

– Wiesz, tutaj brak właściciela, dziedzica. Nikomu to i tak nie przeszkadza. Ale możemy sprzątnąć, jasne. Podeszłem chłopaków...

– A ten syn? Nie jest spadkobiercą?

– Tak, jest jedynym żyjącym dzieckiem. Ale się nie kwapi. Ma zamiar pozbyć się tego przez agencję, nawet nie chce przyjechać zobaczyć.

– Odziedziczył kupę kasy. To wielka, nowa rezydencja.

– No. Zbudował ją jeszcze Żelazny na początku lat dziewięćdziesiątych, ale ona wykończyła już po jego zejściu z tego świata.

– A firma? Też się dostanie temu synkowi?

– Nie wiem. – Policjant szperał w kieszeniach w poszukiwaniu kluczy. Alarm był wyłączony, działały tylko kamery. – Pewnie dziedziczył udziały po matce. Zapewne je od razu odsprzeda. Mówiłem ci, dla mnie to podejrzany typ. Nienawidził matki.

– Ciekawe dlaczego...

Ryba znalazł wreszcie klucze.

– No, mam... uff. Nie wiadomo dlaczego. – Wzruszył ramionami. – Bogacze mają swoje fochy. Wchodzimy!

Przypomniał sobie, że przez cały czas ma na twarzy maskę, teraz dopiero zsunął ją pod brodę.

Wnętrze było jasne, sterylne, nowoczesne. Właściwie nie zaplanowano tu drzwi. Marmurowe kolumny pokryte lustrzanymi taflami podpierały stropy, mogli więc swobodnie zaglądać do otwartych pomieszczeń minimalistycznie, choć luksusowo wyposażonych. Mnóstwo luster zwielokrotniało i tak imponującą przestrzeń. W promieniach słonecznych wpadających przez duże okna unosiły się drobinki kurzu, wirując w powietrzu jak w tańcu, jednak w miejscach zacienionych nie dostrzegało się oznak zaniedbania. Mimo to czuć tu było ponurą aurę porzucenia. Bogate domostwo wydawało się równie martwe jak jego właściciele.

Ryba poprowadził dziennikarkę na półpiętro. Było tu nieco skromniej, bardziej zwyczajnie. Ogromny podest wyłożony puszystą zieloną wykładziną, dwa korytarze i szereg lustrzanych drzwi. Z drugiej strony metalicznej balustrady schody biegły wyżej, znikając w mroku.

– To tutaj – oznajmił. – W jej gabinecie. A dokładniej gabinecie połączonym z biblioteką. Tam, prosto i od razu na lewo – dodał, gdy zatrzymali się u szczytu schodów.

– A co jest wyżej? – zapytała po drodze nie tyle z ciekawości, ile po to, by odwlec moment dotarcia na miejsce jatki. Przygotować się psychicznie, zebrać w sobie. Zdawała sobie sprawę z tego, co tam zastanie, widziała zdjęcia. Ważne, że nie będzie tam już ciała. Tylko co z tego, skoro jego obraz tkwił w jej pamięci. Chyba nigdy wcześniej nie oglądała tak zmasakrowanych zwłok.

– Wyżej? – Ryba przystanął i odruchowo zerknął w górę. – Nic specjalnego, pomieszczenia gospodarce, jakieś magazynki, strych.

– Wszystko przeszukaliście?

– A jak myślisz? Przetrzęsliśmy każdy centymetr, całą chałupę, potem jeszcze zebraliśmy świadków, żeby wszystko z nami obejrzel. Stąd wiemy, że nie została obrabowana. Podobnie jak wtedy jej mąż. Ale kilka pomieszczeń splądrowano. Tak jakby ktoś czegoś szukał albo bezmyślnie niszczył w ślepej furii.

Ruszyli dalej.

– Jakich świadków?

– Jej stałą dochodzącą gosposię, jedyną najbliższą osobę z rodziny, czyli przyrodnią siostrę, poza tym byłego ochroniarza, dwie sprzątaczkę i osobistą sekretarkę. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że nic cenniego nie zginęło.

– A tu nie wszystko jest cenne? Pewnie nawet sprzęt kuchenny to majątek! – zadrwiła, ale aspirant odparł serio:

– Miała kilka cennych dzieł sztuki, obrazów. Tak twierdzi rzeczoznawca. Pieniądze i biżuterię trzymała w bankach, miała skrytki depozytowe.

Dotarli do otwartych drzwi na końcu korytarzyka, które wciąż jeszcze były odgradzone taśmą.

– Jesteśmy na miejscu – dodał. – Gotowa?

Felicja się wzdrygnęła.

– Tak – odparła.

Odetchnęła, bo na szczęście pomieszczenie nie wyglądało już tak koszmarnie jak na zdjęciach zrobionych w dniu odkrycia zwłok, choć nadal widoczne były na meblach, ścianach i podłodze zaschnięte plamy krwi. I obrys kredą, wciąż rozpoznawalny makabryczny zarys ludzkiej sylwetki w miejscu, gdzie znaleziono zastygłe ciało. Coś niewyobrazalnie ostatecznego i tragicznego. Felicja nawet nie musiała przymykać powiek, by oczami wyobraźni ujrzeć zmaltretowane szczątki kobiety, która jeszcze kilka godzin wcześniej uchodziła za wszechpotężną, rządziła korporacją, budziła powszechny szacunek i podziw.

Pokój był ogromny i podobnie jak pozostałe umeblowany minimalistycznie. Wielkie okna na wprost wejścia, półki z książkami wzdłuż ścian. Część zbiorów leżała na podłodze, jakby ktoś zrzucił książki i je zostawił. Pod oknami duże biurko, o dziwo, antyczne, co na tle reszty przedmiotów zaskakiwało, lecz takie połączenie spodobało się dziennikarce. Przy nim obrotowy fotel. Nad biurkiem – pomiędzy oknami – abstrakcyjny obraz w złożonych ramach. Na środku dywanik perski zachlapany krwią. Zwłoki leżały w kałuży krwi pomiędzy krzesłem a dywanikiem. Dziś pozostały po nich wyblakłe ślady. Ale czy na pewno?

Felicja skoncentrowała się, by uchwycić aurę, energię pozostawioną przez ludzi, przez ich emocje. Zawsze tak robiła. Nie była pewna, czy posiada jakiś dar, czy to tylko wyobrażenia, ale tak się składało, że intuicja rzadko ją zawodziła. Dlatego zazwyczaj dalsze postępowania prowadziła w zgodzie z nią. Wszyscy o tym wiedzieli. Ryba też znał jej metody pracy, więc odsunął się w milczeniu, czekał.

Po chwili ujrzała to. Napięcie. Spór? Strach? Nie, raczej złość. Furia. Kobieta coś krzyczy do kogoś pozostającego w cieniu, niewidocznego dla Felicji. Potem odwraca się gwałtownie, idzie w stronę biurka. Wtedy pada pierwszy cios...

– Jak dokładnie zginęła? – zapytała.

Ryba drgnął i podszedł bliżej.

– Prawdopodobnie już od pierwszego ciosu ciężkim przedmiotem w potylicę – odparł. – Był bardzo silny. Narzędziem zbrodni był ciężki metalowy świecznik, własność ofiary. Stał gdzieś na półce z książkami. Nie znaleziono odcisków palców, więc napastnik albo je wytarł, albo miał rękawiczki. Potem padły kolejne uderzenia, kilkanaście uderzeń, które zmasakrowały głowę, a potem także ciosy nożem. Noża nie znaleźliśmy, czyli morderca lub mordercy zabrali go. Na koniec wyłupili jej oczy...

– To dziwne – zauważyła. – Niby bezsensowne, skoro już nie żyła. Jakiś znak?

– Albo znak, albo ściema. Zabójca działał w emocjach, ale to też może być mistyfikacja, żeby utrudnić pracę policji. Bo z jednej strony pierwszy cios zadano przedmiotem znajdującym się pod ręką. Z drugiej, użyto też noża lub innego ostrego narzędzia, które zniknęło. Być może morderca przyniósł je ze sobą i potem zabrał. Jeśli przyniósł, a wszystko na to wskazuje, to raczej nie przypadkiem. Nadal nie wiemy, co tu się tak naprawdę wówczas wydarzyło. – Policjant rozłożył bezradnie ręce.

– Kto kierował śledztwem?

– Nasz komisarz. Znasz go...

– Czyli Pałka? Aha, okej. – Uśmiechnęła się lekko na wspomnienie komisarza, którego zdążyła polubić. – To zdolny facet. Szkoda, że gówno wykrył.

– Nie mów tak! – Ryba poczuł się w obowiązku bronić honoru gdańskiej policji. – Nie wszystkie sprawy są od razu do rozwiązania. Czasem trwa to nawet latami.

– A czasem wieki – skwitowała.

Podeszła do półek, by zerknąć na książki. Rozczarowała ją, bo były to głównie pozycje ekonomiczne, prawnicze, ponadto słowniki i poradniki. Ale na jednej półce, bliżej okna, znalazła kolekcję romansów. I znów ciekawe połączenie. Przeniosła wzrok na obraz. Barwne świetliste plamy.

– To jest cenne?

– Raczej tak, to jakiś znany malarz. – Ryba sięgnął do kieszeni po notes i przekartkował go. – Władysław Strzemiński. Lata czterdzieste.

– Najwyraźniej nie po to przyszli.  
– Nie. Podobnych obrazów jest w tym domu więcej.  
– Co zniszczono? Mówiłeś, że była jakaś demolka? Nie zauważyłam. Tu jej nie widać, poza rozrzuconymi książkami.

– Tutaj spłądowali biurko. Nie widać na oko, bo ktoś pozaymykał szafki i szuflady, pewnie technicy po zabraniu zawartości. Ale nic ciekawego tam nie było, zwykle dokumenty, rachunki, korespondencja urzędowa. Poza tym skotłowali jej sypialnię i strych. Jakby czegoś szukali i albo znaleźli, albo... no, albo tego czegoś tu nie było. Bo mieli dużo czasu. Zwiłki odkryła dopiero po dwóch dobach sprzątacza. To się stało w weekend. Chodź, pokażę ci... Bo tu już chyba wszystko obejrzałaś?

– No raczej. – Rozejrzała się jeszcze raz, żeby zapamiętać szczegóły, zanim wyszli z pokoju.

Zawrócili do schodów i Ryba poprowadził dziennikarkę wyżej, gdzie mieściły się schowki i poddasze. Schowki wyglądały jak niewielkie boksy albo szafki zamknięte drzwiami przesuwnymi. Znajdował się w nich głównie sprzęt gospodarstwa domowego, stare ekspresy, odkurzacze, jakieś urządzenia, nic ciekawego. Tych nikt nie ruszał, schowki wyglądały na nietknięte. Inaczej strych. Gdy tylko policjant otworzył drzwi – również przecinając taśmę – na korytarz niemal wysypała się sterta porwanych kartonów, szmat, papierzysk, starych toreb, ubrań, walizek, różnych drobiazgów. Góry tego. Całe obszerne pomieszczenie wyglądało jak wysypisko śmieci. Felicja przystanęła zaskoczona.

– Noo, nieźle ktoś tu działał... – westchnęła.

– W sumie to podwójnie – odparł Ryba z wyrazem skruchy. – Bo najpierw buszowała bandziory, a potem my. Trzeba było to wszystko przejrzeć i skatalogować.

– I znaleźliście coś ciekawego?

– Nie za bardzo. – Wzruszył ramionami. – Tu na serio składowano różne pierdoły, stare graty, gazety, widokówki, nawet jakieś szkolne zeszyty, laurki sprzed lat. Wszystkie takie rzeczy zabrali do analizy, ale nie było tam nic, co wiązałoby się z tymi morderstwami.

– Jakaś korespondencja?

– Owszem, ale też stara. Bez związku.

– Żadnych listów od synka?

– Zero. Też zwróciliśmy na to uwagę.

– Jesteś pewien? Nie muszę się już w tym grzebać?

– Bez sensu. Jestem pewien. Spędziłabyś tu ze dwie doby na darmo.

– W porządku, bo wcale nie mam na to ochoty. To chodź, Zygmund, pokażesz mi jeszcze jej sypialnię. Znajdowała się na półpiętrze, nieopodal gabinetu. Długi pokój w różnych tonacjach bieli i szarości. Niskie, wielkie, szerokie łóżce, z pewnością podwójne, stało pod dłuższą ścianą po lewej stronie i zajmowało niemal połowę powierzchni sporego przeciwie pokój.

Ryba potwierdził, że Sylwia Żelazna miała kochanków, których tu zapewne przyjmowała. „Trzeba będzie do nich dotrzeć”, zanotowała w myślach dziennikarka.

Przyległa krótsza ściana praktycznie była wielkim oknem wychodzącym na park. Na ścianie z prawej strony kolejne abstrakcyjne obrazy i lustra. Poza tym toaletka i szafka nocna, a raczej fikuśna komódka z licznymi szufladami. Wszystkie były wybebeszone, podobnie jak łóżko i pościel. Tutaj ewidentnie też czegoś szukano.

– Co mogła trzymać w sypialni? – zastanawiała się głośno Felicja.

– Kosmetyki i podręczną biżuterię – odparł Ryba. – Ale została nienaruszona.

– Liściki miłosne? Ludzie miewają różne dziwactwa. Jakieś sekretne dokumenty?

– Niczego takiego nie znaleźliśmy. Może nie istniały, a może ktoś je zabrał. Jeśli tak, to mielibyśmy trop... Jednak to tylko spekulacje. Ona podobno nie była szczególnie sentymentalna.

– Chyba muszę lepiej ją poznać. To znaczy dowiedzieć się o niej jak najwięcej. Czy mogę pstryknąć tu fotkę? Ten pokój sporo mówi o jej osobowości.

– Jeśli chcesz, czemu nie. Tam z boku są garderoba i łazienka. – Pokazał białe drzwi w ścianie, które wyglądały jak zamknięcie szafy wnękowej. – Ubrania też zostały zdjęte z wieszaków i rozrzucone na podłodze. Drogie ciuchy. Pewnie szperali po kieszeniach. Czyli to, czego szukali, nie musiało być duże. Jeśli szukali – dodał.

– Myślę, że tak. Mieli raczej konkretny cel. Inaczej spłądowali by jedno pomieszczenie, a nie łazili po całym domu i wybierali losowo, które zdemolować. No dobra, możemy wracać. Chętnie już stąd wyjdę. Ohydna tu aura...

Po kilkunastu minutach dojeżdżali do położonego również na wzgórzu osiedla Felicji. Domek jej gospodarzy jako jedyny pozostał z dawnej zabudowy, może dlatego, że właściciele nie ugięli się i nie dopuścili do przejścia swojej działki. Był uroczy, częściowo drewniany, częściowo murowany, zadbanej niczym ozdobna szkatułka. Wyglądał jak z obrazka. Latem otaczały go krzaki róż, teraz stał w ogrodzie

pełnym zimozielonych krzewów, wciąż jeszcze obsypanych śniegiem przypominającym cukier puder. Już wkrótce zakwitną fioletowe i żółte krokusy, przypomniła sobie. Zbliżała się wiosna.

Uliczka pięła się wysoko, z lewej strony wyrastały bloki z lat dziewięćdziesiątych. Dom stał po prawej, od frontu otoczony malowniczym ogrodem, z tyłu sadem. Felicja pomyślała, że wolałaby do końca życia mieszkać tutaj – a nawet w tym blokowisku! – niż w pozbawionej ludzkiego ciepła luksusowej rezydencji Żelaznych czy innym podobnym miejscu.

Z daleka zobaczyła Burego, który biegł wzdłuż ogrodzenia, ostrzegając przechodniów, że to jego teren. Kiedy Ryba zatrzymał samochód przed bramą, psiak zaczął niecierpliwie wspinać się na płot, machając radośnie puszystą kitą.

– Dzięki, Rybko. – Odpięła pasy. – Wejdiesz na kawę?

Policjant pokręcił głową.

– Nie dziś – odparł. – Muszę wracać do roboty. Ale jeśli będę ci jeszcze potrzebny...

– Na pewno będziesz. – Roześmiała się.

– Tak myślałem!

– Od razu mam prośbę. Czy możesz dowiedzieć się, co z Kaśką? Bo kiedy ja dzwonię do szpitala, nie chcą ze mną rozmawiać. Greta przyjaźni się z jej rodzicami, ale ma opory, żeby ich wypytywać.

– Zadzwoń jeszcze raz i zapytaj o doktor Kowalczyk.

– Daj spokój, żadna doktor i tak mi nic nie powie! – zaprotestowała. – Nie jestem z rodziny ani z policji.

– Nie zrozumiałaś – uśmiechnął się chytrze. – Nie istnieje tam żadna doktor Kowalczyk. To takie... hasło. Będą wiedzieli, że jesteś od nas. Jakby co, powołaj się na mnie albo na Palczyńskiego.

– Aaa, rozumiem. Super, dzięki. Tak zrobię. – Cmoknęła go w policzek. – No to tymczasem, Zyga, będziemy w kontakcie. – Otworzyła drzwi i natychmiast usłyszała szczekanie Burego przechodzące w pisk radości.

– Ale Kasia wciąż jeszcze jest w śpiączce. Nie można z nią porozmawiać, my też czekamy, żeby ją przesłuchać – dodał policjant.

– Prowadzicie w jej sprawie osobne śledztwo? – Wysiadła już, więc nachyliła się do drzwi auta.

– Tak. Oficjalnie nie chcą tego łączyć ze sprawą Żelaznej.

– Głupota.

– Może i głupota. – Wzruszył ramionami. – Możesz się oburzać. Ale pamiętaj, na razie nie ma konkretnych dowodów, że te sprawy się łączą...



## Następne dni

Felicja poświęciła cały dzień na zrobienie notatek, bez których nie umiała pracować. I na tym się niestety skończyło, ponieważ u sąsiadów zza wschodniej granicy wybuchła wojna. Nagle temat pandemii wyfrunął gdzieś w kosmos, nikt już o niej nie myślał, choć ludzie nie przestali chorować. Jednak nawet choroba przeraża mniej od agresji. Gmina zaangażowała się w pomoc uchodźcom, Stefańska oczywiście również w niej uczestniczyła, zarówno zawodowo, jak i prywatnie. Greta praktycznie przestała istnieć poza pracą. Dzień za dniem upływał im na śledzeniu wiadomości na żywo oraz organizowaniu wsparcia. Lokalna zbrodnia również zeszła na dalszy plan, choć Felicja o niej nie zapomniała.

W końcu wojna to też zbrodnia – rozmyślała wieczorami – a każda zbrodnia jest zarazem rodzajem wojny. Wojny z drugim człowiekiem w imię własnych interesów. Zawsze jest agresor, napastnik, zbrodniarz i zawsze jest ofiara. I jak długo człowiek nie przestanie uważać, że dla własnych korzyści może odebrać życie innej istocie, tak długo na świecie będą prowadzone wojny. I będą morderstwa. Stracone istnienia i stracony czas. Ale do tej świadomości ludzkość jeszcze nie dojrzała. O ile kiedykolwiek dojrzeje.

Z czasem mieszkańcy Kryszewa przywykli do nowej sytuacji, nauczyli się żyć z wojną tuż obok siebie, za plecami. Każdego dnia wyczekiwali tej jednej jedynej dobrej wiadomości, lecz musieli też żyć normalnie. Nie przestali pomagać, w gminie przybyło cudzoziemców, nadzieja raz rosła, raz malała. Do tego dochodził strach. Wojna jest przecież jak rak.

Nawet na takiej huśtawce emocjonalnej trzeba jakoś funkcjonować, choć wiadomo, że to cholernie trudne. I właśnie wtedy zadzwonił Ryba z informacją, że Kasię wybudzono ze śpiączki farmakologicznej...

– O kurczę, nareszcie! Muszę tam zadzwonić! To świetna wiadomość, Rybko. Czy będzie teraz można ją odwiedzić? Przesłuchaliście już ją? I co powiedziała? – Felicja zasypała go gradem pytań, wiadomość podzialała na nią ożywczo. Działanie było jej potrzebne, by poczuć się lepiej. Kiedy miała przed sobą konkretny cel, wszystko wydawało się o wiele łatwiejsze do zniesienia.

– Powoli, powoli – upomniął ją Ryba. – To nowe info. Oczywiście możecie dzwonić i myśleć, że będzie można ją odwiedzić. Z tego, co wiem, Greta też się wybiera. Nie, jeszcze nie została przesłuchana. Może spróbujemy jutro. Nie pójdzie łatwo, podejrzewam, bo podobno w dużym stopniu straciła pamięć. – Zakończył z goryczą.

– Co?

– Nie pamięta, co się stało. W ogóle tego, co się z nią działo przez ostatnie tygodnie i przed tym... no, wypadkiem.

– Nie mów o wypadku, skoro to była napaść! – zaprotestowała.

– Oki, oki, to się tylko tak mówi. Spoko. Wiem, że to była napaść, tego nikt nie neguje. Jak mówię, jutro będziemy próbować. Jedzie do niej Pałka. Możliwe, że zabierze mnie ze sobą, bo ona mnie zna, a to może pomóc. Potem do ciebie zadzwonię. Pałka twierdzi, że później też możesz się przydać.

– W jakim sensie? – Oszołomiło ją to.

Z komisarzem miała w swoim czasie dziwne relacje. On ją ewidentnie na swój sposób „uwodził”, choć nie było w tym żadnej impertynencji. Ale spodobali się sobie nawzajem, mimo że Felicja po śmierci Sebastiana nie potrafiła do nikogo się zbliżyć. Polubili się i szanowali. Chronił ją podczas poprzedniego śledztwa. Teraz poczuła coś w rodzaju dumy i satysfakcji, że o niej pamięta.

– Nie mam pojęcia, ale chyba chodziło mu o to, że gdzie diabeł nie może, tam babę posle. Może twoja obecność ją odblokuje – wyjaśnił aspirant. – To ma sens, warto spróbować.

– Jasne, wobec tego czekam na wiadomość od ciebie. – Zakończyła rozmowę lekko stremowana.

Zadzwoniła do Greta i umówiły się wstępnie, że pojedą do Kasi we dwie. Oczywiście po przesłuchaniu. Greta już wcześniej dzwoniła do szpitala, rozmawiała z lekarzem i otrzymała pozwolenie na odwiedzinę. Stan fizyczny dziewczyny był podobno ogólnie dobry, gdyby nie amnezja dysocjacyjna...

– Powinna się cofnąć, ale nigdy nie ma pewności. – Greta też była podekscytowana. – I nie wiadomo, kiedy ewentualnie może to nastąpić. Najważniejsze, że Kaśka żyje i dochodzi do siebie! Teraz jest przy niej rodzina. Czeka ją jeszcze długa rehabilitacja. Boże, niech tylko złapią tych bandytów, chciałabym przy tym być.

– Lepiej nie. – Felicja uśmiechnęła się do siebie. – Bo mogłabyś potem pójść siedzieć i na dodatek dostałabyś wyrok wyższy od nich.

– A idź!

- Teraz mówi się: idi...
- Wiem, wiem. Nie musisz kończyć. Koszmar, co za świat nam się zrobił. – Greta spochmurniała.
- Zawsze taki był. Ludzie tacy są.
- Nie wiem, czy masz rację. Pewnie masz. Ale chcę wierzyć, że będzie lepiej. Muszę w to wierzyć, inaczej po co się trudzić?
- Uwielbiam twój optymizm – odparła szczerze Felicja, chociaż nie potrafiła darować sobie ironii. – Jadę sfotografować dary dla naszych uchodźców, tekst poleci jutro na portal. To co, do usłyszenia wkrótce?

\*\*\*

– Mylisz normalne życie z polityką – oświadczyła Felicja w odpowiedzi na utyskiwanie swojej towarzyszki, że kilku szaleńców przy władzy może podpalić cały świat. Kontynuowały swoją niekończącą się dyskusję w samochodzie Grety, w drodze do szpitala dwa dni później.

Dzień wcześniej odbyło się przesłuchanie Kasi, które niewiele dało: jej pamięć niestety nadal szwankowała, a w zasadzie w ogóle nie działała, szczególnie gdy chodziło o czas tuż przed napadem i praktycznie aż do momentu wybudzenia ze śpiączki.

– Ja myślę? – Greta Pazik zerknęła na nią z ukosa znad kierownicy, by po chwili skupić wzrok z powrotem na drodze. Jak zwykle jechała ostrożnie i raczej powoli. Zazwyczaj Felicję to drażniło, wolała ostrzejszą jazdę. Dziś jednak była z tego zadowolona. Próbowała się zrelaksować. Nie spieszyło się im, obie trochę obawiały się tej wizyty. W szczególności tego, że nie będzie to już ta sama Kaśka. Dyskusja na tematy polityczne pozwalała im oderwać się w tej chwili od tych myśli.

– Niczego nie myślę – kontynuowała tymczasem Greta. – Raczej ty hołdujesz jakimś dziwnym pojęciom. Polityka to także zwyczajne życie. Ma być ludzka, rozumiesz?

– Polityka i człowieczeństwo?! – prychnęła dziennikarka. – Żartujesz?

– Zdaje się, że jestem politykiem? Tak, wiem, że na inną skalę. Nie przywódca żadnego mocarstwa, jedynie gminy. Ale to tylko skala, tak naprawdę o to samo chodzi. O działanie dla tego kawałka, którym zarządzasz z woli ludzi, dla ludzi i zgodnie z ich oczekiwaniami. Staram się jak mogę, a ty mi odmawiasz człowieczeństwa?

Stefańska pokręciła głową.

– Gretka, tobie akurat niczego nie odmawiam. Jesteś wyjątkiem, jakbyś pochodziła z innej planety. Takich polityków jak ty już nie ma! A może nigdy nie było. To jest brudny świat, w którym liczą się tylko kasa i władza. Wśród polityków zdarzają się oczywiście różni ludzie: lepsi i gorsi, mądrzejsi i głupszy, interesowni skorumpowani cynicy i totalne mendy. Zdarzają się również psychopaci i szaleńcy. A jeśli wariat ma w rękę całe zaplecze i wszelkie możliwe środki, to wysadzi świat w powietrze. Daj małpie brytwę, zobaczysz, co zrobi. Bo wszystkie wasze mechanizmy nie są tak naprawdę żadnym zabezpieczeniem. Wystarczy, że ktoś sobie na nie bimba. Mało znasz przykładów, choćby z własnego podwórka?

– Jak zwykle masz swój czarny punkt widzenia. – Greta nie zamierzała ustąpić. – Mówisz o skrajnościach.

– Bo w takiej czarnej skrajnej dupie teraz właśnie jesteśmy. I to jest wasza wina, polityków z całego świata. To wasza krótkowzroczność doprowadziła do takiej sytuacji.

– Nasza? A niby kim my jesteśmy? Kosmitami? Spadliśmy z księżycy? Nie! Jesteśmy tylko częścią społeczeństwa. Swoją drogą, gdyby w polityce było więcej kobiet, świat wyglądałby inaczej.

– Zapewne – zaśmiała się Stefańska. – Ale ktoś musi od tysiącleci ciągnąć ten wózek, żeby się nie rozpadł, kiedy chłopcy bawią się w swoje wojny.

Greta westchnęła.

– Dobra, lepiej zmieńmy temat, zanim zabrnijemy w seksizm. Jak powinniśmy rozmawiać z Kaśką, co o tym myślisz?

– Jak to jak? Normalnie. – Felicja wzruszyła ramionami. – O ile nas pozna. Nie można dać jej odczuć, że traktujemy ją inaczej niż dawniej.

– Znalazłaś coś w tym jej notatniku?

– Tyle co ty. W zasadzie wszystko mi streściłaś. Dalej były już tylko jakieś urwane słowa, wykrzykniki, pytajniki, skreślenia. Chaos, jednym słowem, nie do odcyfrowania. Słuchaj, a gliny wiedzą o tym notesie?

– Tak. Nawet go skopiowali. Ale oni chyba nie za bardzo... no, nie uznali, że to coś interesującego. – Skrzywiła się pani wójt.

– Czyli jak zwykle.

Zamilkły, gdyż zbliżały się do celu. Nie miały ze sobą kwiatów, zostały uprzedzone, że na oddział nie wolno wносить bukiecików. Zabrały tylko mleczną czekoladę, którą Kasia uwielbiała. Tego się chyba nie zapomina...

Kwadrans później wjeżdżały na szpitalny parking.

O dziwo, przed izolatką siedział młody mundurowy, a powitali je tam rodzice Kasi, państwo Malinowscy, którzy prawie stale, wspólnie lub na zmianę, czuwali przy córce. Sympatyczni ludzie w średnim wieku, nie najgorzej sytuowani i inteligentni. Rzucali się w oczy podobieństwem Kasi do obojga.

– Ten policjant siedzi tu od wczoraj – oznajmiła szeptem pani Malinowska. – Posadzili go zaraz po przesłuchaniu. Jest uprzedzony o waszej wizycie, ale pewnie i tak będzie was legitymował. Nie wiem, Gretko, czy to oznacza, że naszej córce coś grozi? Niczego się nie można od nich dowiedzieć...

Greta objęła ją. Od dawna były sąsiadkami, przyjaźniły się.

– Nie martw się, to procedury, oczywiście dla bezpieczeństwa – pocieszyła kobietę. – Na wszelki wypadek. Kiedy leżałam tutaj po postrzale, też tak było. Trzeba się z tego raczej cieszyć. A jak czuje się nasza pacjentka?

Malinowska westchnęła.

– Coraz lepiej, ale serce się ściska, gdy się na nią patrzy. Co ci bandyci jej zrobili! Taka z niej była wesoła dziewczyna, a teraz leży bezsilna i cała w bandażach.

– Mogła się nie angażować w podejrzaną sprawę! – wtrącił jej mąż.

– Przepraszam was bardzo, moi kochani. – Greta poczuła się winna całej sytuacji. – Nie powinnam była do tego dopuścić.

Alte pani Malinowska odpowiedziała szybko:

– Daj spokój, kochana, niby jakim cudem? Sama nie potrafiłam odwieść jej od tego. Kasia jest dorosła, decyduje za siebie. Ale jak dobrze, że pani już wróciła! – dodała, witając się z Felicją, która kiwnęła głową z bladym uśmiechem, zauważając w duchu, że choć sama jest dwa razy starsza od swojej asystentki, jej matka reaguje znacznie gorzej od matki Kasi.

– Wchodzimy? – zapytała.

Greta wyjęła z torebki swoją legitymację.

– Tak – odparła, podchodząc ze służbowym uśmiechem do znużonego policjanta, który przeglądał coś na smartfonie.

– W porządku, wiem, że miały panie przyjść, dzwoniło do mnie w tej sprawie. – Poderwał się z krzesła. – Możecie państwo wejść.

– Tyłko nie wspominać przy niej o wojnie, niech ona w tej własnej najpierw zwycięży... – wtrąciła prosząco pani Malinowska.

– Oczywiście. Chodźmy wszyscy razem. Dziewczynie będzie rażniej. – Pani wójt położyła dłoń na klawecie.

Nie rozpoznałyby Kasi, ledwie było ją widać spod zwojów bandażu. Błada i posiniaczona, ale uśmiechnęła się na ich widok kącikami warg.

– Pani Greta... Felicja! – wyszeptwała. – Wróciłaś. Tak się cieszę...

Greta otarła łzę spod oka, Stefańska też poczuła wzruszenie. Kaśka jej nie zapomniała, choć Felicja tak się tego obawiała.

– Oczywiście, że wróciłam. Nie będziemy cię ściskać, bo... – Dziennikarka znacząco spojrzała na opatrunki. – Pewnie cię boli. Ale przemyciliśmy ci twoją ulubioną czekoladę. – Mrugnęła.

– Super... może mi pozwolą...

– Nie stójmy tak! – wtrąciła mama Kasi. – Siadajcie, panie, proszę, a my zaczekamy na korytarzu. –

Przysunęła bliżej dwa krzesła. – Albo może pójdziemy na kawę. Córeczko, później wrócimy, porozmawiamy sobie.

– Dobrze, mamusi. – Dziewczyna znów uśmiechnęła się blade.

– Panie się bały, że ich nie poznasz – dodała Malinowska. – Ale Kasieńka doskonale pamięta ludzi i wszystko, co się wydarzyło do... tamtego momentu. Po prostu przeżyła szok i dlatego wyparła to z pamięci, tak nam powiedział lekarz. No to my już teraz pójdziemy. Jakby co, będziemy na dole, w kafeterii. Nie żegnamy się, bo przecież jeszcze się na pewno zobaczymy, prawda?

Gdy państwo Malinowscy wyszli, Kasia zapytała:

– Naprawdę myślałyście, że was nie rozpoznam?

– Nie do końca wiedziałyśmy, jak jest z twoją pamięcią. Może faktycznie trochę się tego bałyśmy, ale... – Greta bezradnie spojrzała na przyjaciółkę.

– Ale gdybyś nas nie poznała, to i tak byśmy ci się przypomnieli – zażartowała Felicja. – Następnym razem opowiem ci o mojej podróży. Dziś jeszcze za wcześnie, kazali nam cię nie męczyć.

– A jak ty się czujesz, Kasiu? – zatroszczyła się Greta.

Pacjentka uśmiechnęła się przeprasząco.

– Bywało lepiej – westchnęła.

– Będzie lepiej.

– Wiem. Wczoraj tu była policja...

– Tak, szukają napastników. – Stefańska pokiwała głową. – I znajdą ich. Kasiu, badam teraz sprawę, którą rozpracowywałaś wcześniej. Sprawę Żelaznych. Gdybyś tylko przypomnieli sobie, czym zajmowałaś się na końcu, zanim to się stało...

– Felicja, nie! Proszę. Uważaj na siebie! – Dziewczyna się przeraziła. Jej i tak biała jak płatek śniegu twarz pobladła jeszcze bardziej. Próbowwała nawet usiąść, ale zabrakło jej sił, i opadła z powrotem na poduszkę.

– Nie denerwuj się. Uważam i jestem bardzo ostrożna. Przecież znam się na tej robocie, za to ty niepotrzebnie ryzykowałeś. Ale twoje notatki bardzo mi się przydały. Gdybyś jeszcze przypomnieli sobie, czym zajmowałaś się na końcu, byłoby nam łatwiej dojść do tych, którzy na ciebie napadli. – Stefańska starała się ją uspokoić.

– Oni mnie chcieli zabić – sprostowała. – Rozumiem. Ten policjant też o to pytał. Ale ja naprawdę niczego nie pamiętam...

– Kompletnie nic?

– Nic. Czarna dziura. Próbuje sobie przypomnieć... i nic. – Głos lekko jej się załamał, zakończyła szeptem.

– To nie szkodzi, kochana! – pospieszyła z zapewnieniem Greta. – Zaczekamy. W końcu sobie przypomnisz.

– Moja pamięć kończy się na tym, jak zaczynam to dochodzenie. Dalej mam blokadę – westchnęła.

– A jak się ma Bury?

– Świetnie! – Felicja się uśmiechnęła. – On też na ciebie czeka. Pójdziemy już, odpocznij. – Zerknęła na ekran komórki. – Zejdziemy pożegnać się z twoimi rodzicami, powiemy im, że mogą wracać, krzesła już wolne – zakończyła żartem, a Kasia odpowiedziała jej uśmiechem.

Greta również się podniosła.

– To do zobaczenia, Kasiu. Niedługo znowu do ciebie zajrzemy.

– Zaczekajcie... – Dziewczyna zatrzymała je, gdy były już prawie przy drzwiach. – Jedno mi się chyba przypomina. Napis...

– Jaki napis? – zainteresowała się Felicja, przystając w nogach łóżka.

– Budomax.

– To nazwa firmy. – Dziennikarka poczuła rozczarowanie. – Firmy tych Żelaznych. Pewnie go pamiętasz z billboardów.

– Nie! – zniecierpliwiała się pacjentka. – To inny napis. Taki jakby z jakiejś kartki. Ciągle mi się śni...

Malinowskich odnalazły bez trudu w przyszpitalnej kafeterii, gdzie popijali kawę, a pani Malinowska jadła pączka. Greta poprosiła ją o telefon, jeśli Kasia przypomni sobie coś więcej.

– Normalnie to od lat spotykałyśmy się w naszych domach, ale teraz prawie zamieszkałaś w szpitalu – dodała, obejmując sąsiadkę.

– Nie dziw się, kochana...

– Wcale się nie dziwię! Na twoim miejscu też bym się stąd nie ruszała. Wróćcie do córki. I trzymajcie się.

Felicja również się pożegnała i ruszyły w drogę powrotną.

– I jak znajdujesz Kaśkę? – zapytała Greta, gdy już wsiadły do samochodu. Właśnie zapinała pasy.

– Moim zdaniem lepiej, niż zakładałyśmy. – Felicja mimo woli się uśmiechnęła. – To twarda sztuka!

– O tak, od początku ci mówiłam.

– Pamiętam. Miałas rację. A co sądzisz o tym napisie, który jej się rzekomo przypomniał? Mógłby wskazywać na związki zabójstwa z firmą, o ile rzeczywiście coś takiego pamięta. Czy można traktować to serio?

Greta wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Trudno powiedzieć. – Włączyła silnik i powoli wyjechała z parkingu. – Mogło jej się przyśnić. Przy amnezji chyba trudno oddzielić prawdziwe wspomnienia od majaków...

– Raczej od koszmarów – poprawiła ją Stefańska.

– Tak to się ogólnie określa. Wiesz co, myślę, że nie zaszkodzi mieć to na uwadze. Była pewna swego, wręcz wkurzyła się, kiedy zasugerowałaś, że pamięta tylko nazwę firmy z billboardów.

Ale Felicja już nie słuchała jej uważnie.

– Nazwa firmy należącej do ofiary. Napis na kartce. Ciekawe... – wymruczała pod nosem bardziej do siebie niż do przyjaciółki.

\*\*\*

– Jaki napis? Budomax? Jak nazwa tej korpo od Żelaznych? – dopytywał nieco skwaszony Ryba.

– Dokładnie tak – potwierdziła Stefańska. – Napis na jakiejś kartce. Upierała się przy tym. Utkwił jej w pamięci, nawet jej się śni. Czyli coś w tym musi być.

Ryba wrzucił dwie kostki cukru do kawy i mieszał ją nerwowo małą łyżeczką. Siedzieli w nowo otwartym w Kryszewie koktajlbarze. Felicja nie przepadała za kawą, a herbaty tu nie mieli, zamówiła więc czekoladowego szejka.

– Nic nie musi być! – Policjant najwyraźniej nie miał ochoty drążyć tematu, a tym bardziej rozgrzebywać zawieszonoego śledztwa. – Mogła coś sobie uroić. Zresztą nam nic na ten temat nie mówiła.

– Bo przypomniała sobie o tym dopiero wczoraj, kiedy już od niej wychodziłyśmy. Ona nie ma skłonności do urojeń, to konkretna, rzeczowa dziewczyna. Nigdy nie fantazjuje. Była pewna swego.

Ryba skosztował kawy i się skrzywił, widocznie była za gorąca.

– Straciła pamięć – powiedział dobitnie. – Cholera wie, co się wtedy dzieje w mózgu. A ta nazwa mogła utkwic jej w podświadomości, przecież drążyła sprawę Żelaznej. Tysiące razy widziała taki napis choćby na budynku firmy i pewnie na różnych papierach, dokumentach i reklamach.

– Też jej to zasugerowałam. Obraziła się! Jest przekonana, że to nie to. Musiała zobaczyć ten napis w nietypowych okolicznościach. Może w jakimś liście? Skoro na kartce, czyli chyba odręczny?

– Logo? Pieczętka?

– Jaka pieczętka?

– No, na kartce. – Wzruszył ramionami Ryba. – Nie musiał być odręczny. Ten cholerny napis mam na myśli.

Felicję coś tknęło, ale nie bardzo wiedziała, o co chodzi.

– Pewnie – przyznała. – Spróbujcie jeszcze z nią o tym przy okazji pogadać, z jej pamięcią z dnia na dzień może być coraz lepiej.

– Okej, powiem o tym Pałce. I tak miał ją jeszcze raz przesłuchać, to niech pyta. Dobry ten szejek? Daj spróbować, nie bądź żyła...

– Bierz. I tak mi wypijesz. Dasz mi namiar na syna Żelaznej?

– Ty dalej zamierzasz zajmować się tym zabójstwem? Mimo wojny za plecami? – zagadnął, popijając jej koktajl.

– Przecież u nas nie ma wojny.

– Jeszcze nie ma. Ale wszystko może się zdarzyć, wiesz, że w takich sytuacjach nigdy nic nie wiadomo.

– Nie kracz, Ryba! Wbrew pozorom świat nigdy nie był bezpieczny. Ale może różnie się zdarzyć, już się podobno zaczęli dogadywać. Twoim zdaniem mam tylko siedzieć i czekać na bombę atomową? A wy nie pracujecie?

Aspirant zaśmiał się z goryczą.

– Jeszcze więcej niż normalnie! – odparł. – Syna Żelaznych łatwo znaleźć, ma w Stanach własną firmę. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. – Ryba uwielbiał posługiwać się przysłowiami ludowymi. – Wyślę ci namiary na komórkę, bo muszę sprawdzić w notatkach. Na pamięć się tego nie uczyłem.

## Kryszewo, marzec

Nowy miesiąc zaczął się pogodnie, pojawiły się pierwsze oznaki wiosny, a wraz z nimi nadzieja. Wojna za wschodnią granicą trwała i choć czasem trudno było oddzielić prawdę od kłamstw, fakty od celowej dezinformacji, jedno było pewne: koszmar się nie skończył, nie skończyły się bombardowania, ostrzały, morderstwa na cywilach, dzieciach, zwierzętach, gwałty i zniszczenia. Odwieczna wola przetrwania sprawiła jednak, że wszystkie te potworne obrazy, podobnie jak wściekłość, strach i lęk o przyszłość, wtopiły się w tło. A że w naszej części Europy tło nigdy nie było zbyt radosne, więc może przywykliśmy – jako społeczeństwo – do mroku. Ludzie nie przestali pomagać poszkodowanym, wspierać ich, solidaryzować się z nimi, po drugiej stronie granicy nikt nie składał broni. Ale większość postrzegala wojnę tak, jak jeszcze niedawno koronawirusa: dopóki nie doświadczysz, nie poczujesz, dopóty możesz udawać, że tego nie ma...

I żyć jak dotąd.

Żyć.

Normalnie.

Dopóki się da.

Felicja też starała się żyć normalnie. Może nawet było jej łatwiej niż innym, bo już zaznała straty. Teraz jej życie sprowadzało się do aktywności zawodowej, konkretnie do zadania, które ją pochłaniało. Widząc przed sobą cel, nie rozglądała się na boki. Cel był jasny, choć dookoła panował mrok.

\*\*\*

Do Patryka, syna Żelaznych, napisała maila. Streściła w nim powody, dla których prosi go o kontakt. Szybko obliczyła w myślach, ile facet ma lat. Około trzydziestki. Młody, zapewne w tym wieku jeszcze bezkompromisowy. W sieci znalazła zdjęcia z jakiejś imprezy firmowej, Patryk prowadził wypożyczalnię samochodów w Seattle. Szczupły, przystojny brunecik, wyglądał już bardzo „po amerykańsku”. Obawiała się, że nie odpowie, i będzie musiała go w inny sposób ścigać. Zdziwiła się, kiedy po kilku dniach przyszła związła, lecz uprzejma wiadomość z propozycją rozmowy przez Skype’a:

*Hello,*

*proponuję bezpośrednią rozmowę. Może być Skype?*

*Do usłyszenia*

*Patryk Żelazny*

Umówili się na połączenie następnego dnia przed południem – to znaczy w Ameryce przed południem, bo w Polsce będzie już wieczór, co Felicji odpowiadało. Może zdąży wcześniej poszukać informacji z przebiegu procesów – tego po śmierci Żelaznego, a także spadkowych, do dziś niezakończonych, teraz zapewne wznowionych po zabójstwie Sylwii Żelaznej.

– Hello, witam! – Patryk mówił z wyraźnym amerykańskim akcentem, Felicja była nawet ciekawa, czy rzeczywiście, czy tylko udawanym. Ale ponieważ od dawna już mieszkał w Stanach, to może akcent był prawdziwy i wytłumaczalny. Możliwe. Choć znała ludzi, którzy żyli poza krajem znacznie dłużej i mimo to posługiwali się nienaganną polszczyzną. Podobno nie zapomina się języka, z którym się urodziło...

– Dzień dobry – odparła, pamiętając o różnicy czasu. U niej za oknem było już ciemno. – Przede wszystkim wielkie dzięki, że zgodził się pan na rozmowę...

Natychmiast jej przerwał:

– Nie ma za co, tylko proszę sobie uświadomić, że nie robię tego z ochotą. Mnie to nie jest potrzebne.

– Rozumiem – zawahała się. Nie rozumiała. – Będę o tym pamiętać. Więc dlaczego się pan zgodził?

– Z trzech powodów. – Facet był zasadniczy. – Po pierwsze dlatego, że jestem ciekawy, co kombinujecie, jestem przeciw ostatnim z rodu. Po drugie, bo pani napisała do mnie grzeczną prośbę, a ja też jestem grzeczny. Nie, nie wyniosłem tego z domu. Nauczyłem się, prowadząc tutaj interesy. Po trzecie,

żeby nie dać nikomu okazji do celebrowania pamięci mojej matki i robienia z niej świętej ofiary. W szczególności mediom. To była zła kobieta i dostała, na co zasłużyła. Czy teraz już pani rozumiała?

Dziennikarkę zatkalo.

– Jest pan bezwzględny... – wymsknęło się jej.

– Owszem. To z kolei wyniosłem z domu.

– Dużo w panu goryczy. Wierzę, że niebezpiecznej. Jako reporterka gminna próbuję ogarnąć tę sprawę. Zrozumieć, co się wydarzyło i dlaczego. Takie otrzymałam zadanie i historia pańskiej rodziny mnie wciągnęła. Skoro już rozmawiamy tak szczerze, czy mógłby mi pan zdradzić, za co nienawidzi pan swojej matki? – Nie była pewna, czy nie pospieszyła się z tym bezpośrednim pytaniem, ale Patryk wydawał się wręcz zadowolony.

– Służę odpowiedzią – podchwycił. – Moja matka nienawidziła wszystkich, nie wyłączając najbliższej rodziny. Najbardziej męża, czyli naszego... mojego ojca. I siostry. Oboje, jak to się u was mówi, świętej pamięci. Matka kochała tylko siebie i pieniądze. Mówiłem, że była złym człowiekiem, ale to eufemizm. Była wcielonym szatanem – dokończył spokojnie, z wyraźną satysfakcją.

– A ja słyszałam, że bardzo pana kochała i liczyła, że wróci pan objąć firmę... – Przesadziła, o niczym takim nigdy wprost nie słyszała, ale wyczytała to z licznych sygnałów, jakie do niej dochodziły.

Młody człowiek zaśmiał się szyderczo. Na ekranie ujrzała nieprzyjemny grymas na ogolonej, gładkiej twarzy.

– Nigdy nie wrócę do Polski i nigdy w życiu nie przejmę tej cholernej firmy! – Mówiąc to, zatracił swój amerykański akcent. Czyli miała rację, zakonotowała w duchu. – Następne pytanie proszę! – rzucił.

– Okej. Zapytam wprost, czy obwinia pan matkę o śmierć swojego ojca i siostry?

– Owszem – odpowiedział natychmiast, niemal wchodząc jej w słowo. Znaczyło to zapewne, że był przygotowany do tej rozmowy, przewidział pytania. – Jestem przekonany, ba... jestem pewien, że zleciła zabójstwo ojca i Beaty.

– Beata to siostra?

– Tak. – Jego głos nagle zmiekkł. – Moja nieżyjąca, piękna starsza siostra. Mogłaby żyć, robić karierę, na którą zasługiwała, gdyby nie ta podła... – Urwał zdyszany. – Gdyby nie ta... larwa – dokończył z furią.

– Uważa pan, że matka była morderczynią? – upewniła się. – Że ich oboje zabiła?

– Nie własnymi rękami! Nigdy nie pobrudziłaby wypielęgnowanych rączek – prychnął pogardliwie.

– Miała komu zlecać brudną robotę.

– Komu?

– Niech pani nie udaje naiwnej. To była potężna i bogata kobieta. Tacy ludzie mają wielu skurwieli na swoich usługach.

– Ale śledztwo tego nie wykazało. Policja i sąd stwierdziły co innego.

– Nie bądźmy śmieszni. Policja i sądy też są na usługach oligarchów. Zawsze były, są i będą.

Felicja zamilkła na chwilę, zastanawiając się nad jego słowami. Poruszyła ją zapiekła nienawiść, której była świadkiem.

– Czy pana relacje z ojcem były dobre? – zapytała. Na ekranie ujrzała, jak Patryk, lekko zmieszany, wzrusza ramionami.

– Co mogę powiedzieć? Nic nie mogę, byłem mały, kiedy zginął. Pamiętam go jak przez mgłę. Ale zapamiętałem, że był dla nas dobry. W przeciwieństwie do niej. Ona miała nas gdzieś. Bankiety i interesy, to siedziało jej w głowie, a dla nas tylko kolejne niańki i gosposie. Zero serca. Wiecznie zniecierpliwiona, zimna, oschła. Taka była. Po śmierci ojca zrobiło się jeszcze gorzej, już prawie w ogóle przestałszy ją widywać...

– Więc może choć dla pamięci ojca powinien pan poprowadzić jego firmę? – zasugerowała Stefania.

– Nie. To już była tylko jej firma. Jego w porę wyeliminowała. Nie czuję się w żaden sposób z nią związany. Mam na myśli Budomax, czyli firmę. Tutaj nie jestem żadnym milionerem, ale interesy idą mi dobrze. Tyle mi wystarczy, spełniam się w tym. To moje życie. Nie ożeniłem się i nie zamierzam. Nie mam dzieci. Nie potrzebuję niczego więcej. Nie chcę wracać do korzeni. I nigdy nie skorzystałem z pomocy tej kobiety. – Zaciśnął usta.

– A oferowała panu pomoc?

– Owszem. – Skrzywił się. – Nawet parę razy. Żeby mnie od siebie uzależnić. Kazałem jej spieprzać do diabła.

– Czyli nie myśli pan o przyjęciu spadku?

– W żadnym razie. Nawet nie zamierzam się interesować jakimiś sprawami spadkowymi, zrzekam się tego. Niech robią z tym, co chcą. Mogą rozdać biednym. Albo oddać uchodźcom.

– Tego raczej nie zrobią – zauważyła. – Znajdą się inni spadkobiercy...

– Zgadza się. Chętnych pewnie nie zabraknie. Choćby ci jej współnicy, sępy takie same jak ona.

– Panie Patryku, jeszcze jedno, już ostatnie pytanie. Jak pan sądzi, kto ją zabił? – Zawiesiła głowę.

– Nie wiem i niewiele mnie to obchodzi. Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. Mógł to zrobić ktoś z zarządu, wiecznie miała ze wszystkimi scysje. Wiem, bo czasem pisali do mnie, licząc, że wciągną mnie w swoje brudy. Albo jakiś oszukany klient, albo konkurencja, bo nigdy nie grała czysto. Każdy mógł mieć dobry powód, żeby się jej pozbyć. To mogła być też dawna bezpieka. Ona kłamała wszystkim, że tata był konfidentem. A założę się, że sama na wszystkich donosiła. To by do niej pasowało. Może któregoś szantażowała i ją stuknęli? To też prawdopodobne. Moim zdaniem nawet nie warto się tym zajmować. Ja jej w każdym razie nie zabiłem, nie chciałoby mi się ruszać gówna. Wyjaśnijcie lepiej, jak zginęli mój ojciec i siostra!

– Oczywiście, tamte sprawy też mnie interesują – powiedziała. – Choć policja zawiesiła dochodzenie, ono wciąż nie jest zamknięte, a ja prowadzę tylko dziennikarskie śledztwo. Jednak zrobię, co mogę. Czy w razie potrzeby będę mogła jeszcze raz skontaktować się z panem?

Tym razem Patryk uśmiechnął się życzliwie, już wyluzowany i na powrót nienagannie uprzejmy, elegancki.

– Nawet dwa razy – odparł. – Ile będzie trzeba. Zawsze służę pomocą. Miło się z panią rozmawiało.

– Dziękuję. Do usłyszenia.

– Hej.

\*\*\*

Felicja nie mogła zasnąć. Poruszona rozmową z Patrykiem Żelaznym próbowała odszukać w sieci i w archiwach cyfrowych wzmianki na temat okoliczności śmierci Beaty Żelaznej. Nie znalazła tam jednak niczego ciekawego, poza lakonicznymi notkami prasowymi sprzed ponad dziesięciu lat o wypadku drogowym, w którym zginęła między innymi córka znanego nieżyjącego już biznesmena z Trójmiasta. To zbyt mało, by wyrobić sobie zdanie na ten temat. Czy w jednej rodzinie może wydarzyć się aż tyle zbiegów okoliczności naraz? Inna sprawa, że nie była to typowa rodzina. Dziennikarka zastanawiała się, ile prawdy znajdowało się w gorzkich i na pozór spontanicznych wynurzeniach Patryka. Ta historia śmierdziała, i to bardzo...

Zdecydowała się pomścić jeszcze w tej kwestii Rybę, a w odwodzie miała też lokalną bibliotekę. Dziesięć lat temu prowadzono już gazetkę gminną, może tam znajdzie się więcej informacji. Policjanta dopadła w komisariacie. W pierwszej chwili ucieszył się z jej wizyty, szybko jednak – gdy zorientował się, z czym przyszła – okazał zniecierpliwienie. Ale wysłuchał streszczenia rozmowy w miarę spokojnie.

– Nie, Felicja... – Rozmasował sobie skronie w geście oznaczającym zmęczenie. – Błagam cię. To wariat! Daj sobie spokój, nie trać czasu. Nie było niczego podejrzanego w tamtym wypadku. Już walkowaliśmy tę sprawę. Nawet ją trochę pamiętam. To się wydarzyło w dwa tysiące dziesiątym. Młoda Żelazna miała wtedy ze dwadzieścia pięć lat lub coś koło tego. Mamusia obsadziła ją na dość poważnym stanowisku, zdecydowanie za poważnym jak na jej wiek. Dziewczyna więcej balowała, niż na serio pracowała. Rozrywkowa panna. Tamtej nocy jechali na jakieś spotkanie biznesowe do Berlina. Była jesień, kiepska pogoda. Wcześniej po drodze imprezowali. Wszyscy mieli we krwi alkohol, nawet kierowca, choć on najmniej, natomiast ona i asystent byli kompletnie pijani, a na dodatek naćpani. Wpadli w poślizg i wylądowali na drzewie. Ta sprawa nie budziła i nie budzi wątpliwości. To był wypadek. Co innego oczywiście śmierć papy Żelaznego...

– To wiadomo – wtrąciła. – Ale widzisz, Patryk wydawał się bardzo pewny swego. I to, co mówił, w nowym świetle stawia Żelazną. Nie Beatę, tylko Sylwię. Jego matkę. To musiała być straszna kobieta!

Ryba wzruszył ramionami.

– Może tak, może nie – stwierdził, bawiąc się długopisem. – Różne są opinie na jej temat. On zresztą nie lepszy. Takie rzeczy wygadywać dziennikarzom o swojej, bądź co bądź, rodzonyj matce? Pielęgnować w sobie chorą nienawiść? Daj sobie na luz, piękna. Oni wszyscy tam, zdaje się, są siebie wariaci.

– Byli.

– Co byli?



– Byli siebie warci, bo prawie wszyscy już nie żyją. Został tylko jeden.  
– No właśnie. Dla mnie jest najbardziej podejrzany. Od początku. Starego nie zabił, miał wtedy dwa lata, ale matkę w odwecie mógł załatwić...

Felicja się zamyśliła.

– Bo ja wiem, on mi wygląda bardziej w takiego, co tylko w gębie jest mocny – odezwała się w końcu. – Nie wydaje mi się zdolny do zorganizowania zabójstwa. Chyba że jest świetnym aktorem. Odłóż tego cholernego pisaka, irytujesz mnie!

Ryba posłusznie położył długopis na biurku obok komputera.

– Możliwe, że dobrze gra. – Kiwnął głową. – Sama zobacz, że nie mówi całej prawdy, kręci. Z jednej strony twierdzi, że w ogóle nie interesował się firmą, matką, spadkiem. A tymczasem wszystko wiedział. Był na bieżąco. Nawet się z jej współnikami kontaktował. No i jaki przy tym chętny do rozmowy z tobą, czyli z prasą! Przecież przedstawiłaś mu się na dzień dobry, wiedział, kim jesteś. Gdyby było tak, jak twierdzi, olałby to, a nie parł do rozmowy. Nie zastanowiło cię to?

Teraz ona rozmasowała sobie skronie. Poczula się skołowana.

– Nie wiem. Może masz rację. O to go zresztą zapytałam. Wyjaśnił...

– E, głupoty! – Policjant machnął ręką. – Farmazony. To nie było żadne wyjaśnienie, tylko bufnada. Facet jest śliski, mówię ci. Oczywiście, możesz iść do biblioteki, nie zaszkodzi. Justynka pomoże ci poszukać materiałów, nawet poproszę ją o to. Ale nie obiecuj sobie za wiele. Moim zdaniem stracisz tylko czas. Beata Żelazna zginęła w wypadku, cała trójka sama go zresztą spowodowała. A Patryczek dorabia do tego teorię spiskową, żeby zrobić ze swojej mamusi upiora...

\*\*\*

Biblioteka trochę się rozrosła. Podczas nieobecności Felicji wygoszparowano i wyremontowano dodatkowe pomieszczenia z dawnej auli. Za ladą zastała tylko dwie młode dziewczyny, których nie znała. Jedna wpisywała coś do komputera, a druga wydawała książki starszej kobiecie w kapeluszu z woalką.

Gdy Felicja zapytała o panią Renatę, kierowniczkę, odpowiedziała jej ta od komputera:

– Pani kierownik jest obecnie na urlopie, do kwietnia, ale na zapleczu zastanie pani zastępczynię, panią...

– Justynę?

– Tak, właśnie. Bo my tu jesteśmy na praktyce. Ale jeśli trzeba w czymś pomóc...

– Na razie dziękuję, pójdę do pani Justyny, jeśli można. – Felicja uśmiechnęła się do miłej praktykantki.

– Zaprowadzić panią?

– Nie trzeba, jestem z urzędu gminy, znam drogę.

Obie dziewczyny skinęły jej głową nieśmiało. Wycofała się do holu i bocznymi drzwiami przeszła do administracyjnej części biblioteki. Za magazynkiem, przez uchylone drzwi do pokoju kierowniczkich, zobaczyła Justynę Rybę, która szukała czegoś na półkach, stojąc na palcach. Gęste blond włosy miała splecione we francuski warkocz. Dziennikarka z odrobiną zazdrości zauważyła jej zgrabne nogi w poły-skliwych rajstopach oraz miękkich kozaczkach na niewysokich szpilkach.

– Dzień dobry, pani Justyno! Można? Nie przeszkadzam?

Młoda kobieta drgnęła, ale odwróciła się z szerokim uśmiechem na ładnej, choć trochę lalkowatej twarzy.

– Przepraszam, myślałam, że to któraś z naszych praktykantek... Pani Fela! – wykrzyknęła radośnie. – Jak dawno pani nie widziałam! Słyszałam już od Zygmunia, że pani wróciła. To wspaniale! Napije się pani kawy?

Wyglądało na to, że mówi to szczerze. Nawet z tą „Felą”... nie musiała się domyślać, że nie cierpi tego zdrobnienia. Felicja nie pierwszy raz zastanawiała się, czy Justyna wie o jej romansie z Rybą sprzed ich ślubu. Trudno przypuszczać, że nie dotarły do niej choćby plotki. Ale zawsze traktowała Felicję serdecznie. Mimo to żałowała, że nie trafiła na Iwonę.

– Nie, dziękuję za kawę, już piłam rano, a za dużo nie mogę. Przychodzę po prośbie – wyjaśniła. – Chciałabym przejrzeć stare lokalne gazetki.

– Archiwalne numery? Oczywiście, nie ma problemu. Co panią interesuje?

– Zabójstwo Aleksandra Żelaznego, ale to dawne czasy, więc nie wiem, czy coś się na ten temat znajdzie. I wypadek jego córki Beaty sprzed dziesięciu lat. Wtedy już na pewno nasza gazeta istniała.

– Zgadza się. – Justynka usiadła przed komputerem. – Zaraz zerknę do katalogu. Nowe śledztwo, domyślam się, prawda? Mąż pracował nad sprawą zabójstwa pani Żelaznej. Taka tragedia! Chyba jakaś klątwa ciąży nad tą rodziną. Jak widać, pieniądze szczęścia nie dają... – Urwała na chwilę, klikając szybko w klawiaturę, a Stefańska pomyślała z rozbawieniem, że pewnie nauczyła się od Ryby przywoływania przysłów polskich na zawołanie. – O, proszę, od razu znalazłam! – zakomunikowała. – Jest kilka wzmianek o wypadku córki pana Żelaznego. Przy okazji również obszerniejszy artykuł o jego śmierci. To znaczy zabójstwie. W sumie niewiele tego, aż dziwne. No, ale takie sprawy, z tych sfer, rozumie pani, zawsze są jakieś takie... zawoalowane. Prawda? – Gdy Felicja przyznała jej rację, kontynuowała z zadowoleniem: – Ludzie chyba boją się o tym pisać. Wystarczy pani postać cyfrowa? Czy mam przynieść egzemplarze?

Dziennikarka się zawahała. Wolałaby wziąć gazety i usiąść z nimi w czytelnicy, ale obawiała się, że może tym sprawić zawód Justynce. Ta z kolei, widząc jej reakcję, zinterpretowała ją na odwrót.

– Będzie pani łatwiej tutaj – uśmiechnęła się zyczliwie. – Proszę wygodnie usiąść przy moim komputerze i spokojnie czytać. A ja w tym czasie zaparzę dla pani herbatkę, a dla siebie kawę, bo siedzę od rana i powiem szczerze, że padam już z nóg. Mam tu sporo pracy podczas nieobecności pani Iwony, a po powrocie do domu... cóż, dziecko. Oj, potrafi już człowiekowi dokopać nasza mała! Ale jest słodka, taka podobna do tatusia. To ja nie przeszkadzam, proszę spokojnie poczytać, można też drukować, tam jest drukarka.

– Dziękuję.

– Nie ma za co! Cieszę się, że mogłam pomóc. Pójdę do socjalnego, później jeszcze poplotkujemy, taka ciekawa jestem pani podróży...

Felicja w duchu złapała się za głowę, jednak usiadła posłusznie przed ekranem komputera, skupiając się na swojej pracy.

Zgodnie z tym, co zapowiedziała Justynka, nie znalazła za wiele. Wzmianki o wypadku bardzo lapidarne, wiedziała więcej, niż podawano w gazecie. Podobnie na temat śmierci Żelaznego. Streszczenie okoliczności, nic więcej. Później, po prawie dwóch latach, wrócono do tego, ubolewając, że nie udało się wykryć sprawców, a sprawa biznesmena zostaje odłożona do lamusa. Jedyne, co ją zaciekawiło, to komentarz Patryka Żelaznego po pogrzebie jego siostry. Na pytanie dziennikarza, co sądzi o tym wypadku, młody Żelazny odpowiedział, że ma swoje zdanie w tej kwestii, ale nie zamierza się nim dzielić. Gdy indagowano go o to, czy obejmie teraz funkcję siostry w firmie matki, odparł krótko, że ma inne plany. Z tego wniossek, że Patryk jest konsekwentny. Obliczyła w myślach: musiał mieć wtedy około dwudziestu lat. Studiował w Stanach, mógł sobie na to pozwolić z pieniędzy po ojcu, nawet bez pomocy matki. Od tamtej pory podobno ani razu nie był w Polsce.

Podobno...

Zrobiła wydruk tych wiadomości, przynajmniej będzie mieć wszystko na piśmie.

– I jak? – usłyszała radosny głos bibliotekarki, któremu wtórowało dzwonienie naczyń na tacy. – Znalazła pani coś ciekawego?

– Niewiele, niestety. Pozwoliłam sobie wydrukować.

– Bardzo dobrze! Mówiłam, że dużo tu nie ma. Ale za to jest już herbatka i kawka. I nawet herbatniczki znalazłam!

Intensywny zapach mocnej czarnej kawy przytłumił dyskretny aromat herbaty z filiżanki, którą Justynka postawiła przed Felicją. Herbata była niezła, z delikatną nutą bergamotki, jednak nachalna kawowa woń zemdlila dziennikarkę.

– Pani Felicjo! – Justyna Ryba z rozmachem padła na krzesło. – To niech pani opowiada! Zygmuś mówił, że przez cały rok mieszkała pani w samochodzie?

– No tak, zgadza się, ale...

Szczęśliwym trafem odezwała się komórka Felicji. Na wyświetlaczu pojawił się nieznan numer. Przeprosiła szybko i odebrała.

– Dzień dobry, Felicjo. Mówi Palczyński. Pamiętasz mnie jeszcze? Bo jesteś mi winna randkę.

– O, cześć! – odparła zdumiona. – Doprawdy, komisarzu?

– Tak całkiem na serio, to bardzo chciałbym się z tobą spotkać. Mamy parę spraw do omówienia.

– Jasne. Oddzwonię, bo teraz...

– Rozumiem. W takim razie czekam.

Dziennikarka rozłączyła się i spojrzała przepraszająco na Justynkę.

– Bardzo mi przykro, ale muszę uciekać. – Dopiła szybko herbatę, zbierając swoje rzeczy do plecaka. – Sprawy zawodowe – wyjaśniła.

– Tak, tak, słyszałam. – Bibliotekarka podniosła się, by odprowadzić gościa do drzwi. – I to sam komisarz! Co za pech, nie dadzą nawet pogadać. Ale może innym razem zajrzy do nas pani na her-

batkę?

– Na pewno. Dziękuję za pomoc, do zobaczenia!

\*\*\*

Relacje Felicji z komisarzem wydziału kryminalnego komendy wojewódzkiej w Gdańsku Arturem Palczyńskim – zwanym przez podwładnych Pałką – miały nieco dwuznaczny charakter. I to już od początku. Poznali się przy sprawie zaginionej dziewczyny i musiała przyznać, że Pałka stał wóczas na wysokości zadania. Gorzej, że – mimo żaloby po Sebastianie – jako facet działał na nią elektryzująco, zresztą z wzajemnością. Palczyński również nie ukrywał zauroczenia dziennikarką, troszczył się o jej bezpieczeństwo, zabiegał o spotkania. Miał wiele ciepła, wbrew pozorom surowości, przynajmniej dla niej. Wolała go unikać, żeby nie ulec pokusie i nie stracić do siebie resztek szacunku. Na dodatek uratowała jej życie. Wtedy dotrzymała danego pochopnie słowa, spotkali się raz prywatnie w kawiarni i zaczęli mówić sobie po imieniu. To nie była randka, ale i tak coś kryło się i buzowało pod powierzchnią zwyczajnej rozmowy. Komisarz był na tyle kulturalny, że nie naciskał. Nie na serio. Bardzo męski, choć nie „przystojny” według ogólnie przyjętych kanonów męskiej urody. Wysoki kanciasty pięćdziesięciolatek z bardzo jasnymi oczami i sardonicznym uśmiechem. Przeciwnieństwo Sebastiana, zawsze pogodnego, dobrodusznego misiowatego brodacza o kręconych ciemnych włosach. Dlatego tym bardziej nie rozumiała, co ją tak przyciąga do policjanta. Tłumaczyła to sobie chemią. Poza tym lubiła go. Po prostu lubiła jako człowieka.

Tym razem nie dostała wezwania na przesłuchanie, jak za pierwszym razem, tylko prywatnie, uprzejmie zaproszenie na spotkanie. Wiedziała jednak, bo sam jej o tym powiedział, kiedy oddzwoniła, że propozycja ma ścisły związek ze sprawą Żelaznej. To Pałka prowadził dochodzenie, miał więc prawo ją przesłuchać, skoro ona się w nie poniekąd włączyła. Nie mogła odmówić, bo wtedy i tak wyładowałyby na komendzie. Umówili się więc na następny dzień w gdańskiej kawiarni, tej samej, w której byli poprzednio, tuż przy wejściu do pasażu. Zdecydowała, że pojedzie autobusem, żeby uniknąć problemów z zaparkowaniem kampera w mieście.

– No nie, tu akurat zgadzam się z Rybą. – Komisarz odstawił filiżankę cappuccino na spodeczek i skosztował koniaku. – Moim zdaniem wypadek młodszej Żelaznej nie podlega dyskusji. Chyba że ktoś by całą trójkę upił i siłą podał im dragi. Jednak doskonale się bawili. Impreza odbywała się w sopockim klubie, było tam wielu świadków. Nawet ostrzegano ich, żeby w takim stanie nie jechali. Cóż, młodzi ludzie byli pewni siebie i nikogo nie słuchali. Pewnie czuli się władcami świata, no i koniec. Nie prowadziłem tej sprawy, ale dobrze ją pamiętam, poza tym przestudiowałem akta i rozmawiałem z zespołem, który się nią wtedy zajmował.

Felicja westchnęła.

– A sprawa Żelaznego? – zapytała.

– To co innego. Ta była jednoznaczna. Sam się nie pobił i nie położył na torach.

– Pracowałeś wtedy w policji?

– Dopiero zaczynałem, ale pamiętam tę historię. Wtedy była nie do rozwikłania. Za dużo tam istniało powiązań...

– Mętna woda?

– Właśnie. Takie były czasy – uśmiechnął się do niej kącikami warg, aż w jego oczach coś błysnęło.

– Widzę, że ty jak zwykle nie odpuszczasz.

Roześmiała się.

– Muszę wiedzieć – odparła. – Taka już jestem.

– Za to cię podziwiam. Ale bądź ostrożna, Felicjo. Martwię się o ciebie. Takie sprawy... tak naprawdę nigdy się nie przedawniają. To są całe pokłady brudów. Ktoś tę żonę załatwił raczej nie przez przypadek.

– Więc dlaczego zawiesiliście dochodzenie?

– Tyko zawiesiliśmy. Nie jest zamknięte.

– Macie nadzieję, że jak poleży, to może ktoś straci czujność i dopiero wtedy wypłyną nowe fakty?

– Bystra dziewczyna. – Wciąż przyglądał się jej z ciepłym uśmiechem. – Coś w tym rodzaju, moja piękna.

– Przezań! – Po dwóch kieliszkach koniaku zakręciło jej się w głowie. A ten facet działał na nią gorzej czy może raczej lepiej od trunku.

Zasiedzieli się i kiedy wreszcie opuścili lokal, Felicja zorientowała się, że uciekł jej ostatni autobus. Z cichą nadzieją, że Pałka zaproponuje jej podwózkę, zapytała o najbliższy postój taksówek. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że przecież oboje pili alkohol, a kurs nocny kosztuje, więc może lepiej z aplikacją...

Jednak komisarz podchwycił:

– Mam lepszy pomysł. Co byś powiedziała na kieliszek czerwonego wina u mnie w domu? Domowej roboty. Podobno dobrze robi na sen. A potem cię oczywiście sam odwożę, jeśli zechcesz.

– Odwiesz mnie osobiście po dwóch lampkach koniaku i kieliszku wina, panie władzo? – zeznała się.

– Odwożę cię rano. – Spojrzał jej w oczy ze zniewalającym, lekko ironicznym uśmiechem.

I zgłupiała.

– Zaczekaj – powiedziała szybciej, niż pomyślała. – Muszę najpierw zadzwonić do gospodyni, uprzedzić ją i poprosić, żeby nakarmiła i wyprowadziła Burego...

Mieszkanie Palczyńskiego okazało się niedużą kawalerką, ale w starym budownictwie, więc przestrzenną, z wysokim sufitem. Urządzoną dość niedbale, ascetycznie – jak u niej. Wypili po kieliszku wina, a potem kochali się aż do świtu: powoli, czule i namiętnie. Felicja zatraciła się kompletnie. Oczywiście nie było tak jak z Sebastianem, kiedy każde zbliżenie graniczyło z mistycznym przeżyciem, a oni stawali się jednością absolutną. Ale dawało spokój i ukojenie. Zapomnienie, że zbrodnia, że wojna, że śmierć.

Zaczynało się rozwidniać. Artur wstał, by nastawić wodę na kawę. Została w łóżku. I nagle poczuła się tak, jakby zdradziła Sebastiana. Może dlatego, że zrozumiała, iż z Palczyńskim to też nie tylko seks. Zachciało jej się płakać, zagryzła wargi prawie do krwi. Komisarz wrócił do pokoju w szlafroku, usiadł na łóżku i wręczył jej filiżankę kawy.

– Czy było w porządku? – zapytał cicho, bawiąc się kosmykiem jej włosów. Odwróciła głowę.

– Artur, nie myśl, że... nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi do tego, że się z tobą przespałam. Tak będzie lepiej dla ciebie.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Widzisz... ze mną jest cień. Zawsze jest. I już zawsze będzie.

– Masz na myśli Sebastiana?

– Nie tylko. – Odstawiła filiżankę na nocny stolik i opadła na poduszkę. Teraz już nie mogła powstrzymać łez, poczuła, że wypływają spod zaciśniętych powiek poza jej kontrolą.

Mężczyzna położył się obok i lekko ją przytulił. Delikatnie musnął wargami malutką różyczkę na jej nagim ramieniu. Jedyne tatuaż, jaki nosiła ku pamięci odległych czasów, kiedy była młoda i zbuntowana, ale i pełna nadziei.

– Felicjo, znam ten cień – odparł. – Ze mną jest ich pełno. Wiele cieni. Cienie ofiar, cienie morderców, cienie tych, którzy zostają. One nie znikają. Więc twój zupełnie mi nie przeszkadza. Dwoje takich samotników jak my, wiecznie pogrążonych w swoich cieniach, wspólnie może je rozproszyć. Osobno się nie da. Spróbujemy? Co ty na to?

\*\*\*

– Felicja! Uspokój się! – Greta musiała nią porządnie potrząsnąć, żeby wreszcie doszła do siebie, przestała panikować i krążyć wokół salonowej lampy jak ćma wokół ognia. – Właśnie, że bardzo dobrze się stało. Palczyński to porządny człowiek. Uczciwy, odpowiedzialny. I do tego lubi psy. Znam go w końcu dłużej niż ty. Po prostu super, idealnie, że trafiliście na siebie! – dokończyła z przekonaniem.

Przywołana do porządku Stefańska przestała krążyć i z ciężkim westchnieniem padła na fotel. Wcześniej nie wytrzymała napięcia. Gdy tylko Artur odwoził ją pod dom, pognała do Greta. W zasadzie nie wiedziała po co: zwierzyć się, wypłakać, a może tylko szukać aprobaty. Którą właśnie dostała.

– Tak, ale...

– Daj spokój. Nie ma żadnego „ale”. Nie utrudniaj wszystkiego, nie rób problemu tam, gdzie go nie ma. Pasujecie do siebie. Dogadujecie się. Bardzo mnie cieszy, że będziecie razem. I ze względu na ciebie, bo nie będziesz sama, i ze względu na niego. Może nie wiesz, ale on też przeszedł przez piekło.

– Pałka? To znaczy? Mówił, że jest zatwardziałym starym kawalerem. – Felicja napiła się piwa.

– Bo jest. Ale w młodości miał synka, który w wieku czterech lat zmarł na białaczkę.

Dziennikarka zaniemówiła.

– A matka tego chłopca? – zapytała dopiero po dłuższej chwili, podczas której obie milczały.  
Pazikowa wzruszyła ramionami.  
– Nie wiem do końca, ale zdaje się, że już wcześniej porzuciła jego i dziecko. Nie chciała się wiązać, nie chciała być żoną i matką. Tak słyszałam.  
– Coś podobnego... – Felicja prychnęła. – To po cholere się wiązała i została matką? Ktoś ją zmuszał?  
– Bo była młoda i głupia. Bo tacy są ludzie. Nie wiem! Mało to takich przypadków? Dajmy już temu spokój. Było, minęło. Nie myśl, że tylko ty jedna jesteś poszkodowana przez życie. Lepiej ciesz się, że los podarował ci właśnie jeszcze jedną szansę. I wykorzystaj ją. Oboje ją wykorzystajcie.  
– Dobra, już się zamknij! – Stefańska machnęła ręką, jakby odganiając się od natrętnej muchy.  
Nie żeby Greta była natrętna. Ale nie chciała już tego dłużej słuchać. Nie lubiła gadania o uczuciach.  
– O nie, nie zamknę się! – zbuntowała się Greta. – Sama tu do mnie przyszedłeś, więc teraz daj mi skończyć. Nie musisz czuć się winna wobec Sebastiana. Kochał cię. Uwierzył, nie chciałby, żebyś do grobowej deski zatruwała życie sobie i innym.  
– Okej. Masz rację. Dziękuję... – uśmiechnęła się nareszcie.  
– No. – Greta z zadowoleniem sięgnęła po piwo. – Dość już na ten temat. Życzę wam dużo szczęścia na nowej drodze życia i tak dalej. Mów, co nowego w śledztwie? Bo chyba trochę opieszale ci tym razem idzie?

Felicja wzruszyła ramionami.  
– Sama wiesz, jak jest – odparła. – Ta cholerna wojna rozpiezdzieliła wszystko. Ale nie zrezygnowałam. Idzie. Jak krew z nosa, ale idzie. Mam już za sobą rozmowę z synem Żelaznej. Teraz zamierzam porozmawiać z jej pracownikami i współnikami. Poza tym na razie nic nowego.  
– Za to ja mam coś nowego! – oznajmiła tryumfalnie pani wójt.  
– Co?  
– Podobno tuż przed śmiercią Żelazna wynosiła coś późnym wieczorem ze starej piarni...  
Felicja popatrzyła na nią z niedowierzaniem.  
– Wynosiła coś? Niby jakim cudem? Włamała się tam? Przecież piarnia nie należała już do niej.  
– Nie, ale ten nowy właściciel przez cały czas remontuje tę budę. I w trakcie remontu natknął się na jakieś rzeczy, które pozostały tam po Żelaznym. Były tak jakby ukryte. Nie wiedział, co z tym robić, więc skontaktował się z Żelazną i umówili się, że ona po to przyjedzie. Że ma na nią czekać. I przyjechała. Odebrała to od niego.  
– I co to było? – Felicja odzyskała czujność.  
– No właśnie on twierdzi, że nie wie. Jakieś akta, dokumenty osobiste albo firmowe. Były w zalokowanych teczkach, a teczki w kartonie. Dobrze ukryte w jakimś schowku. Do teczek nie zaglądał, nie chciał łamać pieczęci, ale usiłował podejrzeć, z pewnością były tam papiery. To w porządku facet, po jej śmierci skojarzył fakty i przyszedł z tym do mnie. Znamy się od lat, ufa mi.  
– Ty się znasz tutaj z każdym!  
– Cóż, coś w tym jest. Jestem stąd. – Greta uśmiechnęła się z satysfakcją. – On podejrzewa, że to mogły być stare akta bezpieki. Może jednak Żelazna komuś zagrażała, jak wcześniej on, to znaczy jej mąż?

Felicja ponownie wzruszyła ramionami.  
– Możliwe. Może w grę wchodził jakiś szantaż? Będę musiała podjechać do tego gościa i go trochę pomaglować. A nuż jednak zajął do tych teczek? – powiedziała z namysłem, odstawiając pustą szklankę na stolik, po czym się zerwała. – O kurczę, muszę lecieć, przecież Bury czeka!  
– Odprowadzę cię do furtki. A do piarni pojedziemy razem. On nawet na policję nie chce z tym iść. Tobie nic nie powie, boi się...

\*\*\*

Do piarni pojechały zgodnie z ustaleniami, gdy już była zamknięta dla zwiedzających.  
– A Palce powiedziałaś? – zapytała Greta, gdy miały przejazd kolejowy nieopodal miejsca, gdzie zamordowano Żelaznego.  
– O tych teczkach? Nie, jeszcze nie. Może dowiemy się czegoś więcej, na razie nie ma sensu alarmować glin.  
– Może masz rację. Tutaj skręć, to skrót, dojedziemy nim na tyły budynku. Nie każdy o nim wie, jeszcze niedawno były tu nieużytki. Tak prawdę mówiąc, za czasów Żelaznego zaczęto tu robić drogę,

ale kiedy zginął, zaprzestano. Dopiero nowy właściciel ruszył to dalej. Nie będziemy musiały jechać dookoła.

– Okej. – Felicja postąpiła zgodnie z instrukcją, wjechała w boczną drogę szutrową i po chwili były już na miejscu.

Właściciel papierni, a zarazem kustosz muzeum już na nie czekał w pokoju biurowym. Był to mały łysy mężczyzna, bardzo zdenerwowany.

– Czuję to, czuję, pani wójt! – wysapał histerycznie. – Tak czuję, że będę miał przez to klopoty!

– Ale spokojnie, panie Lucjanie! Jakie kłopoty? Nikt nic nie wie. Przyjechaliśmy tylko z panem porozmawiać – uspokoiła go Greta.

– Ja tam swoje wiem – upierał się. – Zawsze dbałem, żeby się w śliskie sprawy nie mieszać. Złego nie kusić, nie narażać się. A tu masz ci los, kupiłem sobie problem. Napijcie się panie herbaty?

– Chętnie. – Felicja uśmiechnęła się, by go ośmielić. – I niechże się pan tak nie denerwuje. Wprawdzie jestem dziennikarką, ale nie zamierzam pisać o panu. Chyba że o muzeum, w przyszłości.

Mężczyzna rozpoznał się trochę.

– W tym temacie służę wszelką pomocą szanownej pani redaktor. Nawet osobiście panią oprowadzę. – Włączył czajnik elektryczny i wyjął z szafki paczkę herbaty ekspresowej. – Proszę, usiądźcie panie.

A w tamtym temacie to ja i tak nic więcej nie wiem, tylko to, co wcześniej pani wójt opowiedziałem. I proszę pamiętać, że z własnej nieprzymuszonej woli z tym przyszedłem! Nie musiałem. Taki jestem, że jak mnie coś gnębi, to mi nie da spokoju. Pomyślałem, że może to ma związek. Odbiera ode mnie ważna persona jakieś teczki, a kilka dni później ktoś ją morduje. Wszyscy przecież wiedzą, co się tutaj działo za tamtych czasów. Co tu bezpieka urządziła, razem z mafią. – Pan Lucjan zalał wrzątkiem torebki w szklankach, które postawił przed gośćmi.

– Gdzie były te teczki?

– A w piwnicy. Chcę ją zaadaptować na wystawę starych maszyn, bo muzeum się rozrasta, pomieszczeń brakuje. Ale najpierw musiałem tam zrobić porządek, przed remontem. Nikt do niej nie wchodził od lat, to znaczy może i wchodził, ale nic nie robił. No i podczas sprzątnięcia znalazłem ten schówek w ścianie, zamaskowany ceglami i zastawiony kłopotami. Były luźne, te cegły, więc i tak bym je wyciągał przy remoncie. Coś mnie tknęło i wyjąłem od razu. No i znalazłem tam pudło z tymi teczkami.

– Dużo ich było?

– Z dziesięć. Zalakowane. Zważyłem w dłoni, próbowałem zajrzeć, nie niszcząc laku, bo on był z odcisniętą nazwą tego przedsiębiorstwa państwa Żelaznych. Zobaczyłem, że same papierzyska. Słowo daję, w pierwszej chwili chciałem to spalić. I może lepiej by się stało. Ale pomyślałem, że skoro należały do pana Żelaznego, to może jego żona zechce to mieć. Dlatego zadzwoniłem do niej i ona rzeczywiście chciała. Podziękowała, nawet proponowała zapłatę, ale odmówiłem. – Wyprostował się z dumą na krześle. – Przyjechała, zabrała. A kilka dni później... – Spochmurniał i potarł dłonią czoło. – Teraz czuję się winny. Że też mnie podkusiło.

Greta wyjęła saszetkę na spodek, skosztowała herbaty i posłodziła. Felicja poszła w jej ślady. Herbata była owocowa, cóż, trzeba było się poświęcić.

– Bez przesady, panie Lucjanie – pocieszyła go wójt. – To przecież nie pana wina, że ktoś ją zabił, zapewne bez związku z tymi papierami.

– Oby, pani wójt. Oby...

– I nic więcej pan nie widział? Jakie to były papiery? – wtrąciła Stefańska.

– Niestety. – Rozłożył ręce. – Tyle że papierzyska. Pewnie dokumenty. Teraz żałuję. Mogłem zajrzeć nawet mimo tego laku, najwyżej powiedziałbym, że takie je znalazłem. Przynajmniej miałbym teraz spokój – dodał.

– Niekoniecznie – sprostowała Felicja. – Zależy, co tam było.

– No tak. Ona się tak jakoś... tajniczyła – zauważył niepewnie. – Jakby też spodziewała się tam Bóg wie czego.

– Co znaczy, że się tajniczyła?

– No za dnia nie chciała, tylko wieczorem, jak już jest ciemno. Potem prosiła, żeby o tym nie rozpowiadać. Obiecałem. Dlatego powiedziałem to wszystko pani Grecie dopiero po śmierci Żelaznej.

Przez chwilę w milczeniu popijali herbatę.

– Jaka była wtedy pani Żelazna? Jak się zachowywała? – zapytała dziennikarka.

– Jaka była? – Mężczyzna podrapał się po nosie. – No, przystojna kobieta, ubrana elegancko, wypachniona. Taka... zasadnicza, władcza, jak to oni mają w zwyczaju, bogacze. Uprzejma. Nie powiem, że miła, ale grzeczna.

– Była spokojna czy zdenerwowana?

Wzruszył ramionami.

– Teraz sobie myślę, że może trochę podenerwowana. Chyba że taka była zawsze, nie wiem. Nie znałem jej przecież, nie mam takich znajomości. Wtedy nie zwróciłem na to uwagi. Sam się denerwowałem, taka szycha w moich skromnych progach...

– No i co sądzisz? – odezwała się Greta, gdy wsiadły do samochodu i Felicja ruszyła.

– Mówi prawdę. Osiół, nie zajrzał tam. Nie wiem, czy taki uczciwy, czy strach mu latał koło dupy. – Stefańska nie była zadowolona. – Liczyłam na to, że skłamał i wydusimy coś z niego, ale zapomnij. Prawiczek jeden cholerny – prychnęła.

Pazikowa się rozeźmiała.

– Biedak! Nigdy by nie przewidział, że ktoś będzie się na niego wściekać z tego powodu, że postąpił słusznie.

– A niech go cholera – mruknęła dziennikarka, wyjeżdżając na szosę. Tym razem wybrały się jej kamperem, bo Greta bardzo chciała się przejechać „takim cudem”.

– I co dalej?

– Ciekawe, gdzie się podziały te teczki. Bo skoro je zabrała, to gdzieś muszą być. Trzeba by jeszcze raz poszukać w jej rezydencji i gabinecie w firmie. Może poproszę o to Rybę. A sama przepytam tę gosposię i ogrodnika, może coś zauważyli. Namiary na nich mam. Potem się zobaczy. Co u Kasi? Dzwoniłaś do szpitala?

– Nic nowego. Nie odzyskała pamięci wstecznej, jeśli o to pytasz. Natomiast podobno ktoś o nią dopytywał, więc wzmocniono ochronę.

– Bardzo dobrze...

– Odstawisz mnie do urzędu?

– Jasne. Potem mam spotkanie z Arturem. Przestań się tak głupio uśmiechać, dobrze? Powiem mu o tych teczkach przy okazji.

## Kryszewo, kwiecień

Przepytywanie ludzi pracujących dla Żelaznej w jej rezydencji nic nie dało. Felicja z trudem do nich dotarła, po czym została jedynie z poczuciem zmarnowanego czasu. Gospośia – lojalna wobec zmarłej pracodawczyni kobieta po siedemdziesiątce – chętnie podzieliła się sposzrzeniami, które niczego nowego nie wniosły. Dla niej pani Sylwia, bo inaczej się o niej nie wyrażała, była chodzącym ideałem, wręcz świętą. Pracowała dla niej przez wiele lat, traktując jak rodzinę, zarzekała się przy tym, że sama przez nią też była tak traktowana. Podczas rozmowy się popłakała. Stefańska nie była pewna, czy tylko z żalu po śmierci ukochanej pracodawczyni, czy również z powodu utraty intratnej posady. Teraz zapewne będzie musiała liczyć wyłącznie na emeryturę. Potwierdziła, że wedle jej rozeznania z domu nic poważnego nie zginęło, przynajmniej nic takiego, co mogłaby zauważyć, dokumentów przecież nie studiowała. Żadnych starych tekczek nie zauważyła. Przy pytaniu, kogo podejrzewa o zbrodnię, trochę się zaplątała. Na ten temat nie miała najwyraźniej wyrobionego zdania, klepała tylko coś o zazdrości, o wrednych ludziach z firmy, którzy stale kopali dołki pod szefową, choć udawali lojalnych. Ale nikogo konkretnego nie potrafiła wskazać. Felicja zlekceważyła to gadanie, ponieważ kobieta nie miała bladego pojęcia, o czym mówi.

W podobnym duchu zeznawały dwie dochodzące sprzątaczkki Żelaznej, z tym że one orientowały się jeszcze mniej od gospośi. Obie twierdziły zgodnie, że tylko tam sprzątały, reszta ich nie obchodziła. Pani doceniała ich pracę i dobrze płaciła. Policjanci już je oprowadzili po domu, pytając, czy czegoś nie brakuje, ale niczego takiego nie zauważyły. Mimo to myśla, że zabójstwo było sprawką włamywawczy, którzy może chcieli coś ukraść, ale wystraszyli się i zrezygnowali. Innych możliwości mentalnie nie ogarniały.

Były ochroniarz i ogrodnik w ogóle nie mieli nic do powiedzenia. Ochroniarz od paru lat już dla Żelaznej nie pracował, wyraźnie urażony, że zastąpiły go „te urzędnienia”. I właśnie je skłonny był winić, bo jak nie ma człowieka z bronią, to taki bogaty dom każdą szumowinę skusi. Ogródnik do domu rzadko wchodził. Miał pod opieką park, podjazd i klomby, a także dużą murowaną szopę na narzędzia. Z szopy nic nie zginęło ani nic nie zostało w niej ukryte, zauważyłby to. W ogrodzie też nikt nigdzie nie kopał. Tego jest pewien. O pracodawczyni nie miał zdania, prywatnie się z nią nie zadawał. Na zarobki nie narzekał, warunki pracy miał dobre. Nie zastanawiał się, kto mógł dokonać morderstwa. To nie jego sprawa. Według niego bogacze często źle kończą, dlatego lepiej być ogrodnikiem i nie narażać się na ludzką zawiść.

Stracony czas, myślała zniechęcona dziennikarka. Choć jednocześnie te niby niewiele wnoszące rozmowy przybliżyły jej nieco postać Sylwii Żelaznej. Zgadzała się z opinią, że źródła zbrodni należy szukać w życiu ofiary. Pozostały jej jeszcze dwie osoby, które mogły powiedzieć coś więcej: przyrodnia siostra biznesmenki oraz jej była osobista sekretarka, z którą prywatnie się przyjaźniła.

No i ludzie związani z jej korporacją, czyli wspólnicy, dyrektorzy, pracownicy biurowi – po prostu koszmara. A konkurencja? A światek przestępczy? A dawna bezpieka?

Czuła, że ta sprawa zaczyna ją przerastać. Bez pomocy nie da rady. Ryba też za mało wie, płotka z niego, trzeba będzie pociągnąć za język Artura, choć wolałaby tylko się z nim kochać...

Marlena Kamińska, przyrodnia siostra Sylwii Żelaznej, okazała się zupełnie inną osobą, niż spodziewała się Felicja. Po pierwsze, wcale nie wyglądała na szczególnie zamożną. Kobieta po sześćdziesiątce, szczupła, w miarę zadbana, ubrana klasycznie, gustownie, ale nie w markowe ciuchy. Niebrzydka, krótko ostrzyżona blondynka, zapewne zresztą farbowana. Sądząc ze zdjęć, które dziennikarka oglądała w sieci, Sylwia była bardziej atrakcyjna. I to chyba już od wczesnej młodości. Miała coś z gwiazdy filmowej, pięknej i drapieżnej. Jej siostra była zwyczajna. Felicja przyglądała się dyskretnie kobiecie, próbując doszukać się podobieństwa. Nie znalazła go. Może coś w układzie twarzy, kości policzkowych – dość wyrazistych – jednak nie wyglądały jak rodzeństwo. Zresztą, przypominała sobie, miały tylko wspólną matkę, a córki zazwyczaj są podobne do ojców.

Spotkały się w barze kanapkowym w Madisonie w Gdańsku, gdzie Kamińska chadzała na lunch. Obie zamówiły tylko po sałatce.

– Przygląda mi się pani – zauważyła Marlena z lekkim uśmiechem. – Rozumiem. Nie, nie jestem podobna do siostry. I nie wyglądam jak bizneswoman.

– To prawda. – Stefańska odwzajemniła uśmiech.

– Bo nią nie jestem. Nie prowadzę żadnego biznesu, nigdy nie miałam do tego ani talentu, ani ochoty. Zawsze byłyśmy przeciwieństwami.



– Myślę, że to dobrze. – Felicja wypila łyk soku pomarańczowego. Nie miała ochoty na sałatkę, wzięła ją tylko dla towarzystwa.

– Nie wiem. Może i dobrze. Nie byliśmy ze sobą zbyt blisko. Jestem parę lat starsza, ale to nie dlatego. I nie dlatego, że jesteśmy... byliśmy tylko przyrodnimi siostrami. Po prostu różne charaktery, temperamenty, wartości. Sylwia zawsze była pupilką rodziny, no i zrobiła karierę. A ja jestem tylko zwykłą nauczycielką angielskiego. – Kamińska parsknęła śmiechem. – Teraz już emerytowaną. Ale nie siedzę na państwowym garnuszku, nie tylko. Nadal pracuję w opiece społecznej, prowadzę kursy językowe. Ostatnio działałam też jako wolontariuszka. Odkąd wybuchła ta wojna. Od dziecka byłam idealistką, a Sylwia twardo stąpała po ziemi. Może tylko tę jedną cechę mamy wspólną. Aktywność. – Zakończyła z namysłem.

– Pani siostra zrobiła karierę, która niestety nie skończyła się dla niej szczęśliwie – zauważyła Felicja brutalnie. Chciała jednak sprowadzić rozmowę na właściwe tory. – Miałycie różnych ojców?

– Tak. Nasza mama rozwiodła się z moim ojcem i związała z ojcem Sylwii. Był od mojego o wiele przystojniejszy – dodała z ledwo wyczuwalną goryczą. – Siostra po nim odziedziczyła urodę. Zresztą nieważne, nasi rodzice i tak już nie żyją.

– Nie byliście ze sobą blisko, rozumiem, ale mimo to żyłycie zgodnie? – Chciała wiedzieć Stefaska.

– Raczej tak. Z naszej rodziny zostałyśmy tylko my dwie. Odwiedzałyśmy się od czasu do czasu, telefonowałyśmy do siebie. Ostatnio nawet spędzałyśmy ze sobą święta. Ona, ja i mój mąż, bo dzieci nie mamy. Nie zabiłam jej, jeśli o to chciała pani zapytać. – Tym razem uśmiech był lekko kpiący. – Nie miałam żadnego powodu.

– Nie dziedziczy pani po siostrze?

– Nie. Ona miała syna, on jest prawnym spadkobiercą. Miała też córkę, ale...

– Tak, wiem. Zginęła w wypadku.

– Podobno.

– Nie wierzy pani w to?

Kamińska wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, w co wierzyć. Powiem pani szczerze: mnie to środowisko przerażało. Nie zazdrościłam im. Tam działy się straszne rzeczy. Szwagier też zmarł tragicznie, ale o tym pani na pewno już wie.

– Tak, słyszałam. Ale jeśli syn zrezygnuje ze spadku, to nie pani dziedziczy?

– Nic o tym nie wiem. – Dziennikarka zauważyła, że poruszyła ją ta możliwość. – Nie myślałam o tym. Nie pragnę bogactw.

– Ale gdyby tak się złożyło, przyjąłaby je pani?

– Musiałabym się zastanowić. Zapewne przeznaczyłabym je na cele społeczne. – Zaciśnięta usta w wąską kreskę.

– Pięknie. Co mogłaby mi pani opowiedzieć o swojej siostrze?

– A co chce pani wiedzieć?

– Wszystko. Jakim była człowiekiem. W jaki sposób żyła. Jak doszła do swojego statusu materialnego...

– Chodziłam do przedszkola, kiedy się urodziła. Wcześniejszego okresu w zasadzie nie pamiętam, tyle tylko, że taty nie było i nie było, mama z babcią tłumaczyły mi, że wyjechał, że gdzieś pracuje, takie tam niewinne kłamstewka, które zazwyczaj wmawia się dzieciom, kiedy rodzice się rozwodzą. Za to w domu pojawił się „wujek”, mamie rósł brzuch, a w tym brzuchu – jak mi wyjaśniono – rosła dzidzia. Gdy w końcu na świat przyszła Sylwia, wzięli ślub, a mnie na „wujka” kazali od tej pory mówić „tata”. To skomplikowane, bo z rodzonym ojcem potem się widywałam, miałam więc dwóch ojców, zresztą nieważne, nie o mnie tu chodzi. Od początku Sylwia była oczkiem w głowie. Zrozumiałe, bo to jej prawdziwy tata z nami mieszkał, a nie mój. Mamę z kolei zachwycała śliczna mała lalczka, o wiele bardziej od chudej zasmarkanej sześciolatki. Nie, nie mogę narzekać, dzieciństwo miałam... miałyśmy dobre. W domu niczego nam nie brakowało. Choć rodzice pracowali, zajmowała się nami babcia. Czasem musiałam bawić się z młodszą siostrą albo jej w czymś pomagać. Nie lubiłam tego. Sylwia mnie nie słuchała, wyzywała mnie, stroiła miny, przedrzeźniała. Wiedziała, że jakby co, będzie na mnie. Czuli, że jest lepsza, ważniejsza, faworyzowana. Dlatego o wiele lepiej mi było w szkole. Może dlatego później zostałam nauczycielką. Gdy dorastałyśmy, relacje między nami się poprawiły. Kiedy poszłam na studia, Sylwia zaczęła liceum. Zaczynałyśmy się dogadywać, choć szybko wyszło na jaw, że zainteresowania miałyśmy całkiem inne. Ją pasjonowała moda, ciuchy, kosmetyki, chłopcy i dyskoteki, mnie książki. I tak zostało.

Sylwia poznała Olka na studiach, na jakiejś studenckiej imprezie, na którą oboje niezależnie byli zaproszeni. Nie, nie, on nie studiował. Chyba że samo życie. Był trochę starszy. Już wtedy kręcił lody,

miał złykę do interesów. Krążyły plotki, że był cinkciarzem i handlował różnymi rzeczami. Na przykład na rynku sprzedawał płyty, koszulki, zegarki, takie tam. Skąd to wszystko brał, nikt nie wiedział. Nie zwierzał się z tego. Miał różne „znajomości”. Prawdę mówiąc, podejrzane. To było jeszcze za komunę. Sylwia studiowała ekonomię, ale po trzecim roku rzuciła studia. Jestem pewna, że przez niego. Marzyła, żeby wyjechać za granicę, do Niemiec, oczywiście Zachodnich. Ale wybiegłam naprzód. No więc na tej imprezie poznali się i on zawrócił jej w głowie. Był ucieleśnieniem jej mokrych snów. Wysoki, przystojny, dobrze zbudowany, pewny siebie. Zawsze miał forszę. Zaimponował jej i chyba już wtedy wyczuła, że ten związek może być dla niej dobrą inwestycją. Ona z kolei była zjawiskowo piękna, chłopcy lgnęli do niej. Do tego przebojowa. Od razu się zeszli. Zaraz potem, gdy rzuciła studia, zaszła w ciążę i pospiesznie się chajtnęli. Obie brałyśmy ślub w podobnym czasie. Tyle że ja byłam starsza, miałam skończone studia i pracę. Ona nic. Urodziła im się Beatka, a on rzeczywiście wyjechał, niby do pracy do Berlina Zachodniego, i potem je do siebie ściągnął. Nie wiem, co tam konkretnie robił, często zmieniał robotę, niewiele nam na ten temat mówili. W każdym razie wiodło im się jako tako. Mimo to wrócili do kraju zaraz po przemianie ustrojowej w osiemdziesiątym dziewiątym i zaczęli rozkręcać własny biznes. Zaczęli od pokątnego handlu materiałami budowlanymi. On miał już przygotowany grunt. Powiem otwarcie: w półświatku. Bo to przecież tam rodził się od lat osiemdziesiątych polski kapitalizm. Dlatego im się udało, wtedy, kiedy inni tracili wszystko. Ale my wówczas nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, ani ja, ani rodzice. Rodzice wręcz ich podziwiali, a ze mnie nie byli zadowoleni: nauczyciel zawsze był w tym kraju nikim. Dopiero później, jak wyszło, że on nie tylko zadawał się z różnymi mętami, ale również już wcześniej kolaborował ze służbą bezpieczeństwa, ojcu, to znaczy ojcu Sylwii, trochę zrzędała mina. Miałam wtedy satysfakcję, bo przecież od dawna im tłumaczyłam, że to śliski typ. Nie słuchali, myśleli, że jestem zazdrosna.

Mnie to wszystko na serio przerażało. Nawet próbowałam Sylwii wybić go z głowy, prosiłam, żeby go rzuciła, póki czas, ułożyła inaczej swoje życie, bez niego, ale bez skutku. Śmiała mi się w twarz. Za dobrze jej było. Urodził im się synek, wtedy ich firma już zaczynała być znana, rośli w siłę. Wszędzie mieli plecy, układy. Należeli do elity, obracali w „najlepszym” – tak, to ironia, ale takie to były czasy – towarzystwie. Biznesmeni, politycy, złodzieje. Słowem, sama śmietanka. Jednak wtedy zaczęły się też kłopoty...

O tym okresie niewiele wiem, bo w tamtym czasie praktycznie zerwałyśmy kontakty. Nie mogłam jej darować tego, kim się stała, choć rozumiem, że taka zawsze była. Wtedy jeszcze miałam co do niej złudzenia. Ale towarzystwo spod ciemnej gwiazdy, różne brudy, mąż agent bezpieki zadający się z gangsterami, podejrzane interesy, tego było dla mnie za wiele. Nie po to zostałam pedagogiem, żeby tolerować taki model życia we własnej rodzinie. Poróżniłyśmy się. Sylwia też nie dążyła do zgody. Coś jednak do mnie docierało, chociażby przez rodziców, a czasem – wstyd się przyznać – z doniesień medialnych. Coraz częściej się zdarzało, że pisali o nich w brukowcach. A to jego przesłuchiwała policja, ktoś mu wytoczył proces sądowy, innym razem uczestniczył w jakimś spotkaniu, niby to prywatnym, podczas którego ktoś do kogoś strzelał. Dostawał pogróżki, nic dziwnego, skoro prowadził interesy z mafią. Na zdjęciach prasowych on, rozparty jak basza, otoczony roznieglizowanymi panienkami. Mieli problemy nie tylko w interesach, ale też między sobą. Siostra wstydiła się tego i ukrywała przed nami wstydlive fakty ze swojego prywatnego życia, ale o tym, że on ją zdradza na potęgę, wróble ćwierkały. Aż w końcu przysłała spłakana do rodziców z jedną walizką razem z dziećmi. Miałam nadzieję, że może wreszcie zmądrzeła, ale skąd, wystarczyło, że przyjechał z różanym wiechciem, by wrócić z nim do domu, do tej wtedy świeżo wybudowanej rezydencji za Gdańskiem, uwieszona na jego wyhodowanym w siłowni męskim ramieniu.

Dlatego kiedy został zamordowany, nie byłam ani trochę zdziwiona. Tak, wiem, to straszna tragedia. Przede wszystkim dla dzieciaków. One nigdy się z tego nie podniosły. Liczyłam przynajmniej na to, że może teraz ona się opamięta, uwolni ze szponów tego środowiska. Ale nie miała takiego zamiaru, przeciwnie, ochoczo wzięła sprawy w swoje ręce. Postanowiła ratować przedsiębiorstwo i – nie mam zielonego pojęcia, jakim sposobem – udało się jej. Rozpoczęły się procesy i wyszło na jaw, że za jego życia klócili się także o udziały. Sylwia chciała więcej, on niechętnie ją dopuszczał do zarządzania firmą. Ten fakt oraz ich nieporozumienia małżeńskie, publiczne awantury, jego zdrady, a może i jej też, nie powiem, że nie, spowodowały, że w oczach opinii publicznej została pierwszą podejrzaną, a dla niektórych wprost mężobójczynią. Nikt jej o to oficjalnie nie oskarżył, ale policja brała pod uwagę jej winę. Tyle że nie mieli dowodów, a możliwości było wiele. Olek święty nie był, jak wiadomo. Aż w końcu sprawa przyszła. Mijały lata. Siostra wyrosła na jedną z pierwszych bizneswoman w kraju. Niestety, nasza rodzina się rozpadła, rodzice przedwcześnie zmarli, jestem pewna, że ta sytuacja ich dobiła. Nasza mama odeszła nagle, jak się okazało, miała guza mózgu, ojciec – mój ojczym – wkrótce po niej na zawał serca. Mój rodzony tata zmarł już wcześniej, zginął w wypadku kolejowym. Dzieci Sylwii

odwróciły się od niej, zwłaszcza syn. Po maturze wyjechał na studia do Stanów i został tam na stałe. Nie chciał mieć więcej do czynienia z matką. Córka rywalizowała z nią w firmie, wszędzie otwarcie rozpowiadała, że dziedziczy po ojcu i to ona niedługo będzie nią zarządzać. No i zginęła. Nie wierzę, że Sylwia maczała palce w śmierci własnego dziecka, kochała ich oboje na swój sposób. Ale fakt, że to było dziwne, niespodziewane, sensacyjne, więc wzbudziło powszechne kontrowersje i kolejne kosztowne domysły.

Odciełam się od tego wszystkiego, skupiłam na własnej pracy i swoim małżeństwie, potem jeszcze na wolontariacie, który stał się moją wielką pasją. Długo miałyśmy z siostrą jedynie sporadyczne i raczej chłodne kontakty. Owszem, raz nam pomogła, udzielając mojemu mężowi nieoprocentowanej pożyczki pod kupno działki i budowę domku letniskowego, a mnie podarowała używany samochód. Używany, ale w doskonałym stanie, muszę przyznać. Pożyczkę prawie spłaciłszy, choć nie domagała się tego, nawet mówiła, żebyśmy sobie dali z tym spokój. Dla niej to była przecież drobna kwota. Dla nas ogromna, nieosiągalna. Cóż, pewnie zdaje sobie pani sprawę, jak zarabiają nauczyciele. Bo mają także uczyć w szkole, tyle że matematyki.

W ostatnich latach znowu się do siebie zbliżyłyśmy. Odwiedzałyśmy się od czasu do czasu, dzwoniłyśmy do siebie nawet parę razy w tygodniu. Niestety, jak się okazało, za późno. Gdy dostałam wiadomość o jej śmierci, odczułam ją jak uderzenie obuchem. Skończyła jak jej mąż. I to po tylu latach. A ja zupełnie się tego nie spodziewałam. Obwiniam się o to, że jako starsza siostra nie miałam na nią wpływu. Że coś przegapiłam. Teraz nie żyje i to wszystko stało się już... nieodwracalne.

Kamińska rozłożyła ręce, dając znak, że skończyła. Wydawała się autentycznie poruszona, w jej oczach chyba nawet błysnęły łzy. Felicja wyłączyła dyktafon, rozmyślając nad beznadzieją ludzkiego losu. Dopiliły sok. Żadna nie tknęła sałatki.

– Wiem, że panią męczę, ale proszę mi szczerze powiedzieć, co pani sądzi. Czy pani siostra mogła stać za śmiercią męża, córki? I dlaczego zginęła? Kto mógł ją zabić? – zapytała dziennikarka po dłuższej przerwie.

Marlena Kamińska pokręciła głową bezradnie.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem! – Spojrzała na rozmówczynię. – Jeśli pyta pani, czy sądzę, że zabiła męża, odpowiem, że nie wierzę w to. Ale czy mogła to zrobić, owszem, myślę, że mogła. Byłaby do tego zdolna. Sylwia jest... była z natury bezwzględna, mściwa, a przy tym łatwo dawała się ponieść negatywnym emocjom. Sprawiała wrażenie zimnej, ale ja wiem, że to była tylko poza. Umiała nad sobą panować, ale w środku się gotowała. Nie wybaczała, jeśli ktoś jej nadepnął na odcisk. Już jako dziecko była pamiętliwa i nawet po czasie potrafiła się zemścić. Lecz nie sądzę, że zabiła Olka. Nie zrobiłaby tego akurat w tamtym momencie. Był jej wtedy bardziej potrzebny żywy. Jako typowa materialistka myślała głównie w kategoriach zysków i strat. Zawsze kalkulowała. Bardzo dużo kosztowało ją potem, po tym skandalu, postawienie firmy z powrotem na nogi.

– Ale firma była już wcześniej w kłopotach. Tak słyszałam.

– Nawet jeśli, to nie szkodzi. Sylwia wolała posłużyć się kimś, sama wolała zbierać profity.

– Nie ma pani zbyt dobrego zdania o siostrze.

– Nie, dlaczego? – Kamińska wzruszyła ramionami. – Taka była. Każdy z nas jest inny. Miała zalety.

– Jakie?

– Była zdolna, inteligentna, twarda, zdeterminowana, świetnie radziła sobie w interesach. Nie podawała się mimo przeciwności. Gdy musiała, była w stanie przenosić góry. Nie każdy to potrafi.

– No tak. To prawda. A czy mogła chcieć śmierci swojej córki? Pani nie chce dopuścić do siebie tej myśli, ale skoro dziewczyna jej się postawiła?

– O nie, w żadnym wypadku. Ona walczyła o swoje dzieci. Tego jestem pewna. Prędzej... – Kamińska urwała.

– Co prędzej? Proszę dokończyć.

– Prędzej one by ją zabiły.

Słowa byłej nauczycielki wybrzmiały ciężko, głucho. Jakby rzuciła kamieniem.

– Podejrzewa pani, że jej syn jest odpowiedzialny za śmierć matki? – zapytała wprost, bez owijania w bawełnę.

– Nic takiego nie powiedziałam – zaprzeczyła. – Raczej trudno by mu było, skoro jest na drugim końcu świata, prawda? Nie mam pojęcia, kto jest odpowiedzialny. Pewnie niejeden miał dobry powód. Ona potrafiła krzywdzić, szkodzić ludziom.

Dziennikarka nie zamierzała odpuścić.

– Ale co pani czuje? Na pewno ma pani swoją teorię.

– Nie mam, naprawdę. Proszę mi wierzyć. Osobiście od początku podejrzewałam, że Olek zginął z wyroku mafii albo służby bezpieczeństwa, którą właśnie wówczas likwidowali. Bezpieka była zresztą

powiązana z mafią. Palono kartoteki, teczki personalne, niszczone archiwa. Funkcjonariuszy weryfikowano, więc... chyba sama pani rozumie. Szwagier mógł na przykład wiedzieć za dużo, mógł komuś szkodzić. Myślę, że siostra została zamordowana z tego samego powodu. Być może wiedziała o kimś za dużo.

– Po takim czasie?

Kamińska ponownie wzruszyła ramionami.

– Wątpi pani? Może coś wyszło na jaw, może komuś puściły nerwy? Tak tylko głośno myślę. W niektórych sprawach czas nie gra roli – odparła.

– Siostra obracała się w takich kręgach? Miała niebezpiecznych znajomych, przyjaciół?

– Ona nie miała przyjaciół. Obracała się w różnych kręgach, ale tacy ludzie jak moja siostra nie mają przyjaciół. Mają tylko wrogów.

\*\*\*

Felicja była w szoku, bo informacja o teczkach ze starej piąterni nie zrobiła wrażenia ani na Rybie, ani na Palczyńskim. Obaj ją raczej zlekceważyli. Ryba co prawda obiecał, że sprawdzi jeszcze raz w policyjnym archiwum i w rezydencji Żelaznej, czy gdzieś nie zawierowały się jakieś stare teczki, ale nie robił jej nadziei. Sugerował nawet, że może kustosza starej piąterni poniosła fantazja. I rzeczywiście, choć do poszukiwań zabrał ze sobą dwóch niższych rangą funkcjonariuszy, żadnych teczek, podobnych do opisanych, nie znaleźli.

– Może facetowi coś się przyśniło. – Wzruszył sceptycznie ramionami. – Albo to nie było nic ważnego, bardziej pamiątka. Poszukamy jeszcze w firmie, bo może Żelazna umieściła je tam w ich archiwum, ale na twoim miejscu nie robiłbym sobie złudzeń.

Podobnie Pałka.

– Kochanie – tłumaczył. – Z pustego w próżne nie nalejesz. Nie ma teczek. Nikt o nich nic nie wie, prócz tego faceta, a Żelazna już nic nie powie. Nie twierdzą, że ich nie było, ale... – Rozłożył ręce.

– Przecież to może być jakiś trop! – Zbuntowała się.

– Mógłby być, przyznaję. Ale nie możemy skupiać się na czymś, czego nie ma. Może gość konfabuluje?

– Po co miałyby to robić?

– Nie wiem, żeby w ten sposób zaistnieć? Gdyby był poważny, poszedłby z tym na policję, a nie do Greta. Nawet jeśli nie do końca zmyśla, to mogła być tylko stara makulatura. Jeśli to odnajdziemy, wtedy co innego...

– Jak macie znaleźć, skoro nie szukacie?

– Przecież Ryba szukał. Niczego nie znalazł ani u nas, ani w rezydencji, ani w firmie. Nikt nic nie słyszał o żadnych teczkach. Strata czasu. Poza tym szuka się czegoś, co wiadomo, że na pewno istnieje. A w tym przypadku mogą to być tylko rojenia tego człowieka. Obiecuję ci, że będziemy to mieć na uwadze, kiedy wznowimy śledztwo. Jeśli wznowimy. O ile będą ku temu przesłanki. Ale na razie – przytulił ją do siebie – nie ma żadnych dowodów, że te hipotetyczne teczki w ogóle kiedykolwiek istniały.

\*\*\*

Alicja Domagała, przyjaciółka i była osobista asystentka Sylwii Żelaznej, okazała się atrakcyjną kobietą w sile wieku, brunetką naturalną lub farbowaną – trudno to było na sto procent stwierdzić – elegancką, szczupłą i energiczną. Wyglądała młodo, choć niedawno przeszła na emeryturę. Ponieważ od kilku lat mieszkała na terenie gminy, w malowniczej turystycznej miejscowości położonej nad jeziorem, gdzie miała okazałą willę, spotkały się w Kryszewie, w kawiarni na przystani. Domagała przyjechała nowym srebrzystym audi spirit. Mimo widocznej zamożności była bezpośrednia i naturalna. Bogactwo jej najwyraźniej nie zepsuło. Miała jednak tę pewność siebie, jaką dają człowiekowi pieniądze. Bez trudu nawiązały kontakt.

– Ale kawę ja stawiam! – upierała się.

– Nie, nie. To ja tu panią ściągnęłam.

– Nie szkodzi. – Machnęła rękami. – Kelner! Dwie najlepsze kawy proszę. Zdajmy się na nich, oni najlepiej wiedzą, co zaoferować. – Mrugnęła do Felicji. – Zyczy sobie pani coś do kawy?

– Absolutnie! Dziękuję. – Felicja uśmiechnęła się mimo woli.

Gdy kelner podał filiżanki wypełnione aromatycznym espresso, Domagała zainicjowała rozmowę.

– Domyślam się, że chce pani zapytać o Sylwię. – Spochmurniała na moment. – To straszna tragedia, byliśmy blisko. Może nawet najbliżej, choć nie należę do rodziny. Wciąż trudno mi o niej rozmawiać, ale spróbujmy. Proszę pytać i się nie krępować.

– Dziękuję – powtórzyła Stefańska. – Długo się panie znały?

Rozmówczyni się zaśmiała.

– Och! Od stu lat. Oczywiście żartuję, aż tak stara nie jestem. Ale faktycznie znałyśmy się długo, od studiów. Wtedy się zaprzyjaźniłyśmy. Tyle że ona je rzuciła, kiedy poznała Aleksandra i zaszła w ciążę, a ja ukończyłam. Później, gdy wrócili z Niemiec i założyli firmę, zwerbowała mnie do pracy. Zgodziłam się. Zaczynała się nowa epoka, byliśmy młodzi, pełni zapału, uznałam to za szansę. I chyba się nie pomyliłam. – Pokiwała głową, popijając kawę małymi łydkami. – Choć trzeba było trochę powalczyć. Aleksander miał smykałkę do interesów, Sylwia zresztą też, więc firma szybko się rozwijała.

– A zatrudniła się pani w charakterze?

– Osobistej asystentki. Najpierw Aleksandra, potem Sylwii.

– Czyli sekretarki?

– Nie, to nie to samo. – Skrzywiła usta. – Sekretarek mieliśmy już wtedy kilka. Asystent to bardziej odpowiedzialna funkcja, związana ściśle z branżą. Najogólniej moje obowiązki polegały na koordynacji pracy szefa, kontaktach z klientami, dostawcami, partnerami firmy.

– Rozumiem. Czyli pani znała wszystkie tajemnice firmy? – ząrtowała dziennikarka, ale Domagała odparła serio:

– Firma nie miała i nie ma tajemnic. Orientowałam się oczywiście we wszystkim, ale to nie było nic tajnego. Wszystko transparentne, tak jest zresztą do tej pory.

– Szanuję pani lojalność.

– Na tym również polega praca asystenta. Na lojalności. Ale mówię serio, nasze przedsiębiorstwo działało uczciwie mimo plotek i intryg. Zawistników nie brakuje. – Wzruszyła ramionami, odstawiając filiżankę na blat.

– Ale już pani tam nie pracuje?

– W ubiegłym roku przesłam na emeryturę, choć nadal wspieram rozwój firmy. Mój syn Dominik jest teraz szefem działu finansowego. Funkcję objął po mnie. – Uśmiechnęła się skromnie.

– Gratulacje! Nie wiedziałam.

– Dziękuję, jestem z niego bardzo dumna. Odkąd mąż nas zostawił, gdy Dominik był jeszcze chłopcem, jesteśmy tylko we dwoje. Dopóki się nie ożeni! – Zachichotała. – Czekam na to z utęsknieniem. Na wnuki, na śmiech w domu...

– Mieszkacie państwo razem?

– Tak i nie. Mam spory dom, owoc mojej pracy, wystarczy dla całej rodziny. Dominik zajmuje osobne skrzydło, ja drugie. Kiedyś odziedzyczy po mnie całość, choć na razie nigdzie się nie wybieram. – Zaśmiała się. – Teraz, gdy już nie muszę wszystkiego podporządkowywać pracy, dopiero zaczynam żyć.

– Szczęściarz z syna. I przez cały czas, kiedy pracowała pani w firmie państwa Żelaznych, przyjaźniła się pani prywatnie z panią Sylwią?

Domagała lekko się stropiła.

– Bywały wzloty i upadki, ale tak, przyjaźniłyśmy się – odparła. – Czasem się oczywiście spierałyśmy. Normalnie, jak to pomiędzy przyjaciółkami. Jednak byliśmy sobie bliskie. Jak siostry.

– Pani Sylwia miała siostrę – podchwyciła Felicja.

– Lepiej pomińmy ten temat milczeniem.

– Dobrze. Co pani może powiedzieć o śmierci pana Żelaznego?

– Tyle, ile przeczyta pani w ówczesnej prasie. – Rozłożyła ręce. – Co zapewne już pani zrobiła. Nie wtajemniczano mnie w kulisy sprawy, zresztą nie chciałam się mieszać. Tyle samo wokół tego faktów, co mitów. Wiele krzywdzących.

– Na przykład? Czy Żelazny miał kontakty z mafią? Ze służbą bezpieczeństwa?

– No właśnie. O tym mówię. A jak pani sądzi? Pewnie, że miał. W tamtych czasach nie dałoby się inaczej funkcjonować, zwłaszcza że wszystko rozgrywało się na styku władzy i... no wie pani. Ale Aleksander zawsze chciał grać uczciwie, o tym jestem przekonana. Co do kontaktów ze służbą bezpieczeństwa, to już w ogóle absurd. Prędzej bezpieka miała kontakty z nim niż na odwrót. Oni przecież czepiali się każdego, kto miał jakieś znaczenie, pieniądze. Infiltrowali środowisko biznesu. Prawie każdy miał u nich teczkę, co nie oznacza, że był agentem!

– A jednak został zamordowany. Więc kto go zabił, pani zdaniem?

– Czy to mało wrogów ma zamożny człowiek? Każdy mógł, mafia i bezpieka też. Właśnie dlatego, że nie chciał z nimi grać.

– A konkurencja?

– Nie, nie sądzę. Myśmy wtedy wyrosli znacznie ponad konkurencję. Mogli szkodzić na różne sposoby, ale nie zabijając.

Stefańska zamilkła na chwilę, popijając kawę. Rzeczywiście była dobra, nawet ona musiała to doćnić. Szykowała się do mocnego uderzenia.

– Wiele osób twierdzi, że to żona maczała palce w zabójstwie pana Żelaznego. Co pani o tym sądzi?

Alicja Domagała okryła się pąsem. Trzęsącymi się rękami wyjęła z małej czarnej torebki elektronicznego papierosa i zaciągnęła się głęboko kilka razy.

– Czekałam na to pytanie! – oznajmiła w końcu z oburzeniem. – Niepotrzebnie powtarza pani te brednie! Sylwia go kochała, nie zrobiłaby tego!

– Podobno ją zdradzał i ograniczał władzę w firmie...

– Zdradzał? A kto go przyłapał? Że go parę razy sfotografowano z dziwkami? To zwyczajne prowokacje dziennikarskie. W lokalach takie panienki zawsze były na usługach. Bzdury! Oni byli dobrym małżeństwem. A jeśli nawet ograniczał jej władzę w firmie, to wyłącznie z troski o nią. Sylwia spała się we wszystkim, czym się zajmowała. Taka była. A mieli wtedy małe dzieci. Chciał jej zaoszczędzić stresów.

– No dobrze – zastanowiła się Felicja. – Dlaczego więc zginęła? A wcześniej córka. Nie za dużo śmierci w jednej rodzinie? Nie łączy pani tych spraw?

Domagała energicznie potrząsnęła głową.

– Absolutnie nie! To kolejne mity! Te wypadki dzieli tyle lat... Córka zginęła w wypadku. Była ćpunka. Wszyscy o tym wiedzieli. A Sylwię zamordowali rabusie, jestem tego pewna. Wszyscy wiedzieli, że jest bogata i mieszka samotnie. Była nieostrożna, zbyt ufna. Miewała kochanków. – Spuściła wzrok. – Często młodych. Nie znała ich dobrze. Ktoś to wykorzystał, to się przecież zdarza.

– Podobno nic nie zostało skradzione. Sama tak pani zeznawała.

– Ale przecież na sto procent nie wiem. Mogła mieć w domu gotówkę. Poza tym w rezydencji był alarm. Napastników mogło coś spłoszyć...

– Ma pani kontakt z jej synem?

– Podejrzewam Patryka?! – Pani Alicja zrobiła wielkie oczy. – Niech pani da sobie spokój. To głupi chłopak, ale porządny. Z pewnością nie morderca. Nie, nie utrzymujemy kontaktów. Odsunął się od matki i od całego jej otoczenia. Wiem, że obwiniał ją o śmierć ojca. Dlatego mówię, że głupi. To taka dziecinada. Kompleks i tyle...

– Dlaczego kompleks?

– Ech, nic takiego, może raczej konflikt pokoleń. My do wszystkiego musieliśmy dochodzić sami, mozolnie, po trupach, jak to się mówi, mam oczywiście na myśli trupa starego systemu – zreflektowała się. – A oni dostali wszystko na tacy. Za dobrze mu było! Więc żeby się dowartościować, trzeba było kogoś obwinąć o wszelkie możliwe grzechy, a matkę przecież najłatwiej, skoro ojciec już dawno nie żył. Tylko to miałam na myśli, proszę się nie doszukiwać podtekstów. Ale podejrzewać Patryka? Zabawne. To mięczak. On nie jest zdolny do czynu!

– Nie twierdzą, że go podejrzewam – sprostowała Felicja. – Zbieram tylko opinie. Jestem dziennikarką, nie policjantką. Ale jak to nie jest zdolny? Z tego, co mi wiadomo, w Stanach prowadzi własną firmę.

Pani Alicja machnęła ręką.

– A tam, taka firma, wypożyczalnia samochodów! – podsumowała lekceważąco, dopijając resztki kawy.

– Jak się pani dowiedziała o śmierci pani Żelaznej?

Rozmówczyni się zamyśliła.

– Zaraz, niech no sobie przypomnę... – Ponownie sięgnęła po e-papierosa. – To było traumatyczne przeżycie. Miałam wpaść do niej po południu na kawę, umówiłyśmy się dzień wcześniej telefonicznie. Kiedy pojechałam do cukierni po torcik, już chyba cała gmina o tym trąbiła. Nie uwierzyłam, ale kiedy wróciłam do domu, syn zadzwonił i potwierdził. A chwilę później skontaktowała się ze mną policja. W firmie byli wcześniej.

Na tym w zasadzie rozmowa się zakończyła. Stefańska podziękowała i chciała się pożegnać, ale Domagała zaproponowała, że ją podwiezie do centrum. Jednak nie było im to dane, gdyż kiedy dotarli do hotelowy parking, okazało się, że ktoś przebił opony w nowym eleganckim aucie pani Alicji.

– Nie przesadzajmy! – Ryba machnęła ręką. – Masz manię prześladowczą. Zaręczam, że to jacyś chuligani. Na tym parkingu od czasu do czasu to się zdarza, w ciągu dnia nie jest strzeżony, a taki wypasiony wózek przyciąga różnych półgłówków.

– Obyś miał rację. – Felicja nie była przekonana. – Może przesadzam. Choć tyle tam było samochodów, a akurat ten jeden został uszkodzony?

– Bo rzuciła się w oczy. Zabezpieczyliśmy ślady, zanim zabrała go laweta, jakby co. Ale na pewno mam rację. Na tej zasadzie każdy dumny akt wandalizmu musielibyśmy podciągać pod sprawę Żelaznej. Sama widzisz, że nawet Domagała nie robiła z tego dramatu. Masz chwilę? Przepacerujemy się brzoem jeziora.

Poszli deptakiem nad wodą pod drzewami. Słońce zaczęło już przygrzewać przez nagie jeszcze gałęzie, choć to był raczej chłodny kwiecień. Ryba zapalił papierosa.

– O, patrz, bazie! – zauważył. – Justynka prosiła, żebym ściął kilka do wazonu na święta, jeśli znaję.

– Jeszcze za wcześnie. Odczekaj z tydzień – poradziła mu.

Szli w milczeniu, policjant palił, Felicja podziwiała widoki, refleksy światła na wodzie, sznurek nurkujących dzikich kaczek, barwy i zapachy. Zapach tataraku. Już nie bolał. Raczej przypominał, że czas jest jednością. Sebastian wciąż był gdzieś obok. I zawsze będzie, choć życie płynie dalej.

– Mam za to poważniejszego zgrzyta – odezwał się nagle Ryba. – Coś dziwnego dzieje się wokół Kaški.

Stefańska drgnęła zaniepokojona.

– Wokół naszej Kaški? Co takiego? Przecież jest w szpitalu, coraz lepiej się czuje, gadałyśmy niedawno!

– Nie, no. Uspokój się. – Usiłował zbagatelizować. – Ktoś tam wydzwaniał i dopytywał o nią, podając się za rodzinę. Z numeru, którego nie da się zidentyfikować, być może z zagranicy. Wyraźnie interesowało tę osobę, czy odzyskała pamięć. Jej rodzice oraz siostra stanowczo zaprzeczają, że mogłaby to być rodzina. Na szczęście personel szpitala został poinstruowany. Następnym razem, gdyby coś takiego się zdarzyło, przekierują rozmowę do Palczyńskiego.

– Dziwne. To był mężczyzna czy kobieta?

– Trudno powiedzieć, nie ma nagrania. Głos był podobno zniekształcony. Pielęgniarka, która odebrała telefon, twierdzi, że raczej facet.

– A jak z jej pamięcią? Znaczy się, Kaški.

– Na razie bez większych zmian.

– Może to i dobrze. – Felicja wpatrzyła się zadumana w szmaragdową toń wody, ocienioną szpalem wierzb.

Nad jej głową, gdzieś wysoko, odezwał się żuraw.

– Wiem, że masz romans z Pałką. – Usłyszała. Zyga przydeptał butem niedopałek, udając, że patrzy w niebo.

– I co z tego? – Wzruszyła ramionami. – Jesteś zazdrosny, Rybko?

Roześmiał się.

– Nie, już nie. Mam swoje życie, wreszcie to zrozumiałem. Wiesz, cieszę się ze względu na niego i na ciebie. Pasujecie do siebie. Nie spieprzcie tego.

Popatrzyli sobie w oczy. Znad spokojnej tafli wody znów doszedł zapach tataraku. Felicja się uśmiechnęła.

– Dziękuję, młody. Wracamy? Muszę jeszcze przesłuchać nagranie.

\*\*\*

Od godziny siedziała z laptopem na kolanach i przeglądała się w poszukiwaniu zdjęć z Aleksandrem Żelaznym, w ogóle z rodziną Żelaznych. Obok na wersalce leżał Bury z nosem na jej brzuchu. Od czasu do czasu wdychał przez sen. Felicja machinalnie gładziła kosmaty pysk.

Niewiele znalazła. Materiałów dotyczących Sylwii było wprawdzie aż w nadmiarze, fotografie reporterskie albo portretowe pod wywiadami, sesje z różnymi spotkań, z telewizji. Ale głównie z ostatnich lat, mniej z przeszłości. Gorzej z wizerunkami jej męża. Fakt, że za jego czasów jeszcze nie było Internetu, przypomniawszy sobie z lekkim zdziwieniem. Znak czasów. Trafiła jednak na kilka ciekawych zdjęć archiwalnych z lat osiemdziesiątych i początku dziewięćdziesiątych. Nadzieja nowego polskiego kapitalizmu, rekiny młodego biznesu. Oto rozrywkowa para jeszcze sprzed ślubu na jakiejś prawdopodobnie studenckiej, a na pewno z tych lat, imprezie: wyzywająco umalowana, roześmiana blondynka

w minispódniczce, długie loki skrecone trwały ondulacją. W objęciach pewnego siebie atletycznego bruneta z grzywką i krzywym uśmiechem, w którym bez trudu rozpoznała Aleksandra Żelaznego. Zdjęcie czarno-białe, lekko prześwietlone lampą błyskową. I kolejna stara fotka, na tej już jako młode małżeństwo przy zagranicznej limuzynie, ona w niebotycznie wysokich szpilkach i obcisłej bluzce, z kilkuletnią dziewczynką za rękę. Tym razem włosy upięte w luźny kok, nadal piękna i przyciągająca wzrok. Dziewczynka dość smętna, znudzona, ale ładna, w sukience w groszki, blondyneczka, podobna do matki. On wsparty o dach samochodu, nieco grubszy, bardziej krępy, przysadzisty, państwo Żelazni na swój sposób przystojny, męski. Pierwotna męskość. Prymitywna i samcza, ale Felicja wiedziała, że takie typy często podobają się kobietom. Czy podobał się Sylwii? Zakochała się w nim na zabój, jak uważa jej przyjaciółka z młodości? Czy tylko – jak z kolei stwierdziła jej siostra – był dla niej przede wszystkim trampoliną do sukcesu?

Na kolejnym zdjęciu ona z tą samą dziewczynką – tu nieco większą – i wózkim, tym razem w rozwanym prochowcu i szpanerskich ciemnych okularach. Blond włosy rozpuszczone, potargane wiatrem. On w tle, nieostro, ujęcie z boku, w białym garniturze. I dalej jeszcze jedna ciekawa fotka: oficjalna, firmowa. Już kolorowa, choć kolory jeszcze niezbyt naturalne, lekko zażółcone. Państwo Żelazni na pierwszym planie, oboje eleganccy, wystrojeni zgodnie z ówczesnymi standardami, ona w obcisłym jasnym kostiumie, on w granatowym markowym garniturze, gładko uczesani, promiennie uśmiechnięci. Za nimi „załoga”. Trzeba będzie się im lepiej przyjrzeć. W pierwszym rzędzie, tuż za szefem, stoi chyba Alicja Domagała. Za nią jeszcze dwie młode kobiety. Dalej sami faceci. Wszyscy z tymi przyklejonymi uśmiechami. Może Greta ich rozpozna? Znała chyba wtedy tę wschodzącą plejadę gwiazd biznesu.

Przy okazji dowiedziała się, że zarówno Aleksander Żelazny, jak i piękna Sylwia, dorastali w Trójmieście. Jego dalsza rodzina zamieszkała w Kryszewie, stąd pewnie pomysł zakupu tutaj nieruchomości. Jako jedni z pierwszych znaleźli na terenie gminy doskonały grunt i warunki pod inwestycje.

Chyba czas wybrać się do tej firmy. Była już tam kiedyś, robiła reportaż, więc personel powinien ją pamiętać. Może dzięki temu teraz będzie łatwiej.

\*\*\*

Umówiła się telefonicznie z prezesem zarządu Waldemarem Kozłem na wywiad, nie informując go szczegółowo, o co chodzi. Nie dopytywał zresztą, uznając widocznie, że obecnie każdy kontakt z mediami – choćby tylko lokalnymi – będzie korzystny dla firmy, której notowania po tragicznej śmierci właścicieli spadły. A może wręcz przeciwnie, trudno powiedzieć. Czas tak czy owak ciężkie.

Wjechała vanem na parking, śmiejąc się w duchu, bo zabawnie prezentował się wśród ekskluzywnych limuzyn. Podobnie jak ona, w dżinsach i luźnym trenczu, na tle skrojonych na miarę garniturów. Nie zamierzała stroić się dla tych ludzi. Oni mają swoje mundurki do pracy, ona swój. Żeby wejść do środka, musiały wylegitymować się w portierni, stamtąd skierowano ją do poczekalni zwanej tutaj westybulem, gdzie za chwilę ktoś miał po nią przyjść. Rzeczywiście, wnetrza prezentowały się pałacowo: wyciszone, dyskretnie oświetlone korytarze, błyszczące marmurowe posadzki, miękkie wykładziny, skórzanе fotele. Na wprost paradne schody. Życ nie umierać. A jednak umierają.

Czekała jakieś piętnaście minut obserwowana bacznie przez portiera, aż w końcu zszedł po nią młody człowiek, oczywiście w garniturze. Niemal bez słowa poprowadził ją ku windzie, którą wjechała dosłownie jedno piętro i wysiedli w podobnie, a nawet jeszcze bardziej eleganckim anturazhu. Wzdłuż ścian przestronnego korytarza stały palmy w terakotowych donicach, a na ścianach wisiły abstrakcyjne obrazy, podobne do tych w rezydencji Żelaznej. Naturalnie oryginały.

Po chwili została wprowadzona do wielkiego owalnego gabinetu, na którego przeciwległym biegunie, pod przeszkloną ścianą, siedział za biurkiem android. Przynajmniej tak jej się wydawało dopóty, dopóki nie uniósł się lekko na jej powitanie. Android zrobiłby to sprawniej. Gdy drzwi bezszelestnie zamknęły się za jej plecami, poczuła się... dziwnie. Przypomniała sobie jednak, że poprzednim razem przeżyła. Nikt jej tu nie porwał, nie uwięził, nie przerobił na materiał budowlany. Opanowała się i starając się nie potknąć na włochatym dywanie, szybkim krokiem podeszła do biurka, za którym czekał pierwszy po Bogu. W duchu zanosila modły, by nie pozostawić za sobą wiosennego błota.

Z bliska okazało się, że facet przypominający androida jest raczej dobrze zakonserwowaną mumią. Srebrny włos, sztuczna opalenizna, drogie wdzianko. Sztwywny, jakby kij połknął. Felicja przywitała się z nim serdecznie, z rozbowieniem obserwując jego reakcję. Gestem wskazał jej, by usiadła na krześle obrotowym, natomiast sam zasiadł jak król na antycznym meblu gdańskim.

– Proszę pytać – zezwolił wspaniałomyślnie. – Aha, proszę mi łaskawie przypomnieć, skąd pani jest? Z lokalnej prasy?



– Tak. Felicja Stefańska – powtórzyła swoje nazwisko, uśmiechając się promiennie. – Rzeczniczka prasowa urzędu gminy, do usług. Czy mogę nagrywać?

Nie odwzajemnił uśmiechu, ale odparł jak automat:

– Przypominam sobie panią. Dziękujemy za zainteresowanie naszą firmą. Proszę, proszę pytać i nagrywać. Może wody sodowej? – Wskazał na syfon i szklanki, ustawione na srebrnej tacy.

– Dziękuję. Może za chwilę. – Jeszcze raz błysnęła zębami.

Przeglądził fryzurę, dzięki czemu przypomniała sobie, żeby mu później pstryknąć fotkę. Na wstępie, dla formalności, zadała proste pytania dotyczące obecnej działalności przedsiębiorstwa, na które otrzymała gładkie, zapewne z góry przygotowane odpowiedzi. Później przeszła do bardziej interesujących ją tematów.

– To wspaniale, że firma tak świetnie się rozwija – zagaïła. – My, jako macierzysta gmina, też jesteśmy dumni z jej lokalizacji. A jakie były początki?

Mężczyzna o wyglądzie mumií androida lekko się zaciął, ale po chwili odparł:

– Początki zawsze bywają trudne. Istniejemy od początku lat dziewięćdziesiątych, byliśmy pionierami. To nie były łatwe czasy, współczesny polski kapitalizm dopiero się wykułwał, my go współtworzyliśmy. Nie każdemu się udawało. Wystarczyły jednak fachowość, zapał i chęć do ciężkiej pracy. To procentowało i osiągnęliśmy sukces.

– Pan już wtedy działał w firmie?

– Owszem, należałem do zespołu założycielskiego. Byłem bezpośrednim świadkiem narodzin naszego przedsiębiorstwa i całego jego dalszego rozwoju – zaznaczył z dumą, chyba nawet nieudawaną.

– Duży to był wówczas zespół?

– Och, było nas raptem kilka osób. – Mężczyzna po raz pierwszy się uśmiechnął, dzięki czemu nabrał bardziej ludzkiego wyglądu. – Sami młodzi. Byłem z nich wszystkich najstarszy, ale też dopiero parę lat po studiach. Wcześniej zdobywaliśmy szlify, pracując w zakładach państwowych, na szczęście nie zdążyły nas one jeszcze zepsuć. Ja na przykład na kierowniczym stanowisku w budowlance... ale to chyba nie należy do tematu – zafrapował się, pozując na skromnisia.

– Dłaczego, to bardzo ciekawe – uśmiechnęła się. – Założycielem firmy był pan Aleksander Żelazny, prawda?

– Zgadza się. – Mężczyzna, już rozluźniony, znowu się spaïł. – Wraz z małżonką, panią Sylwią Żelazną, do niedawna jeszcze naszą prezes. Dziś oboje już świętej pamięci. Niestety, na naszej drodze obok sukcesów były i tragedie.

– Cóż, bardzo to przykre, ale takie jest życie, wzloty i upadki. – Felicja ze smutkiem pokiwała głową.

– Niby tak. – Zmarkotniał. – Jednak w tym przypadku...

– Tak, wiem. To nie były naturalne zgony.

– Pan Aleksander zginął młodo, dawno temu. To była tajemnicza sprawa, winnych do dziś nie znaleziono. Niestety, ludzie wpływowi i zamożni mają wrogów, nie tylko u nas. A pani Sylwia... no cóż, trudno powiedzieć. W moim przekonaniu był to napad rabunkowy, ale nie mnie osądzać. Pozostawmy to policji. Nie chciałbym zabierać w plotki i domysły, rozumie pani.

– Tak, oczywiście, rozumiem. Nieszczęście – westchnęła. – Miejmy nadzieję, że policja znajdzie sprawców. A jak to wpłynęło na działalność państwa firmy?

– Na szczęście firma posiada doświadczony zarząd oraz wszelkie stosowne mechanizmy. Działamy zgodnie z planem.

– To wspaniale! Gratulacje i trzymamy kciuki. Jak liczny jest zarząd?

– Razem z moją osobą liczy jedenaście osób. Przepraszam. W tej chwili, niestety... dziesięć.

– No tak. Te osoby zasiadają w nim od początku?

– W większości tak. Z tego jesteśmy dumni i wierzymy, że nasze doświadczenie sprawdzi się w tej szczególnej sytuacji.

– Ale teraz, po śmierci pani prezes, jakieś zmiany organizacyjne, personalne, zapewne jeszcze państwa czekają?

Konarski nalał sobie wody sodowej, najpierw zapraszając dziennikarkę gestem do poczęstunku. Podziękowała.

– No cóż, zapewne czekają – odpowiedział, gdy już się napił. – Ale jeśli o mnie chodzi, to jeszcze się na emeryturę nie wybieram i będę pilnował interesów firmy. Wkrótce zaczniesz się postępowanie spadkowe, spadkobierca zapewne przejmie udziały zmarłej pani prezes. Mamy nadzieję, że nie zakłóci to naszej pracy ani naszych planów.

– Tego państwu życzę. A jeśli spadkobierca nie zechce przejąć udziałów?

– Istnieje taka możliwość. Wówczas będziemy szukać nowego inwestora lub podzielimy się udziałami między sobą. Zrobimy tak, by wyszło jak najlepiej dla dalszego funkcjonowania firmy – zapewnił i podniósł się z fotela, dając sygnał, że rozmowę uznaje za zakończoną.

Felicja nie oponowała, poprosiła jeszcze o zdjęcie, do którego oczywiście zapozował jak cesarz na swoim tronie za antycznym biurkiem. Nacisnął jakiś przycisk i po chwili drzwi się rozsunęły. Ten sam młody człowiek, który Felicję tu przywiódł, odprowadził ją do wyjścia. Tym razem trudna przeprawa przez włochaty dywan wydała jej się nieco krótsza.

Młodzieniec w garniturze przyholował ją pod recepcję, po czym się ulotnił. Wysła żegnana wciąż tym samym bacznym spojrzeniem starszawego recepcjonisty w okularach, który ledwie skinął głową na jej uprzejme „do widzenia”. W pełni odetchnęła dopiero wtedy, gdy znalazła się na zewnątrz, w zupełnie innym świecie. Z ulgą pomaszzerowała na parking. Gdy wsiadała do samochodu, obok niej zatrzymało się lśniące sportowe auto w kolorze dojrzalej wiśni. Wysiadł z niego młody człowiek w garniturze na oko identyczny z jej „aniołem stróżem”, tyle że ten trzymał teczkę. Obrzucił wzrokiem jej vana i zdębiał. Musiał poczuć się zszokowany. Z wolna przeniósł wzrok na Felicję, w jego oczach odmalowało się zaciekawienie pomieszczone z konsternacją. „Na pracownicę firmy ani na klientkę nie wyglądam. A dla dostawców mają widocznie osobny parking”, pomyślała z ironią. Obdarzyła go uśmiechem, na który nie zareagował, tylko odwrócił się i energicznym krokiem podążył ku wejściu do budynku. Ruszając, wciąż miała w głowie widok jego twarzy i choć z pozoru wydała jej się bezosobowa, uświadomiła sobie w tym momencie, że dostrzegła w niej coś znajomego. W rysach, a może w mimice. Kogoś jej przypominał, tylko nie mogła skojarzyć kogo. Może jakiegoś sportowca albo aktora. Oni też wszyscy tacy piękni. Wzruszyła ramionami, kierując się w stronę centrum miasteczka.

– Pewnie, że ich kojarzę! – uśmiechnęła się Greta, wpatrując się z zaciekawieniem w ekran, na którym Felicja zademonstrowała jej zdjęcie pierwotnej ekipy Budomaxu. – Ależ to stare dzieje... a wydaje się, że dopiero co... Boże, jacy oni wszyscy tu młodzi. Cholera, też wtedy byłam młoda, niech to szlag!

Felicja parsknęła.

– Założę się, że ty się nie zmieniłaś. Takie zarazy się nie starzeją.

– Ty siedź cicho. Byłaś wtedy małą.

– Chodziłam do liceum! Nie wiem dokładnie, który to był rok, ale...

– Około dziewięćdziesiątego – stwierdziła Greta z pewnością w głosie. – Na pewno. To ich początki, część kampanii reklamowej.

– No, to się zgadza. Tak czy siak, obie byłyśmy wtedy młode. I nadal jesteśmy. – Mrugnęła do Grety. – Powiedz lepiej coś więcej na ich temat. Czy wszyscy żyją, nadal pracują w tej firmie, są w zarządzie?

Pani wójt wzruszyła ramionami. Siedziały w jej biurze w urzędzie, popijając przyniesiony przez Stefańską kwas chlebowy.

– Nie wszyscy żyją – odparła. – Jak wiesz, nie żyją oboje Żelazni... – Przyjrzała się ponownie fotografii. – I chyba tylko oni. Ten brunecik tutaj to Konarski, zastępca Żelaznej, obecnie zarządza firmą.

– Pokaż, bo właśnie go poznałam. Ten z wąsikami?

– No.

– Mało podobny. Teraz jest całkiem siwy i wygląda jak robot z jakiegoś *Star Treka*. A to jest Alicja Domagała?

– Tak. Ona chyba niewiele się zmieniła.

– To prawda. Od razu ją rozpoznałam na tej focie.

– Spotkałaś się z nią?

– Niedawno.

– I jak? Nawet ją lubiłam...

– Bo ona raczej daje się lubić. Choć guzik mi pomogła, jest tak cholernie lojalna wobec tej swojej firmy, że rzygać się chce. Pomyślałyby kto, że Żelazni to byli święci, a Sylwia już w ogóle... dziewczica orleańska.

– No wiesz, przyjaźniły się, to co się dziwisz. Mam nadzieję, że ty byś mnie też bronila jakbyś co?

– Ciebie? Tłumy by mnie zlinczowały, jakby mi się złe słowo o tobie wymysknęło! – Felicja się roześmiała. – A kim są te dwie za Domagałą?

– Nie pamiętam, jak się nazywały, one w tamtych czasach obsługiwały biuro. Teraz chyba też są w zarządzie. Takie inunie bez wyrazu. Tę z lewej lepiej kojarzę, dziś gruba becčka, ale już wtedy miała skłonności do tyścia.

– No a reszta? Te wszystkie chlopy?

– Płotki. Ale wszyscy dobrze się ustawili dzięki tej firmie, więc będą się jej trzymać do grobowej deski.

- Więc raczej nie zaślubiły swojej prezeski.
- Nie sądzę. Budomax znalazł się w kłopotach po jej śmierci, jego notowania spadały na łeb na szyję, firma mogła się posypać. Nadal nie do końca wiadomo, co ją czeka, choć pewnie się z tego podniosą.
- Patryk Żelazny deklaruje, że nic go nie obchodzi los przedsiębiorstwa i nie zamierza się w nie angażować.
- Od początku tak twierdził. – Greta pokiwała głową.
- No trudno, pogrzebię w tym jeszcze trochę, choć mierzi mnie temat, w przeciwieństwie do ciebie biznes nigdy mnie nie kręcił.
- Pazikowa nie dała się sprowokować.
- Dam ci namiar na ciekawego człowieka – ożywiła się nagle. – Nie znam dziada osobiście, ale mnóstwo o nim słyszałam. Zresztą wszyscy tutaj słyszeli. Może być użyteczny, choć typ jest antypatyczny. Bądź ostrożna, to były beziepek...

\*\*\*

Greta zaciągnęła Felicję do siebie na kolację. Czas minął im szybko, głównie na wspominkach. Jedzenie było dobre, choć przygotowane ad hoc: rybki, oliwki, sosy, sałatki i marynaty. Kolorowo i smacznie. Wspominaniu oddawała się bardziej Greta, ale przy wytrawnym czerwonym winie i Stefańska się rozluźniła, a nawet poddała nostalgicznej atmosferze. Dołączył do nich Przemek, drugi mąż Greta, człowiek biznesu, mieli więc wspólny temat. Felicja raczej się przysłuchiwała, niż uczestniczyła w dyskusji, na jej kolanach mruzczała błogo perska kotka Pazików, w tle leciał kameralny jazz.

Zatęskniła za Burem i głosem Artura, przynajmniej w słuchawce telefonu. Zresztą zrobiło się późno, było już po dziesiątej. Pożegnała więc przyjaciół. Ulice Kryszewa o tej porze i poza sezonem dawno już opustoszały, po około pięciu minutach była już na osiedlu. Wjechała uliczką pod górę i wysiadła, nie wyłączając silnika, żeby otworzyć bramę. Nagle usłyszała jakiś dźwięk, jakby coś przeleciało jej koło ucha. Zdezorientowana rozejrzała się, ale niczego nie dostrzegła. Pomyślała, że ma omamy słuchowe. Cofnęła się, wsiadła do wozu, wjechała na podjazd. Zgasiła silnik i światła. Teraz ogród oświetlała tylko słaba lampa wisząca na ganku. Zbierała się, by wysiąść i zamknąć bramę, gdy – tym razem wyraźnie – dobiegł ją brzęk tłukącego się szkła. Zewnętrzne lustro przy drzwiach kierowcy pękło i rozsypało się w drobny mak.

Zdenerwowana nie wiedziała, co robić. Uchyliła okno. Wokół panował mrok. I cisza. Tylko gdzieś w oddali poszczekiwały psy. Bała się zarówno wyjść na zewnątrz, jak i siedzieć w aucie. W końcu szarpnęła za klamkę i wybiegła. Od domu dzieliło ją zaledwie kilka metrów. Nie zamykając samochodu, pognęła do wejścia i rozpaczliwie nacisnęła dzwonek. Może gospodarze jeszcze nie śpią, może usłyszą, bo klucz zostawiła w plecaku, a plecak w wozie.

W drzwiach wejściowych tkwiła jakaś karteczka. Zignorowała ją. Po chwili z ulgą usłyszała kroki i poszczekiwanie Burego, ktoś otworzył drzwi, a kartka spadła na podest. Gospodarz, który o coś ją pytał, schylił się po nią, co zauważyła kątem oka. Jak burza wpadła do środka i niemal osunęła się na ścianę, oddychając głęboko. Cała się trzęsła. Coś takiego przytrafiło jej się po raz pierwszy w życiu. Musiała wziąć się w garść, wezwać pomoc... Wyjęła telefon i zadzwoniła do Palczyńskiego.

Czterdzieści minut później siedziała na schodach owinięta kocem, trzymając Burego za obrozę i obserwując ogród jak scenę, na której rozgrywa się jakaś fikcyjna, abstrakcyjna, niezrozumiała akcja. Teren został oświetlony i odgradzony od ulicy taśmą, wzdłuż ulicy stało kilka policyjnych samochodów. Po drugiej stronie zebrał się niewielki o tej porze – w środku nocy – tłumek gapiów, których jednak nigdy nie może w takich sytuacjach zabraknąć. Na jej wiadomość komisarz zareagował nerwowo: natychmiast wezwał chłopaków z najbliższego patrolu i wyrwał ze snu Rybę. Biedny Zygmunt przyjechał na miejsce w niespełna kwadrans i od razu zajął się odgradzaniem miejsca przestępstwa, podczas gdy dwóch mundurowych z radiowozu przeszukiwało pobieżnie okoliczne krzaki i zaułki. Ryba twierdził, że jeszcze się nie położył, tylko oglądał telewizję, ale widać było, że jest zaspany. Pałka dotarł jako ostatni, wkrótce po technikach, którzy właśnie zabezpieczali ślady i zbierali dowody. Skończył rozmawiać z nimi i zmierzał w jej kierunku. Zapragnęła do niego się przytulić, choć wiedziała, że nie może tego zrobić.

– Ktoś do ciebie strzelał, najprawdopodobniej z wiatrówki. Znaleźli pociski, śrut, kaliber pięć milimetrów. Wydaje się, sądząc ze śladów, że brało w tym udział więcej osób. Nie jedna, co najmniej dwie – powiedział, siadając ciężko obok niej i muskając przelotnie jej dłoń. – Może teraz uda nam się po nitce

do kłębka dojść do tych samych skurwysynów, którzy pobili twoją młodszą koleżankę, tę małą Kasię. Bo to raczej nie zbieg okoliczności – dodał posępnie.

– Chcieli mnie zabić?

– Nie, raczej nastraszyć. Ale nie wolno tego lekceważyć.

Pokiwała głową.

– Czy teraz wznowicie śledztwo?

– Tak. – Objął ją w pasie. – Jak się czujesz?

– A jak niby mam się czuć? Jak ty byś się czuł na moim miejscu? – prychnęła. – Fatalnie!

– Nie potrzebujesz pomocy lekarskiej? Psychologa?

– Co? Daj spokój. Fizycznie nic mi nie jest, z psychiką też sobie poradzę. Muszę się napić mocnej herbaty albo kawy.

– Gospodyni już parzy kawę dla wszystkich. Za chwilę Ryba spíše twoje zeznanie. Na razie nie będziesz musiała przyjeżdżać na komendę. Odpocznij. Ja muszę jeszcze trochę popracować...

– Pani Felu! Panie komisarzu! – Drzwi za ich plecami otworzyły się raptownie i pojawił się w nich gospodarz domu. – Jeszcze ta kartka! W tym zamęcie o mały włos bym ją do śmietnika wyrzucił...

– Co za kartka? – zainteresował się Pałka.

– Była w drzwiach, kiedy pani Fela zaczęła dzwonić...

– Faktycznie, była jakaś kartka w drzwiach – potwierdziła zmęczonym głosem Stefańska. – Co na niej jest?

– Lepiej, żeby pani nie wiedziała – oznajmił ze zgrozą mężczyzna, podając świstek papieru w kratkę policjantowi. – Przypadkiem spojrzałem...

Palczyński chwycił kartkę za krawędź, rozwinął ją i się skrzywił.

– Co to? – zapytała.

– Groźba – odparł niechętnie. – Kretyński rysuneczek.

– Pokaż.

Na kartce widniała nieudolnie naszkicowana, ale czytelna pętla. Komisarz zawołał jednego z techników i podał mu zdobycz.

– Zabezpieczcie to – polecił. – Będą tu odciski palców gospodarza, być może też moje. Poza tym trzeba zbadać.

– To znaczy, że już wcześniej ktoś tutaj był i zostawił tę kartkę. Bo odkąd do mnie strzelali, na pewno nikt nie wchodził do ogrodu, widziałabym – powiedziała Felicja. Znowu poczuła się dziwnie. Niby nic się jej nie stało, ale myśli, że ktoś ją obserwował, skradał się, atakował, straszył, była nie do zniesienia. Ktoś naruszył jej prywatną przestrzeń, traktując ją jak wroga. Albo jeszcze gorzej: jak potencjalną ofiarę. W każdym razie miał wobec niej złe zamiary. Nie potrafiła się z tym pogodzić, nawet uwierzyć w to.

– Państwo niczego nie słyszeli? – Pałka zwrócił się do gospodarza, który zaprzeczył, kręcąc głową. – Czyli ktoś się zakradł, taki płot nietrudno przeskoczyć w ciemnościach. Gorzej, że tu rośnie trawa, trudno o ślady, ale i tak szukajcie – zwrócił się do technika, wkładającego kartkę do torebki foliowej.

– My oglądali telewizję, wtedy nic nie słysząc z zewnątrz, ale pies szczekał, Bury, znaczy – dodał gospodarz. – Tylko my myśleli, że to z tęsknoty za panią. On często tak. A może biedak coś usłyszał?

– Szkoda, że nam tego nie powie. – Pałka poklepał psa po zadzie, a Bury nieśmiało poruszył ogonem.

– Ano. To ja zaraz gorącej kawy w termosie od żony przyniosę. – Starszy mężczyzna wszedł do domu.

Technik oddalił się do swoich zajęć. Palczyński znowu objął Felicję, a ona na moment położyła mu głowę na ramieniu. Po chwili się wyprostowała.

– Co za cholerny tępy matoł myślał, że jak mnie postraszy, to się poddam! – powiedziała ze złością.

Pałka westchnął.

– No i tego się właśnie obawiałem. Czyli nie zamierzasz zrezygnować, mimo że wznawiamy śledztwo?

– Żartujesz? – obruszyła się. – Wy robicie swoje, a ja swoje. Żaden gnojek nie będzie mi dyktował warunków.

– Gnojek to ja? – Komisarz Palczyński stuknął się palcem w pierś.

Felicja wreszcie się uśmiechnęła.

– Nie ty, tylko ten jakiś półgłówek, który chciał mnie postraszyć. Nie dam się. On nie wie, że nie mam niczego do stracenia.

– Felicja, nie chojrakuj – ostrzegł. – I nie mów tak, bo sprawiasz mi przykrość. Każdy ma coś do stracenia. Tyle osiągnęli, że teraz znowu będą mieli na karku gliny. Ale nie możemy cię non stop ochra-

niać. Musisz być ostrożna.

– Będę, obiecuję. – Przyłgnęła do jego ramienia.

Z domu wyszedł gospodarz z termosami kawy, za nim podążała gospodyni z tacą pełną szklanek i kubków, którą postawiła na podeście, zapraszając wszystkich, by się częstowali.

– Należę ci. – Komisarz napełnił kubki gorącym napojem i podał jeden Felicji. – Napij się, zabierz Burego i idźcie na górę. Odpocznij. Za chwilę podejdzie tam Ryba i spisz zeznanie.

– Okej. A jeśli potem zasną?

– To cię obudzę.

– Ależ bym się piwa napił! – westchnął tęsknie Zygmunt Ryba, wyjmując z kieszeni notes i dyktafon.

– Może jest jeszcze coś w lodówce?

– Nie, no coś ty, jestem w robocie. Kawa musi wystarczyć. Dobra, dawaj to zeznanie. – Padł z impetem na kanapę. Bury, myśląc, że to zabawa, wskoczył mu radośnie na brzuch, aż aspirant się zgiął.

– Dobra, zaczynam. Wracam do kolacji u Pazików. U przyjaciół, napisz...

– U państwa Pazików. I tak sprawdzę. A wójt o autorytet. No, dalej. O której to było?

– Jakoś tak koło jedenastej wieczorem. Dojechałam pod dom i poszłam otworzyć bramę. Usłyszałam dziwny świst koło ucha, ale jeszcze wtedy nie kapnęłam się, co jest grane...

– Mów po ludzku.

– Okej, wykasuj. Dojechałam pod dom i poszłam otworzyć bramę. Usłyszałam dziwny świst koło głowy, z lewej strony, ale wtedy nie zorientowałam się jeszcze, o co chodzi. Byłam tylko zdziwiona. Może zaniepokojona, ale to trwało moment. Sądziłam, że mam zwidy... to znaczy, że coś mi się przesyssało. Wjechałam na podjazd i nagle dobiegł mnie brzęk szkła, boczne lustro się roztrzaskało. Zrozumiałam, że to się dzieje naprawdę. Bałam się siedzieć w samochodzie, więc wyskoczyłam i pobiegałam do drzwi. Miałam mały kawałek do przebiegnięcia...

– I w tych drzwiach była kartka, tak?

– A, rzeczywiście. Była. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi. Zadzwoiłam do drzwi kilka razy i wyszedł gospodarz. Na szczęście, bo chyba bym zeszała na serce. Kurde, wykasuj to zdanie. Kartkę on podniósł. Gospodarz. Zadzwoiłam do... do komisarza Palczyńskiego – zakończyła.

– Okej, dzięki. – Ryba wyłączył dyktafon, następnie podszedł do jej laptopa i szybko zaczął pisać. – Kiedyś dzwoniłaś do mnie – dodał przez ramię.

– Wszystko się zmienia, Rybko. Świat się zmienia.

– To fakt, zmienia się. Za to ty jak dawniej rozrabiasz. Dobra, druknę to u ciebie od razu i podpiszesz.

Gdy już dopełnili formalności, policjant się pożegnał.

– Posiedziałbym u ciebie, ale muszę wracać do roboty. Palka kazał ci przekazać, że masz się położyć. Bardzo się o ciebie troszczy!

– To chyba dobrze, co?

– Ja się z tego cieszę. – Wyszczerył zęby. – Choć on jeszcze nie wie, biedak, w co się wpakował.

Nie zamykała się, bo po co, skoro w ogrodzie było pełno policji, a gdyby nawet odjechali, zanim się obudzi, to i tak gospodarze na sto procent zaryglują drzwi wejściowe. Weszła na antresolę, położyła się na materacu i wtuliła w psa, myśląc, że zdrzemnie się zaledwie przez chwilę. Byle tylko bez koszmarów. Jednak gdy uchyliła oczy, za oknem już szarzało. Czula się doskonale. Co ją właściwie obudziło? Jakiś piękny sen?

Usłyszała szept:

– Felicja...

Zerwała się, siadając na łóżku, wciąż jeszcze półprzytomna. Przez ułamek sekundy zdawało jej się, że to głos Sebastiana.

– To ja. Artur. Skończyliśmy już. – Obok niej na materacu przysiadł Palczyński i gładził ją po włosach.

O dziwo, nie poczuła rozczarowania. Ani smutku czy rozpacz. Przeciwnie, zrobiło jej się ciepło na sercu. W tym samym momencie przebudził się Bury. Ziewnął, zapiszczał, machnął ze dwa razy leniwie ogonem, liźnął rękę komisarza, po czym padł na poduszkę i natychmiast zasnął.

– O rany, Artur... sorry... ale zasnęłam!

– No i bardzo dobrze – uśmiechnął się. – Dopiero świt. Możesz spać dalej. A ja tu jeszcze przez jakiś czas posiedzę. Bo ten pies czujny jest jak nie wiem co! – Zaśmiał się cicho.

– Tutaj?

– Nie, niedośłownie tutaj. Na dole. Jeśli pozwolisz. Zrobię sobie kawy i będę czuwał, dopóki się nie rozwidni i póki twoi gospodarze nie wstaną.

– Ale po co? – Nie zrozumiała.  
– Trochę się denerwuję. Wolałbym mieć pewność, że jesteś bezpieczna i że żadna szumowina nie będzie się tutaj kręcić. Ale jeśli sobie tego nie życzysz, to nie ma problemu, posiedzę w samochodzie.  
– Ależ życzę sobie! Tylko nie wiem, czy to naprawdę potrzebne. Tutaj mi nic nie grozi. Daj spokój, jedź do domu i też złap trochę snu, bo zdaje się, że czeka cię praca. Później się dzwoniśmy. – Ziewnęła. Palczyński wstał.  
– Skoro nie masz nic przeciwko temu, to pozwól, że jednak zostanę. Zrobię sobie u ciebie odrobinę kawy i może kanapkę. Skorzystam z waszego biura i popracuję przy komputerze. Mam ze sobą laptop. A ty spij dobrze.

Za drugim razem ściągnął ją z łóżka Bury, który dreptał przy drzwiach, popiskując widocznie za potrzebą. Słońce już było wysoko, musiało minąć południe. Przypomniała sobie groźbę nocy i piękne przebudzenie. Jedno i drugie wydawało jej się teraz nierealne. Narzuciła szlafrok i zeszała, żeby wypuścić psa do ogrodu. Widok taśmy policyjnej uzmysłowił jej, że wydarzenia poprzedniej nocy nie były snem. Na zewnątrz zastała gospodarza. Grabił zawzięcie teren chyba po to, żeby przywrócić w obejściu choć namiastkę normalności. Przechodzący obok po chodniku ludzie z zaciekawieniem zaglądali przez siatkę ogrodzenia.

– Dzień dobry! – zawołała do gospodarza, którego Bury jako pierwszy dopadł w rozmerdanym psim powitaniu.

– Dzień dobry, dzień dobry, pani Felu. – Pomachał jej. – No, a jakże się pani czuje po tym wszystkim?

– Nie najgorzej, choć szlag jasny mnie trafia. – Podeszła bliżej i oceniła wzrokiem swój zdewastowany samochód. Rozbite szkło zostało już uprzątnięte. – I kolejny wydatek mnie czeka, cholera...

– A co tam wydatek, najważniejsze, że pani żyje – sapnęła. – Przecie pani koleżanka skończyła w szpitalu. Bandyci przekłęci!

– Ma pan rację. Przekłęci. – Owinęła się szczelnie szlafrokiem, dzień był słoneczny, lecz nadal chłodny. – A kiedy odjechał komisarz?

– Z parę godzin temu będzie. Może ze trzy. Prosił przekazać, żeby nigdzie się pani już dziś nie ruszała. Wieczorem znowu przyjedzie. Ale tam przez cały czas stoi dziś patrol. – Wskazał brodą na wąską boczną uliczkę obok budynku poczty. – Tak mnie się zdaje, że to nie bez związku.

– Ciekawe. Myśli pan? Dobrze, będę dziś siedzieć w biurze, i tak mam trochę zaległej roboty. Dziękuję.

– Wejdzie pani do nas, żona trzyma dla pani śniadanie. I kawka świeżutka też już w dzbanku zaparzona!

– Tak? O, to super! Tylko się przebiorę. Przepraszam państwa za to wszystko...

– Pani przepraszam? A toć nie pani wina, ino tych bandziorów! Takie czasy tera nastały, wojny, zarazy, katastrofy, bandziorstwo... Zło się szerzy, koniec świata, pani Felu. – Starszy pan otarł rękawem pot z czoła.

– Oby nie. Chciałabym jeszcze trochę pożyć.

Nagle zdała sobie sprawę, że to jej spontanicznie wypowiedziane życzenie ma ścisły związek z osobą Palczyńskiego. Zostawiła Burego w ogrodzie z gospodarzem i wróciła na górę. Wzięła szybki prysznic i narzuciła na siebie czysty błękitny dres z polaru. Potem zadzwoniła do Greta, która wiedziała już o wszystkim – zapewne od Ryby – lecz akurat uczestniczyła w zebraniu i chwilowo nie mogła rozmawiać. Obiecała, że oddzwoni. Felicja z czystym sumieniem udała się więc do gospodyni na śniadanie. Magiczny zapach jajecznicy unosił się już na schodach...

Po śniadaniu usiłowała pracować, ale kiepsko jej to szło. Stres dopiero dawał o sobie znać. Greta zadzwoniła dwie godziny później, kiedy Felicja bezskutecznie próbowała skupić się na redagowaniu aktualności gminnych. Wójt była wstrząśnięta.

– To nie przypadek, to na pewno ci sami, którzy napadli na Kasię! Ale żeby strzelać? U nas w miasteczku?

– Gretko, a ty jeszcze nie zauważyłaś, że to miasteczko nie jest tak niewinne, jak ci się kiedyś wydawało? – Felicja zdobyła się na żart. – Jak mawia mój gospodarz, czasy takie. Do ciebie też przecież strzelano parę lat temu, pamiętasz?

– Tak, ale to zupełnie co innego! Inna historia!

– Każda historia jest inna.

– Jak się czujesz po tym wszystkim, kochana? Tylko mów szczerze. Nie potrzebujesz pomocy?

– Żyję. Ci dranie nie chcieli mnie zabić, tylko nastraszyć. Nawet Artur tak uważa. Niczego nie potrzebuję, daję radę, ale jestem wściekła i mam cholerną ochotę dopaść tych skurwysynów.

– Wcale ci się nie dziwię, choć mam nadzieję, że teraz jednak odpuszczisz. Policja wznawia śledztwo, zostaw im tę robotę.

– Nie ma mowy – odparła twardo. – Teraz tym bardziej nie odpuszczę. Przecież ja nie prowadzę dochodzenia, tylko zbieram materiały do reportażu śledczego! Wykonuję swoją pracę. Nie wchodzę w parady glinom. I nie dam się zastraszyć.

– Dobra, nie mówię, to w końcu ja cię w to wkręciłam. Będę ci pomagać, tylko błagam, bądź ostrożna. Podobno zdewastowali ci twój... wehikuł?

– Kamper. Nie zdewastowali, poszło lusterko boczne. Wymienię, na lusterko jeszcze mnie stać.

– Ryba obiecał, że się tym zajmie, jak zawsze. A ty jeszcze pogadaj z Palczyńskim, proszę cię. Niech on ci powie, co możesz robić, a czego nie...

– Pałka niedługo tu będzie. Zapowiadał się na wieczór. Dobra, jasne, pogadam z nim, ale on przecież i tak nie zna się na dziennikarstwie.

– Za to zależy mu na tobie – skwitowała Greta. – Masz coś na uspokojenie w razie czego? Podrzucić ci jakieś ziółka?

– Nie, dzięki, mam Burego – uśmiechnęła się.

– O tak, masz rację, to najlepsze lekarstwo! Kończę, bo mnie wzywają. Dzwonił, jakbyś potrzebowała pogadać. Żebyśmy były w kontakcie.

Pałka przyjechał wieczorem. Jeszcze raz przeprowadził rozmowę z gospodarzami. Felicja nie uczestniczyła w niej, nie wiedziała więc, czy było to przesłuchanie, czy zwyczajna pogawędka. Nie trwała w każdym razie dłużej niż pół godziny. Gdy komisarz wszedł na górę, czekała na niego z kolacją, już nie w dresie, tylko w dżinsach i swetrze. Włosy, które od lata urosły, spięła na karku. Zjedli, po raz kolejny walcując temat napaści. Palczyński upierał się, żeby potraktowała sprawę poważnie i odpuściła ten temat, Felicja nie zamierzała ustąpić. W końcu doszli do porozumienia: dziennikarka może prowadzić poszukiwania w sieci czy w archiwach, a także rozmawiać z ludźmi, byle on wiedział o każdym jej kroku.

Potem obejrżeli jakiś film, posłuchali muzyki, trochę się pościskali, w czym przeszkadzał im rozbrykany Bury. Czas płynął, aż w końcu Stefańska spostrzegła, że dochodzi północ, tymczasem Palczyński nie zamierzał się zbierać. Mało tego, miał ze sobą nieduży neseser, w którym, jak przypadkiem zauważyła, na wierzchu na sto procent leżał frotowy ręcznik w paski. To ją zaintrygowało. W końcu nie wytrzymała.

– Kochany, czy zamierzasz się do mnie wprowadzić? – zażartowała.

– A co? – Zmieszał się lekko, lecz podjął grę. – Miałabyś coś przeciwko temu?

Wzruszyła ramionami.

– No nie wiem, ale chyba powinnam zostać wcześniej o tym uprzedzona... – powiedziała z przy-mrużeniem oka.

– Szczerze to wolałbym, żebyś tu ty się wprowadziła do mnie – odparł serio. – Przecież nie musisz do końca życia mieszkać na tym strychu. Do pracy można dojeżdżać, to nie tak daleko. Ale tak serio... myślę, że na razie powinienem tutaj zostać. Ktoś cię musi pilnować, a nie stać nas na formalną ochronę. Już i tak z trudem wyegzekwowałem, że stale ktoś od nas siedzi w szpitalu.

– Zaraz, ty tak na poważnie? – parsknęła śmiechem.

– Myślałem, że...

– Artur, na litosć boską! Przecież nie możesz tu nocować! Zrozum. Moi gospodarze to starsi, prości ludzie. Wiedzą, że byłam zaręczona, znali dobrze Sebastiana, lubili go. – Wolała nie wspominać o Rybie, którego wcześniej parę razy ukradkiem wypuszczała bladym świtem tak, żeby nikt tego nie zauważył. – Nie stawiajmy ich w niezręcznej sytuacji. Proszę. Nie zależy mi na opinii, ale to jednak ich dom. Chciałabym, żebyś został, naprawdę. Bardzo! Tylko najpierw wolałabym ich do tego przygotować...

Palczyński pokiwał głową.

– Ależ ja to rozumiem – odparł. – Dlatego założyłem, że będę siedział w samochodzie przed domem.

– Jak to w samochodzie?

– Jeśli dasz mi kawy do termosu...

– Oszalałeś!

– Nie – uśmiechnął się. – Dla mnie to nie pierwszozna. Jestem starym gliną. Wiesz, ile nocy w ten sposób spędziłem przez te wszystkie lata?

– Nie ma mowy. Nie zasnąłabym! I przez ile dni tak niby zamierzasz?

– Tyle, ile będzie trzeba. – Wzruszył ramionami. – Pozwól mi tylko korzystać ze swojej łazienki.

– Nie, kurczę, nie! Jest wczesna wiosna. Nie wyobrażam sobie, żebyś siedział kilka nocy z rzędu w samochodzie! – Urwała, bo nagle coś jej przyszło do głowy. – Słuchaj, a co byś powiedział na noco-

wanie w moim kamperze? Jest wygodny, przystosowany do mieszkania, bo to dom na kółkach: ma piecyk, łóżko, prąd, kuchenkę, ma wszystko, nawet prysznic i kibel...



## Kryszewo, maj

Już od kilku dni Palczyński nocował w kamperze i nawet mu się to spodobało. Stał się – jak mawiał z zadowoleniem – „stacjonarnym kamperowcem”. Razem z Felicją przesiadywali w vanie do późnej nocy, a nawet do rana, często towarzyszył im Bury. Komisarz za dnia dużo pracował, wracał wieczorami. Czasem dzielił się informacjami, choć bardziej wrażeniami ze śledztwa. Lecz Palka to nie Ryba, stwierdziła Stefańska. Z młodego łatwiej było wyciągnąć informacje, więc niekiedy dalej z tego źródła korzystała. Od Artura dowiedziała się jednak, że kamera monitoringu przy urzędzie pocztowym zarejestrowała prawdopodobnie napastników. Obraz był rozmyty, ale wyglądało na to, że w zająciuciu uczestniczyło co najmniej dwóch delikwentów: ukrywali się i przemykali chyłkiem za krzakami. Jeden na moment stał się nieco bardziej widoczny, wprawdzie tylko z tyłu i z boku, ale na nagraniu widać wyraźnie wygolony łeb i kurtkę motocyklową. Felicja zasugerowała, żeby pokazali to nagranie Kasi, być może odblokuje jej ono pamięć. Komisarz stwierdził, że już o tym pomyśleli, lecz muszą jeszcze skonsultować pomysł z lekarzem i psychologiem. Nie wiadomo, jak takie obrazy wpłyną na jej stan zdrowia.

Felicja tymczasem przypomniała sobie o byłym bezpieczeństwie, na którego namiar otrzymała od Greta. Marian Zgorzel. Zastanawiała się, czy to jego prawdziwe nazwisko. Facet był już po siedemdziesiątce i do niedawna prowadził agencję ochrony. Dorobił się, mieszka niedaleko w wiosce, gdzie ma duży dom. W okolicy nadal cieszy się złą sławą. Pomyślała jednak, że nie zaszkodzi, jeśli spróbuje pociągnąć go za język. Zapewne sporo wie o środowisku lokalnych notabli z dawnych lat i tych obecnych, skoro przez wiele lat zawodowo zajmował się ochroną.

Zgodnie z obietnicą powiedziała Palczyńskiemu, że zamierza z tym facetem rozmawiać. Nie wyraził sprzeciwu. O Zgorzeli już słyszał. Ostrzegł ją tylko, że bezpieczek może nie chcieć z nią rozmawiać, bo podobno z nikim nie gada. A zmusić go nie można, niczym nie podpadł, niczego na niego nie mają, od przeszło trzydziestu lat żyje uczciwie, przynajmniej na to wygląda. Nawet jeśli kiedyś wyrwał ludziom paznokcie.

Zdecydowała się jechać do niego razem z Gretą około południa, żeby nie było za wcześnie ani za późno. Wolała w razie czego mieć wsparcie, bo jako reprezentantka urzędu z różnymi szajbusami miała już do czynienia. Zdarzali się i tacy, którzy ganiłi za „intruzami” z siekierą. Wójt przynajmniej ma range. Greta najpierw się wahała, w końcu wyraziła zgodę, jednak od razu zastrzegła:

– Z tym, że ja nie zamierzam z nim rozmawiać. Nie chcę, żeby mnie w gminie kojarzono z tym człowiekiem. Do tego... stare dzieje, ale mój ojciec miał z nim na pierku, mnie również zastraszał, kiedy jeszcze jako młoda siksa próbowałam sił w biznesie. Zresztą z nim tu chyba każdy miał jakieś przeprawy. Ty nie jesteś stąd, więc ciebie to nie dotyczy. Ja cię tylko tam zawiozę i poczekam w samochodzie. Będę pilnować, żebyś wyszła od niego cała i zdrowa, o ile w ogóle cię wpuści.

– Ej, nie przesadzasz?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

– Zaraziłaś się od Ryby tymi ludowymi mądrościami? – parsknęła Felicja. – Co mnie nie zabije, to mnie wzmocni. Przywykłam. No dobra, w takim razie jesteśmy umówione.

\*\*\*

Do wsi o wdzięcznej nazwie Duchówka dotarli w kilka minut, leżała niedaleko Kryszewa. Z jednej strony szosy znajdowały się sklepy, magazyny, warsztaty i tym podobne zakłady, z drugiej – boczna droga prowadziła aż pod las, przez osiedle domków jednorodzinnych. Być może kiedyś była to wieś, ale teraz pozostała nią już tylko z nazwy. Tak jak wszędzie tutaj, w tej gminie. Dowodziło to chyba tylko tego, że rzeczywiście po przemianie ustrojowej te tereny – pobrzeża Gdańska – stały się mekką różnego kalibru inwestorów i siedzibą ich licznych biznesów.

Zaparkowały pod centrum handlowym.

– Ty idź, jego dom znajdziesz bez problemu – powiedziała Greta. – Druga albo trzecia przecznica po lewej, jeden z pierwszych od strony szosy, podobny wypisz wymaluj do bunkra ogrodzonego więziennym murem. Trudno go pomylić z jakimkolwiek innym.

– A co ty będziesz robić?

– Zakupy – odparła Pazikowa z zadowoleniem. – Tu jest wszystko. Nawet ogrodnictwo. Więc jeśli cię nie wpuści lub od razu wyrzuci, szukaj mnie w sklepach. Albo dzwoń na komórkę. To mi trochę zależy.

– A jeśli posiedzę dłużej? Albo on mnie ukatrupi? Miałaś mnie przecież pilnować! – zaśmiała się dziennikarka.

– Och, spoko. W biały dzień cię nie załatwi, prędzej ci w ogóle nie otworzy. Ale jak długo nie będziesz wracać, to wezwę posiłki. A na serio, wzięłam ze sobą książkę, najwyżej posiedzę i poczytam w samochodzie.

Wysiadły z auta, Greta wyjęła z bagażnika dużą torbę.

– Powodzenia! – rzuciła.

Felicja pomachała jej i przeszła na drugą stronę szosy, by po chwili skrócić w szutrową drogę prowadzącą w głąb osiedla. Trafnie opisany przez Gretę dom znalazła od razu. Rzeczywiście wyróżniał się spośród normalnych posesji z ogródkami i trawnikami. Ponury betonowy klocek za wysokim betonowym murem. Numer się zgadzał. W sąsiednich obejściach bawili się dzieci, dochodził gwar rozmów. Tutaj wszystko wyglądało na wymarłe. Nawet pies z kulawą nogą nie zaszczekał. Zatrzymała się przy masywnej bramie, zlokalizowała dzwonek z domofonem. Zawahała się, gdy minęła ją kobieta z siatką w dłoni, obrzucając zaciekawionym spojrzeniem. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale poszła dalej. Felicja w końcu zdecydowała się nacisnąć przycisk. Długo nic się nie działo. Zadzwoiła kolejny raz. I kolejny, gdy w oknie na piętrze, jedynym stąd widocznym, coś się poruszyło. W końcu domofon zaskrzeczał i rozległ się zniekształcony męski głos:

– O co chodzi?

– Dzień dobry. Jestem z gminy, z urzędu. Nazywam się Felicja Stefańska. Czy moglibyśmy porozmawiać?

– Stefańska? Z gazety?

Felicja skłęła się w myślach, że od razu podała swoje nazwisko. Facet najwyraźniej czytał gazety.

– Tak, zgadza się – potwierdziła zrezygnowana.

– O czym?

– Słucham?

– Mamy o czym rozmawiać?

– Potrzebuję pańskiej pomocy.

Nastąpiła cisza, a po chwili rozległ się brzęczyk. Brama szczęknęła i rozsunała się wolno. Gdy dziennikarka weszła, zamknęła się za nią. Przez moment poczuła się jak w pułapce. Rozejrzała się czujnie dookoła. Wszędzie beton. Śmietnik, garaż, wiata. Ani kawałek trawnika, drzewa, kwiatka. Do domu – na mały ganek pozbawiony poręczy – prowadziły schodki. Nagle drzwi się uchyliły.

– Proszę wejść. – Mężczyzna, który stanął w progu, był siwy, krępy, ubrany schludnie w sweter i dżinsowe spodnie. Gdy znalazła się bliżej, zauważyła wyglądający spod swetra kołnierzyk flanelowej koszuli w kratę.

– Dzień dobry – powiedziała jeszcze raz, bo wciąż stali naprzeciwko siebie. Gospodarz nie odsunął się z przejścia.

– Nie wstydzisz się pani ani nie boi starego ubeka? – Grymas na jego ustach trudno było nazwać uśmiechem, lecz chyba miał nim być.

Ciarki przeszły jej po plecach, ale zmierzyła go wzrokiem, przypominając sobie, że zna sztuki walki i chyba jeszcze wszystkiego nie zapomniała, a mężczyzna nie wygląda na osiłka, a przy tym jest od niej znacznie starszy.

– Nie jestem wstydliva ani strachliwa – odparła pewnym siebie głosem. – Mam do pana kilka pytań.

Po raz kolejny ten grymas, skrzywienie warg.

– Tak myślałem, że Stefańska musi taka być. Inaczej bym tu pani nie zapraszał. Chce pani wejść?

– Jeśli mnie pan wpuści...

Odsunął się bez słowa. Weszła do wąskiego przedpokoju. Gdy zamknął drzwi, zrobiło się prawie ciemno, ale od razu zapalił światło. Było w nim czysto i niemal pusto, nie licząc wieszaka na ubrania.

– Na wprost – oznajmił. – Tam jest kuchnia. Na pokoje nie proszę. Od dawna nie przyjmuję gości.

Zaprowadził ją do jasnego pomieszczenia urządzonego funkcjonalnie. Tutaj też było czysto i schludnie, ascetycznie: tylko kuchenka elektryczna, lśniąca blaty, pod oknem stolik bez serwetki i dwa krzesła. Na stoliku wyłączony laptop. Popielniczka, w niej kilka petów. W powietrzu unosił się zapach papierosowego dymu.

– Proszę siadać. Co pani podać? Kawy? Wódki?

– Kawy. – Zobaczyła nowoczesny ekspres, stąd jej decyzja.

– Czarnej?

– Tak.

Po chwili kuchnię wypełnił zapach espresso. Zerknęła przez okno, skąd było widać fragment ulicy.

– Zatem z czym pani do mnie przyszła? – Drgnęła, gdy postawił przed nią parującą filiżankę. Surową, kamionkową, bez ozdób. – Jeśli chodzi o tę Żelazną, to ja jej nie zabiłem ani nic na ten temat nie wiem. Co, zaskoczona? – zarechotał. – Czytuję pani gazetę. Muszę przyznać, że umie pani pisać.

– Dziękuję – uśmiechnęła się do niego, próbując się odprężyć. – To mój zawód. Właśnie o tym chciałem z panem rozmawiać. Pracuję nad sprawą Żelaznej. Domyślam się, że pan jej nie zabił, bo po co to panu, ktoś to jednak zrobił. Myślę, że może mi pan pomóc, coś doradzić.

– Chcesz być lepsza od glin, co, dziewczyno? – Przymknął oko.

– No, powiedzmy – postanowiła nie zaprzeczać, iść za tokiem jego myślenia. Miała wrażenie, że sam ją prowadzi.

– To się chwali. Choć pani poprzedniczka marnie skończyła z tego samego powodu, nie myślę się? Obiło mi się o uszy, że wylądowała w szpitalu?

– Zagadza się. I właśnie dlatego chcę tę sprawę wyjaśnić – odparła poważnie, patrząc mu prosto w oczy.

Zamrugnął.

– Dobrze. – Usiadł na drugim krześle. – Niech pani już zada te swoje pytania. Nie mam aż tyle czasu.

– Pracuje pan? – Tym razem nie próbowała włączyć dyktafonu ani nawet zapytać o pozwolenie.

– Nie każdy emeryt zbija bąki, proszę szanownej pani. Ja na przykład spisuję wspomnienia. Choć nie każdemu będą one w smak.

– Chce pan wsadzić kij w mrowisko?

– A czemu nie? Chcę.

– W sumie racja, przepraszam za dygresję. Czy pan kojarzy tych ludzi? Sylwię Żelazną, jej męża Aleksandra, małżeństwo lokalnych biznesmenów?

Zgorzel wyjął z kieszeni pomietą paczkę papierosów, poczęstował ją i sam zapalił. Chwilę odczekał, puszczając kółka z dymu.

– A kto ich nie kojarzy – odparł. – Osobistości z pierwszych stron tabloidów. On swego czasu król półświatka. I jak król zginął, bo oni się przecież wiecznie mordowali, ci królowie. Ale skarbiec pozostawił pełen, więc królowa przejęła rządy. Dopóki sama nie straciła głowy. Taka historyjka.

– Tyle to i ja wiem.

– I w zasadzie po co wam wiedzieć więcej? Takich bajeczek w tym kraju pełno. Zwykle tak samo się zaczynają i tak samo kończą. Powiem pani szczerze – zaperzył się lekko. – Gówna nie ma co ruszać, bo zaczyna śmierdzieć. A tam samo gówno, tyle że złote.

– Myśli pan, że chodzi o pieniądze?

Zaśmiał się gorzko.

– Zawsze chodzi o pieniądze, proszę pani. One stoją za wszystkim.

– W tej rodzinie, królewskiej, jak pan mówi, byli jeszcze królowa i królewicz.

– No i gdzie są? – Rozłożył ręce. – Nie ma następców tronu. Królowa, o ile mi wiadomo, miała wypadek na polowaniu, a po królewiczu ślad zaginął.

– Uciekł do innej bajki.

– Widocznie w tej był bez szans.

– Z tego, co twierdzi, nie chciał mieć nic wspólnego z tym... gównem – podchwyciła Felicja. – Obwiniał matkę o śmierć ojca, siostry, zresztą o wszystko. Woli żyć nie jak król, tylko jak normalny człowiek, uczciwie na siebie pracować.

– Trele-morele. Taki szlachetny i nieszczęśliwy? Wierzy pani w to?

– Nie wiem, myślę, że to możliwe. Traumatyczne dzieciństwo. Kompleks matki. Z tego powodu nawet własnej rodziny nie założył...

– Chłopak był homo – przerwał jej tym razem poważnie. – Gejem, jak to się teraz mówi. Tutaj był spalony, królewska rodzinka miała konserwatywne poglądy. Lepsza była córka narkomanka niż syn kochający inaczej.

– Czyli mam szukać tam, gdzie pieniądze? To jedyny trop? – Nie dała po sobie poznać, że nic nie wiedziała o preferencjach seksualnych Patryka Żelaznego.

– To by było za proste. Ale warto rozpocząć u źródeł.

– Czyli od śmierci Żelaznego? Od jego majątku?

– Wtedy się wszystko zaczęło. – Pokiwał głową. – Po nitce do kłębka.

– Pan wie, kto zabił Sylwię Żelazną? Bo co do śmierci jej męża, można się domyślać, miał powiązania z ówczesną mafią, prawda?

Zgorzel zdusił w popielniczce niedopałek.

– Nie mam pojęcia, kto zabił ją ani jego. Nie interesowało mnie to. Nie oni pierwsi i nie jedyni. Ale znam zasadę. Od niego się zaczęło. I jeszcze coś pani powiem. Jego nie zabiła mafia, bo wtedy bym wiedział.

– Więc kto? Faktycznie żona?

– To by mnie akurat nie zdziwiło. Zapewne miała krew niejednego na rękach, lady Makbet dla nowobogackich.

– I ktoś go pomścił po latach?

Spojrzał na nią jak na kretynkę.

– Pani tak serio? – zarechotał.

– Dlaczego nie? Takie rzeczy się zdarzają. Może syn?

– Jeśli ktokolwiek, to tylko on – przyznał. – Ale raczej nie w tej bajce. To nie jest bajka dla dzieci.

– Więc mam iść za... skarbem?

– Szukać sukcesorów. – Włożył do ust następnego papierosa. – Takie jest moje zdanie. W ich świecie tylko interesy się liczą.

Oboje zamilkli. Zgorzel, nie pytając, ponownie włączył ekspres, Felicja obserwowała jego zwinne, niemal kocie ruchy. Był drapieżnikiem, to pewne. Gdy przyniósł do stolika świeżo napełnione filiżanki, zapytała:

– Czy to prawda, że w starej papierni palono po roku osiemdziesiątym dziewiątym archiwa SB?

Spojrzał na nią wzrokiem bez wyrazu.

– Prawda – przyznał bez oporu. – Niszczono je wówczas hurtowo, to były tony materiału, a w papierni było najprościej. Wtedy jeszcze należała do państwa, od lat z niej korzystaliśmy.

– Podobno przy okazji puszczano tam z dymem różne używki, narkotyki, na przykład marihuanę?

Roześmiał się.

– Tego to raczej nie niszczono! Chyba że oficjalnie. – Mrugnął.

– No jasne. Skąd pochodziła? Z konfiskat?

– A skąd? Pani dziennikarko, mówilem już, że tym światem rządzi interes. Biznes. Pieniądz. Zawsze tak było, jest i będzie, dopóki ludzkość nie wymrze.

Nie skomentowała tego.

– Czy za czasów, kiedy papiernia należała już do Żelaznego, dalej się to działo? – zapytała.

Zgorzel wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam już takich szczegółów. Być może sporadycznie. Nas oficjalnie rozwiązano w dziewięćdziesiątym roku, ale potem trwała tak zwana weryfikacja, a archiwa niszczone chyba aż do dziewięćdziesiątego drugiego czy nawet trzeciego. Żelazny to był swój człowiek, miał niejedno za uszami. Więc jeśli pomagał, rozumie pani, to nie tylko dlatego, że ktoś to na nim wymusił.

Felicja również zapaliła.

– Niech mi pan powie, jak to jest... Oplaciło się to panu? – zaryzykowała, uznając, że skoro pisze wspomnienia, to może ma potrzebę, by się wygadać.

– Ale co?

– Praca w tej instytucji, służba reżimowi?

Uważnie przyglądała się jego twarzy. Choć usiłował kryć się za kamiennym obliczem, coś w nim drgnęło.

– Dobrze, powiem pani szczerze. Było, minęło, nie ma sensu udawać. Ja za swoje już zapłaciłem, i to wysoką cenę. Wciąż jestem wykluczony ze społeczeństwa. Odebrali mi nie tylko emeryturę, ale także honor. Fakt, sam nie wiem, czy go miałem. Do pewnego momentu wierzyłem w tamten system, potem już tylko chroniłem dupę i próbowałem się urządzić. W myśl cynicznej zasady, że światem rządzi pieniądz. A on jest zwykle tam, gdzie władza. Nie jestem niewiniątkiem. Myśli pani, że ci obecni są? Niby czym się od nas różnią poza tym, że komu innemu służą?

– Nie mnie oceniać – odparła. – Ale co innego służba w wolnym niepodległym państwie, a co innego...

– W wolnym państwie? – zachichotał. – A czym jest ta pani wolność? Naprawdę czujecie się wolnymi ludźmi? Świat się nie zmienia, tylko ludzie, którzy nim rządzą i czerpią z tego zyski. Dlatego teraz macie wojnę za wschodnią granicą, która może być tylko zapłonem. Reszta to polityczna propaganda. – Zakończył, uciekając wzrokiem.

– Tak, wiem, że historia lubi się powtarzać, a ludzkość niczego się z niej nie uczy. Od tysięcy lat. Nie przewidzieliście wtedy, że to się tak skończy?

– Przewidywaliśmy – odparł. – W pewnym momencie było jasne, że tamto runie. Trzeba było myśleć, jak się ustawić w nowej rzeczywistości.

– I jak pan się ustawił?

Ponownie wzruszył ramionami.

– Cóż, jako oficer nie zostałem pozytywnie zweryfikowany. Nie mam wyrzutów sumienia, uprzedzam pytanie. Nikomu krzywdy nie wyrządziłem, za moich czasów byliśmy tylko urzędnikami. Jeśli coś się działo, morderstwa, porwania, tortury, to nie uczestniczyli w tym tacy jak ja. Od brudnej roboty zawsze i wszędzie są specjalni ludzie. Teraz, proszę pani, jest dokładnie tak samo. Tych ludzi nikt nie zna, my też nie znaliśmy. Zmianę systemu powitałem z nową nadzieją. O dalszej służbie nie mogłem już marzyć, ale stanąłem na własnych nogach, założyłem firmę.

– Jaką?

– Agencję pracy dla pracowników ochrony.

– Nadal ją pan prowadzi?

– Nie, już od paru lat jestem na emeryturze. Żałuję, bo żeby teraz z niej przeżyć, muszę dorabiać.

– W jaki sposób?

– Hodowla pieczarek. Czasem myślę, czyby nie reaktywować agencji. Ale nie wiem, czy to miałoby sens. Wtedy nieźle znałem ludzi, środowisko, teraz już nie, wypadłem z obiegu. A lubię wiedzieć, kogo zatrudniam.

Nagle Stefańską oślnię.

– Panie Marianie, nie wiem, jak sformułować pytanie, więc zapytam wprost...

– Tak będzie najlepiej – podchwycił. – Choć potrafię czytać pomiędzy wierszami – dodał ironicznie, a na jego ustach znów pojawił się charakterystyczny, sztuczny, nieprzyjemny uśmiešek.

– Czy może pan zatrudniał ochroniarzy dla Sylwii Żelaznej? To było kilka lat temu. Ona z nich z jakiegoś powodu zrezygnowała, zwolniła tych ludzi, wołała polegać na nowoczesnych systemach zabezpieczeń, co nie wyszło jej na dobre. Ci zwolnieni ochroniarze podobno mają o to do niej żal. Teraz pracują w supermarketach, tam raczej gorzej zarabiają. Mógłby pan sobie przypomnieć?

Zgorzel podrapał się w brodę.

– Nie przypominam sobie, żebym obsługiwał tę damę w swojej agencji, ale jeszcze sprawdzę. Może nie ona osobiście się ze mną kontaktowała, tylko ktoś w jej imieniu. Ale na to potrzebuję trochę czasu, skontaktuję się z panią.

– Dziękuję. Proszę zapisać numer telefonu...

– Nie trzeba. Znajdę. Dobrze pani kombinuje. – Pokiwał głową z aprobatą. – Wiem, co mówię. Ochroniarze z tych sfer, zwłaszcza z dawniejszych lat, to skurwysyny trudniące się na boku gangsterką. Wielu z nich zaszło nawet wysoko w tej hierarchii. A na pewno mają dostęp do informacji z bandyckiego świata. Ale ja takich nikomu nie podsuwałem, od razu zastrzegam.

– A ochroniarze w Budomaxie? – przypomniała sobie. – Nie wie pan? Bo tam na pewno zatrudniają ochronę.

– Z pewnością. Ale to już inne progi. Nie dla mnie.

– A mógłby pan?

– Dowiem się – obiecał.

Zerknęła na wyświetlacz na swoim smartfonie i się poderwała. Ujrzała na nim kilka nieodebranych połączeń. Telefon miała wyciszony na czas rozmowy.

– Będę wdzięczna – odparła, narzucając w pośpiechu kurtkę. – Muszę lecieć, strasznie się zasiedzia-łam! Przepraszam! Miała po mnie podjechać przyjaciółka...

– Greta Pazik?

Felicja znieruchomiła.

– Nie pytam, skąd pan wie. Zna pan Gretę?

– Poza tym, że jest teraz wójtem gminy? – Puścił do niej oko. – Charakterna dziewczyna, robi karierę, choć jest czysta. Cud w tym kraju. Pamiętam ją z lepszych czasów. Zawsze taka była. Ideowa. Ale tatę miała partyjniaka. Spierali się o to. Proszę ją ode mnie pozdrowić!

Maszerując na parking, prawie biegnąc, usiłowała po drodze dodzwonić się do Grety, żeby ją uspokoić, ale tym razem to ona nie odbierała. Na szczęście, gdy już znalazła się w pobliżu szosy, dostrzegła na parkingu jej samochód. Szybko przeszła na drugą stronę i po chwili prawie zderzyła się z przyjaciółką.

– Dlaczego nie odbierasz telefonu?! – krzyknęły równocześnie.

Greta, zdezorientowana, sięgnęła do kieszeni.

– Zostawiłam go w aucie, a ty?

– Wyciszyłam, cholera. Strasznie szybko zleciał mi tam czas.

– Dobra, wsiadajmy do środka, ludzie się gapią – zakomenderowała Pazikowa, zamaszystym krokiem zawracając w stronę samochodu. – Felicja pomaszzerowała za nią potulnie. – Matko, jak ja się zde-

nerwowałam! – westchnęła Greta, kiedy już wsiadły. – Zapalmy, tylko otworzę okna. Czekałam i czekałam. Zrobiłam zakupy, nawet obejrzałam sadzonki u ogrodnika. W końcu zaczęłam wydzwaniać. Spanikowałam, kiedy nie odbierałaś. Właśnie po ciebie szłam. Już myślałam, że cię zatłukł i zakopał. Rozumiem, że rozmowa była owocna?

– Była... bardzo ciekawa. Sporo mi wyjaśniła, a może raczej naświetliła. Muszę to sobie wszystko ułożyć w głowie i jak najszybciej spisać. Nie nagrywałam ani nie notowałam.

– I jaki on jest? Bardzo straszny?

– Jest straszny. – Felicja strząsnęła popiół do popielniczki. – Cholernie dziwny. Antypatyczny, miał rację. Ale jest w nim coś, czego nie potrafię nazwać. Szczerść połączona z goryczą? Wiem, że brzmi to śmiesznie. Facet przegrał życie, został wykluczony. Choć ci, którzy bardziej zawinili, zrobili kariery. On ma łeb na karku. Po raz pierwszy rozmawiałam z esbekiem. Inaczej to sobie wyobrażałam...

– Właśnie widzę, że niezłe cię ta wizyta poruszyła. – W tonie Pazikowej dało się słyszeć nutę ironii.

– On ciebie pamięta z dawnych lat. Pozytywnie się o tobie wyrażał, chyba nawet cię na swój sposób podziwiał.

Greta obróciła się i spojrzała na nią zaszokowana.

– On o mnie?! Mówiłam ci, że mnie nachodził?! A wcześniej mojego ojca? To był ubek, Felicja! Nie daj się zwieść.

– Myślę, że od tamtego czasu wiele się zmieniło. Aha, on pisze wspomnienia, chce je wydać.

– O mnie niech lepiej nie pisze. Bo mu wytoczę proces – odparła Greta twardo.

Dziennikarka zdusiła niedopałek i zapięła pas.

– Przypadkiem, a może celowo, nie wiem, bo z nim chyba nigdy nie wiadomo, podsunął mi pewien pomysł – powiedziała.

– Choć tyle dobrze. Mam nadzieję, że z sensem. Opowiesz mi wszystko?

– Opowiem, tylko muszę to sobie przemyśleć.

– Jedziemy? – Greta zgasiła papierosa i gdy Felicja kiwnęła głową, włączyła silnik. Wyjechały z parkingu.

\*\*\*

– Dobrze, nie będę się w to mieszać, nawet nie mam takiej możliwości, ale sprawdzicie tych ochro-niarzy od Żelaznej? – Felicja nie zamierzała odpuszczać, zdecydowana kuć żelazo, póki gorące.

Palczyński pokręcił głową z uśmiechem. Siedzieli w kamperze zaparkowanym w ogrodzie, przy zasuniętych zasłonach. Na zewnątrz zapadł zmierzch. Wieczór był ciepły, wiosenny, obok gotowała się woda na herbatę.

– Kochanie – rzekł miękko – oni już dawno zostali sprawdzeni. To pionki. Nie ten gatunek, o którym opowiadał Zgorzel. Inne pokolenie. Po pierwsze, są nienotowani, nie mają powiązań z półświatkiem. Nie mieszkają na tym terenie. Nie dorobili się, przeciwnie: cienko przędą. Odkąd ich Żelazna zwolniła, pracują dorywczo, gdzie popadnie. Nigdzie kariery nie zrobili, nawet wśród żuli. Ślepy trop.

– Jesteś pewien?

– Jestem. Wszystkie osoby powiązane z Sylwią Żelazną dokładnie prześwietliliśmy.

– Cholera...

– Zaciekawiło mnie natomiast to, co ci mówił o Patryku Żelaznym. Nigdzie nie trafiliśmy na informację, że jest gejem. Choć to w dalszym ciągu żaden argument, który miałyby świadczyć o jego niewinności. Mógł stać za napadem na matkę. Nawet jeśli jej osobiście nie zabił, nadal nic tej hipotezy nie obala.

Felicja westchnęła.

– Pewnie, że nie. Nikt tak nie twierdzi. Zgorzel sugerował, że za tym napadem kryje się kasa, tylko tyle. Choć mam wrażenie, że zafiksowaliście się na młodym Żelaznym. Nic na niego nie wskazuje. Gdyby chciał tych pieniędzy, miałby je legalnie.

– Nawet gdyby matka żyła?

– Oczywiście! Ozłociłaby go, jeśliby tylko zechciał wrócić. Poza tym przecież dziedziczy po ojcu!

– Nie wiem. Może masz rację. – Wzruszył ramionami. – A może nie. Pamiętaj, że sprawy spadkowe nie zostały ostatecznie zamknięte. Tak czy siak, wszystko będziemy od nowa sprawdzać.

– No to super. Przy okazji zainteresujcie się też ochroną firmy, komu podlega i tak dalej. To państwo w państwie, więc może jednak wszystko sprowadza się do interesów? Tak sądzi Greta. A wiesz, że ona zna się na biznesach.

– Dziewczyny, może byście dały wreszcie popracować policji, co? – Pałka stracił cierpliwość.

– Przecież tylko głośno myślę. No i ja bym nie olewała sprawy Żelaznego. Czas nie gra roli, kiedy chodzi o majątek. Duży majątek. Chyba dobrze o tym wiesz. A co z Kaśką? Z tym nagraniem?

– Mamy już zgodę lekarzy, nagranie pokażemy jej na dniach. Ale nie łudź się za bardzo, tam naprawdę niewiele widać. Woda się zagotowała, zaleję herbatę...

Wypili herbatę, coś zjedli. Poszli na długi spacer z Bury. Nie dyskutowali po drodze, raczej milczeli. Noc była na to zbyt piękna. Później Felicja zaprowadziła psa na górę i wróciła do kampera. Kochali się długo, z czułością, obserwując na szybach samochodu – jak na ekranach – ruchome cienie drzew.

Poszła do siebie, gdy już się rozwidniało. Cicho, ostrożnie, na palcach, by nie obudzić gospodarzy.

\*\*\*

Następnego dnia raniem napisała maila do swojej redaktorki prowadzącej z amerykańskiej gazety, Mary Williams, wiedząc, że jest również specjalistką od tak zwanego białego wywiadu, z prośbą, by się dowiedziała wszystkiego, co możliwe, na temat Patryka Żelaznego, jego firmy, życia prywatnego, towarzyskiego, zainteresowań, sposobów spędzania czasu wolnego – jednym słowem całokształtu. Lubiła mieć uporządkowaną wiedzę, by móc zamknąć wątek. Była gotowa nawet za ten wywiad zapłacić. Mary nie zadawała pytań, nie chciała też gaży. Zadeklarowała, że zrobi to dla niej w ramach przysługi koleżeńskej. W zamian wymogła na Felicji obietnicę, że coś dla nich kiedyś jeszcze napisze. Stefańska zgodziła się, nie miała innego wyjścia. Ostatecznie to sprawa przyszłości, później będzie się martwić. Podziękowała Mary, czekając na wyniki jej badań. Nie trwało to długo. Nadeszły trzy dni później i były lapidarne

*Patryk Żelazny, wiek 32 lata, nieżonaty, ukończył studia ekonomiczne w Waszyngtonie, zaczynał od pracy sprzedawcy w salonach sprzedaży samochodów popularnych marek, następnie w czerwcu 2016 roku stworzył wypożyczalnię samochodów w Seattle. Firmę od początku prowadzi ze współnikiem Maxem Smithem, wiek 29 lat, nieżonaty. Prosperują dobrze, zatrudniają troje pracowników (księgowego, sekretarkę i sprzedawcę), spłacają kredyt, poza tym żadnych zadłużeń, opinie klientów dobre. Mieszka w podmiejskiej dzielnicy, w domu szeregowym, samotnie, lubiany przez sąsiadów. Ma dwa koty. Regularnie odwiedza go tylko współnik. Ma opinię spokojnego, krąg towarzyski wąski, zainteresowania: muzyka techno, lunaparki i rajdy samochodowe. Dzieli je od lat z Maxem Smithem. Obaj często spożywają posiłki w jadłodajniach typu fast food, preferują kuchnię azjatycką. Nie ma dowodów, że są parą, jednak jest to prawdopodobne, ponieważ Max Smith już wcześniej mieszkał z partnerem.*

*Nic więcej nie udało mi się wyciągnąć. Wyjątkowo nudny młody człowiek! ;-)* – dodała Mary w mailu.

– Nie wiedziałas o tym? – zapytała Felicja, gdy spotkały się z Gretą na popołudniowej kawie w ulubionej (bo już jedynej): małe biznesy po kolei upadały, wypierane z lokalnego rynku przez wielkie sieci handlowe) cukierni. Często spędzały tam wspólnie czas, wykorzystując przerwy w pracy.

– O czym?

– Nie udawaj, że nie kapujesz, o co pytam. O tym, że młody Żelazny to najprawdopodobniej gej – uściśliła dziennikarka.

Greta wzruszyła ramionami, jak zwykle roztaczając wokół aurę pewności siebie, energii i władzy. Felicja czasem się zastanawiała, czy kryje się za tym jej urok osobisty i charakter, czy może raczej dyskretne markowe perfumy, świetny makijaż albo stonowany pastelowy kostium, który nosiła z gracją. Obserwując przyjaciółkę, dochodziła jednak do wniosku, że dopiero wszystkie te elementy razem wzięte decydowały o niepowtarzalności Grety Pazik i jej nieustającym powodzeniu wśród mieszkańców gminy.

– Nie miałam o tym pojęcia! – stwierdziła teraz polityczka, racząc się cappuccino, do którego jak zwykle zamówiła kawałek torcika mascarpone. Felicja wzięła klasyczne espresso, z ciasta zrezygnowała. Nie przepadała za słodyczkami. – Wy na serio myślicie, że to ważne? Co kogo obchodzi...

– Wyluzuj, nie chodzi mi o żadne ideologiczne pierdoły! Pewnie, że to nikogo nie powinno obchodzić – przerwała jej. – Sęk w tym, że najwyraźniej obchodziło to madame Żelazną. Która może nie była wzorcem moralności, ale podobno stała murem na straży katolickich wartości. – Zaśmiała się sarkastycznie. – Jak to zwykle bywa. Można się domyślać, że właśnie hipokryzja wpłynęła na relacje syna i mamuski. Pewnie wstydziła się swojego dzieciaka, popsuły jej wizerunek. Ale młody wywlekał brak

rodziny jako argument, że niby wszystko przez matkę, trauma, niechęć do wiązania się i tak dalej, no rozumiesz. I że z tego też powodu olał rodzinną firmę. Tymczasem to wszystko ma drugie dno. Nie twierdzą, że ta kwestia ma znaczenie, ale może mieć. Dziwię się, że w tej waszej uroczej pipidówce, gdzie plotkują nawet wróble na dachach, o tym akurat nikt tu nie słyszał.

– Widocznie dobrze to ukrywali. – Greta ponownie wruszyła ramionami. – Wiesz, to były trochę inne czasy. Wtedy nikt o takich rzeczach otwarcie nie mówił, ludzie się tajniaczyli. Orientacja seksualna była tematem tabu.

– No właśnie. I o to mi chodzi.

– Nie tobie, przyznaj, tylko Zgorzelowi. To ten ubek podsunął ci ten pomysł, przecież wiem, bo sama mówiłaś.

Felicja lyknęła kawy. Nie była zbyt dobra, ale przynajmniej mocna. I gorąca, a znów się ochłodziło.

– Nie zamierzam zaprzeczać. Nie lekceważ ubeka, bo facet nie jest głupi – odparła. – Ma nosa do takich spraw.

– Cóż, lata praktyki! – Pazikowa parsknęła szyderczo.

– Greta, co ty miałaś za sprawy z tym Zgorzelem? O co chodziło? Możesz mi powiedzieć? – Felicja wreszcie zebrała się na odwagę, by zahaczyć o ten temat. Nurtował ją, bo nie słyszała o żadnych relacjach przyjaciółki ze służbą bezpieczeństwa, przynajmniej nie o osobistych.

Pani wójt zamilkła. Nie wydawała się zachwycona tematem, ale również nieobrażona czy spłoszona. Zamyśliła się, grzebiąc widelczykiem w ciastku.

– Nie lubię do tego wracać – odezwała się w końcu, oglądając się na ekspedientkę za ladą cukierni i ścisząc znacząco głos. – Ale to nie jest żadna wielka tajemnica. Dawne dzieje. Wtedy Kryszewo było zwykłą wiochą, za czasów Peerelu mocno podupadło, choć po transformacji zaczynało odzyskiwać dawną rolę zaplecza Gdańska. Jednak na prowincji wszystko trwało jakby trochę dłużej. Komuna też. No i esbecy mieli tu tę swoją... spalarnię. Papiernię. A ludzie ciągle trzęśli przed nimi portkami.

– No dobrze, to rozumiem. Ale jaką rolę odegrał ten cały Zgorzel? I co ty konkretnie miałaś do tego?

– Dobra. – Greta lekko się skrzywiła. – Opowiem ci, cholera, bo jak cię znam, to i tak nie dasz mi spokoju.

– Masz rację. Nie dam. – Felicja uśmiechnęła się rozbrajająco.

– Ale wyjdźmy stąd, bo wiesz, ściany mają uszy, a ja nie za bardzo mam ochotę dzielić się tą historią. Rodzinną, jak by nie było. Opowiem po drodze. Tylko zapłacę.

– Zaczekaj, znajdę portfel...

– Schowaj tę sakiewkę! – roześmiała się Pazikowa. – Twoja czarna kawa to zwykły pryszcz przy moim pysznym torciku. Następnym razem zabalisz.

Gdy Greta podeszła do lady, by uregulować należność, Stefańska narzuciła na siebie kurtkę. Pożegnały się i wyszły.

– Pójdźmy dołem, wzdłuż brzegu jeziora, tam będziemy mogły sobie spokojnie zapalić – zaproponowała pani wójt.

Nad jeziorem mocniej wiało, co potęgowało odczuwanie chłodu. „Kiepski ten maj”, pomyślała Felicja. W ogóle kiepski rok. Pachniało świeżo od wody, deptak był pusty, nawet wędkarzy tym razem nie było widać. Z pobliskich willi dochodziło poszczekiwanie psów pomieszane z dziecięcymi głosami, a nad tafli jeziora niosły się okrzyki wodnego ptactwa.

– Pięknie tu. Za każdym razem te widoki mnie zachwycają.

– No bo nasza gmina w ogóle jest piękna – pospieszyła Greta ze swoim hasłem, choć dobrze wiedziała, że przyjaciółka będzie się z niej bezlitośnie nabijać.

Tym razem jednak Felicja puściła to mimo uszu.

– Więc jak było z tym Zgorzelem? – przeszła do rzeczy.

Greta westchnęła ciężko i zapaliła cienkiego papierosa.

– Wiesz, że mój ojciec był partyjny? – zaczęła niechętnie. – Pewnie, że wiesz. I że przez wiele lat zarządzał miejscowymi państwowymi gospodarstwami rolnymi, czyli krótko mówiąc pegeerami? Też wiesz. Wspominam o tym, bo wszystko zaczęło się od ojca. Choć niby był „swój”, jednak nie tak do końca. Tata miał charakter, temperament, a tutaj czuł się jak pan i władca na włościach, ludzie go szanowali i lubili, stali za nim murem. Podobno mam to po nim, też wzbudzam pozytywne emocje. Możliwe, że podsłakiwał partyjnym szychom, w każdym razie bezpieka interesowała się nim od zawsze. Zresztą wtedy każdy na stanowisku budził ich czujność. Ale to jeszcze było raczej normalne. Gorzej zaczęło się wtedy, kiedy... mówiłam ci o tym, kiedy gospodarstwo zaczęło podupadać. Skandale, kryzysy, to wszystko sprawiło, że zaczynało być nierentowne, przynosiło więcej strat niż zysków, ojciec się rozpił. Wkrótce potem nadeszły nowe czasy, doszło do zmian ustrojowych i w końcu nasz pegeer postano-



wiono zamknąć. Tata przed śmiercią niestety był już alkoholikiem, choć nadal strugał wielkie panisko. To wtedy uczył się go ten Zgorzel. Dosłownie prześladował go, pamiętam liczne awantury. Nie mam pojęcia, o co konkretnie chodziło. Być może bali się, że ojciec po pijanemu coś gdzieś chłapnie, bo wiedzę z pewnością miał. Nie interesowałam się tym wtedy. Prawdę mówiąc, wstydziłam się własnego ojca. Wiem, że to dość paskudnie brzmi, ale byłam młoda, popierałam reformy, chciałam inaczej żyć. W tamtym czasie zresztą borykałam się z pierwszym poronionym małżeństwem, od tego razem ze współniczką zakładałam firmę kosmetyczną. Dopiero ten tajemniczy wypadek ojca otworzył mi oczy, choć jeszcze się nie domyślałam, że to bardziej złożona historia. Po jego śmierci Zgorzel przestał nas nachodzić. Obie z matką odetchnęłyśmy z ulgą, zamknęłyśmy pewien rozdział naszego życia. Ale te spokojnie nie potrwał zbyt długo... – westchnęła. – Może z rok czy dwa lata później, kiedy już miałam firmę, wielkie plany i marzenia, uczestniczyłam razem ze współniczką w pewnym spotkaniu biznesowym, wiesz, takim snobistycznym: salony, wysokie progi, złote klamki, Dom Perignon rocznik jakiś tam, ważni ludzie. Impreza odbywała się w luksusowym hotelu nad jeziorem, dziś już nieistniejącym, niedaleko Kryszewa. Gospodarze wynajęli na ten cel cały obiekt razem z obsługą! Takie były czasy. To było moje pierwsze spotkanie tej rangi i widziałam w nim swoją szansę. Mogłam poznać ludzi z branży, no i sama dać się poznać. Nieważne... – Greta zdusiła niedopałek w piachu i zakopała go starannie. – Na początku byłam trochę spięta, ale współniczka wprowadziła mnie i po jakimś czasie poczułam się swobodniej, nawet zaczęłam się dobrze bawić. I nagle go zobaczyłam. To był Zgorzel. Wśród tych wszystkich ważnych biznesmenów, rozumiesz? On już wtedy miał agencję ochrony, dlatego się tam znalazł, jako jej właściciel, a jego ludzie zabezpieczali imprezę. Ale przecież wszyscy i tak dobrze wiedzieli, kim jest, znali jego przeszłość. Nie traktowano go tam jak swego, raczej był izolowany, jednak kręcił się, słuchał, obserwował. Kiedy mnie rozpoznał, wyraźnie się rozpromienił i oczywiście podszedł, witając się ze mną wylewnie, jak ze starą znajomą. Obejmował mnie, zwracał się do mnie po imieniu. Na oczach wszystkich tych gości, widziałam ich zbulwersowane miny. A mnie tymczasem robiło się słabo, bo pamiętałam go jeszcze z czasów licealnych czy studenckich, kiedy nachodził nasz dom z urzędu, urządził przeszukiwanie, groził ojcu albo go szantażował. Gdy zaczął mnie tam ostentacyjnie adorować, ucieklam. Po prostu związałam z imprezy, ulotniłam się po angielsku, nic nikomu nie mówiąc. Wspólnicze wspomniałam tylko, że idę na chwilę do toalety, a potem przekazałam jej przez kelnera wiadomość, że źle się poczułam i wracam do domu. Rzeczywiście poszłam do kibla, bo tam on za mną nie laź. I stamtąd od razu do samochodu. Pamiętam, że jechałam z duszą na ramieniu, bo już zdążyłam trochę wypić. Wiedziałam, że w środowisku będę skończona. No i tak było. Od tamtej pory zaczęłam mnie nachodzić, w firmie, w domu...

– Czego od ciebie chciał? – wtrąciła z zaciekawieniem Stefańska, gdy Greta zawiesiła na chwilę głos.

– W sumie to sama nie wiem. – Pazikowa wzruszyła ramionami. – Grał dobrego wujaszka. Wypytywał, doradzał, niby to ostrzegał, proponował mi darmową ochronę. Tłumaczył się z dawnych lat. Chciał pożyczać pieniądze. Zapraszał na kawę, na wódkę. Podejrzewałam, że ma kontakty z mafią. Bałam się. Gdy go wprost wypraszałam, uśmiechał się tylko szyderczo i wychodził. Potem wracał. I tak cały czas. Na jego widok trzęsły mi się nogi, wpadłam w nerwicę. Zachowywał się jak klasyczny stalker, choć wtedy jeszcze nie znało się nawet tego pojęcia. Później, gdy moja współniczka zginęła, została zastrzelona, wiązałam go z tym atakiem. Nie to, że w tym tkwił, ale chyba coś wiedział. Tak czuję. No i cóż... moje marzenia o biznesie upadły. Zlikwidowałam firmę. Wszystko się skończyło. On też zniknął wtedy z mojego życia. Z czasem zapomniałam o jego istnieniu, dopiero ty mi po latach przypominałaś. Teraz chyba rozumiesz, dlaczego nie chciałam pójść z tobą do niego? – Greta zamilkła i zapaliła kolejnego papierosa.

Przysiadły na ławce.

– Rozumiem, jasne. – Dziennikarka się zamyśliła. – Ale wiesz co, Gretka? Moim zdaniem facet powiedział mi prawdę. On ciebie na serio adorował. Podziwiał cię, szanował. Może chciał cię chronić, bo rzeczywiście coś wiedział. Z tego wszystkiego nie wynika, że źle ci życzył.

– Chcesz powiedzieć, że ze mną flirtował? – Greta parsknęła gorzkim śmiechem. – Masz rację, ludzie zaczęli plotkować, że mam z nim romans. Dla mnie to była katastrofa. Na szczęście szybko się skończyło i zapomnieli. Uwierz mi, wolałabym, żeby im pamięć nie wróciła, zwłaszcza teraz, gdy jestem w polityce...

– Tak à propos pamięci – odezwała się Felicja po chwili milczenia. – Co u Kaśki? Byłaś u niej? Bo przez to wszystko straciłam z nią kontakt, a jej telefon nie odpowiadał. Wiem tylko tyle, że na dniach kryminalni chcą jej zademonstrować nagranie z kamery.

– To nie wiesz, że ona już nie jest w szpitalu?!

– Nie. – Stefańska się zawstydziła. – A gdzie? W domu?

– Nie, no coś ty. W domu mogłoby jej coś zagrażać, poza tym cały czas jest rehabilitowana. Umieścili ją w specjalnym ośrodku, czymś w rodzaju sanatorium. Nawet nie można jej tam odwiedzać, tylko najbliżsi. Powoli podobno już wraca jej pamięć, ale opornie. To długi proces, może potrwać miesiące, czasem nawet lata. Podam ci nowy numer jej komórki, bo zmienili go dla bezpieczeństwa, pewnie dlatego nie mogłaś się do niej dodzwonić.

– Matko jedyna, ale chyba nie będą jej tam trzymać latami! – Felicja dramatycznym gestem złapała się za głowę.

Greta pokręciła głową z miną wyrażającą pobłażanie.

– Wariatka – odparła. – Myślę, że będzie tam do końca rehabilitacji, ale wszystko zależy od jej postępów. Albo do zakończenia śledztwa. Jeśli znajdą sprawców napadu, to nic nie stoi na przeszkodzie, by dojechała na terapię.

\*\*\*

– No cześć, Kaśka! Sorry, że dopiero teraz się odzywam, ale twoja komórka nie odpowiadała. Wiedziałam tylko, że wracasz do żywych, nic więcej.

– Żyję i czuję się zupełnie dobrze, tylko pamięć jeszcze szwankuje, ale spoko. Do przodu. Zmienili mi numer.

– Wiem, przecież dzwonię na nowy, dostałam go od Grety. A ty nie mogłaś do mnie zadzwonić?

– Mogłam, nawet miałam zamiar. Szczęście. Tylko wiesz, ja tu mam wbrew pozorom urwanie głowy. Stale jakieś zajęcia, zabiegi, gadki szmatki, do tego gliny.

– No właśnie, gliny. W tej sprawie dzwonię. Oczywiście poza tym, że chciałam cię wreszcie usłyszeć. Podobno mieli ci pokazać nagranie z kamery. Bo mnie też dopadli, pewnie ci sami gnoje. Tyle że w przeciwieństwie do twojego przypadku tutaj złapała ich kamera osiedlowa.

– Wiem... do ciebie strzelali! Koszmar, Felicja.

– Koszmar, ale i tak u ciebie wyszło gorzej.

– Fakt, całe szczęście, że cię nie postrzelili. Zmroziło mnie, dosłownie. A ten filmik już mi pokazali.

– Serio? Palczyński nic mi nie mówił ani Ryba.

– Bo dopiero dzisiaj.

– A, okej. No i co? Rozpoznałaś ich?

– Kurczę, nie jestem pewna. Trochę mi się przypomniało, więc możliwe, że tak. Ci ode mnie chyba wyglądali podobnie, typowe łyse dresy, ale oni wtedy mignęli mi tylko, bo od razu straciłam przytomność. Dalej do końca nie wiem, co naprawdę pamiętam, a co tylko tworzy się w mojej głowie, wiesz, te obrazy mogą być fałszywe. Wyobraźnia dopowiada różne rzeczy, tak to działa. W którymś momencie kiedy oglądałam te kadry, coś mi nagle zaświtało, ale od razu umknęło. Będę to jeszcze raz oglądać, tak się umawialiśmy z komisarzem, może wtedy przypomnę sobie więcej.

– Oglądaj nawet i sto razy! To ważne.

– Pewnie. Luz. Mogę i dwieście, co mi tam. Hej, słyszałam, że ty i pan komisarz, no wiesz? Że jesteście razem. To prawda?

– Ha, ha. Jednak plotka dotrze nawet do najbardziej strzeżonych miejsc.

– Ale to prawda?!

– Mogłabyś nie rechotać? Prawda.

– To superowo! Bardzo się cieszę! Pasujecie do siebie, wiekiem i w ogóle. Mówiłam o tym pani Grecie. Serio polubiłam tego twojego komisarza, spoko gość. Boże, jak już bym chciała stąd wyjść.

– Daruj sobie aluzje do wieku, dobrze, smarkata? Wyjdziesz.

– Uwijajcie się i złapcie szybciej tych bandytów!

– Dobrze ci gadać.

– Żartuję. Uwważaj na siebie, szefowo. Zadzwonię, jeśli coś mi się przypomni. Ty też dzwoń, mów mi o wszystkim. Mam prawo w tym uczestniczyć. W końcu to ja rozpytałam tę burzę i przeze mnie tu jesteś...

– Nie pochlebiaj sobie. I tak bym wróciła, dopiero teraz to wiem. Choć ty byłaś bezpośrednim bodźcem. Jasne, że będę dzwonić. Ty też, w końcu taka sama droga. Poza tym rehabilituj się i zdrowiej. Do usłyszenia, mała.

\*\*\*

Czas płynął, śledztwo – a w zasadzie oba śledztwa, bo policyjne, zdawałoby się, też – utknęło w martwym punkcie. Felicję to stresowało. Zwykle jej dochodzenia trwały krócej, ale też sprawy były inne, bardziej dynamiczne, niezwiązane z korporacyjnymi konstelacjami, tak jej obcymi, wręcz odpychającymi. Czuła, że nie rozumie mentalności ludzi z tych „sfer”, nie potrafi wczuć się w ich emocje. O ile w ogóle je posiadali, dodawała w myśli. Nawet jeśli ich w jakiś sposób podziwiała, nie potrafiła wykrzesać z siebie choćby cienia sympatii i empatii, identyfikować się z nimi. No bo niby w jaki sposób? Byli jak obcy. Z powodzeniem mogłaby próbować wczuć się w wewnętrzne życie kosmitów, którzy nawet nie wiadomo kim – lub czym – by byli: może żywymi istotami, a może tylko maszynami. W tym przypadku maszynami liczącymi. Liczącymi pieniądze, oczywiście. Nie mogła podarować sobie tej gorzkiej ironii. Pewnie, że nie powinno się generalizować, wiedziała o tym, знаła różne środowiska, ale od lat obserwowała rzeczywistość w kraju, widziała, jak upadają lub niszczone są biznesy porządnym ludzi, a szanse dostawali ludzie z pogranicza światów. Szansę na władzę, karierę, bogactwo... albo na nagłą śmierć, o ile nie umieli zmieścić się w wyznaczonej im roli. W przedziale, jaki został im wskazany przez różne „nieznane siły”. Jeśli chcieli za dużo.

Podziwiała Palczyńskiego, który fachowo, spokojnie, metodycznie robił swoje, nie zważając na odczucia subiektywne. Inaczej pewnie nie byłby gliną. Felicja chyba tak nie potrafiła. Jako dziennikarka miała ten przywilej, choć może to raczej przekleństwo, że mogła, a nawet powinna, ogarnąć całość. Nie tylko suche fakty, również całą otoczkę. Zwykle się sprawdzało. Jej instynkt, intuicję doceniali nawet śledczy. Tym razem jednak miała nieodparte wrażenie, że ugrzęzła na środku pustyni i błędzi rozpaczliwie w poszukiwaniu jakiegokolwiek drogi, gdy tymczasem jedyne, co wokół siebie widzi, to jednostajny martwy pejzaż, suchy piach i od czasu do czasu fatamorganę...

Sytuacja na świecie też nie sprzyjała. Wojny, konflikty, podłość, szaleństwo, nieporozumienia i prowokacje. Ludzkość to jednak głupi gatunek!

Ogólnie rzecz biorąc, znaleźli się w impasie. Zastój trwał i, co gorsza, na nic się nie zanosilo. Nienawidziła tego.

Jednak myliła się, i to bardzo. Zanosilo się. Ale kiedy już zaczęło się dziać, to na całego. Do tego w takim tempie, że o mały włos, a przegapiliby tę bardzo cienką, bardzo nikłą, ledwie uchwytną nić Ariadny, którą rzucił im los.

## CZEŚĆ III

## FELICJA

Od pewnego czasu nie mogłam spać. Być może dlatego, że wiosenna aura mi nie służy, a może z powodu stresu. Moje życie ostatnio trochę się zapętlilo, do tego ta cholerna sprawa, której nijak nie potrafiłiśmy ugryźć. Z tego powodu tamtego dnia wstałam wcześniej rano, niewyspana poszłam z Burym na spacer, potem oboje zjedliśmy śniadanie – sami z psem, bo Pałki już w kamperze nie było, widocznie skoro świt pojechał do roboty. Naprawdę bardzo się starał znaleźć w całym tym bajzlu jakiś konkretny trop. Od mniej więcej tygodnia sypiał w moim vanie tylko od czasu do czasu: przyjeżdżał wieczorami i siedzieliśmy razem do późnej nocy u mnie na poddaszu, a potem albo szedł jeszcze się zdrzemnąć w wozie, albo od razu wracał na komendę. Zależnie od okoliczności.

Więc kiedy Bury chrupał swoje łososiowe ciasteczka, ja pałaszowałam kanapki z humusem, a potem zabrałam się do pracy jak nigdy, wzorcowo: od ósmej rano. Od ponad dwóch godzin przekopywałam się przez gminne wydarzenia, kompletując wiadomości na stronę i do gazety, kiedy zadzwonił telefon. Ten służbowy, odebrałam więc, nawet nie patrząc na wyświetlacz. Początkowo nie rozpoznałam głosu młodej kobiety po drugiej stronie linii, która na wstępie upewniła się, że rozmawia ze mną.

– Tak, tu Stefańska – odparłam. – A pani...

Zazwyczaj jasny szlag mnie trafia, gdy dzwoniący do mnie rozmówca nie raczy się przedstawić.

– Przepraszam, pani Felicjo, ale musiałam wiedzieć, że to pani. Tu Ewa Malinowska. Siostra Kasi. Nie wiem, czy mnie pani pamięta. Poznałyśmy się kiedyś...

– A, tak. Dzień dobry, pani Ewo – odzyskałam czujność. – Oczywiście, że panią pamiętam. Czy dzwoni pani w sprawie Kasi?

Zaniepokoiłam się, że może coś się stało mojej asystentce. Czyżby poczuła się gorzej? Albo...

– Nie, nie, proszę się nie denerwować. Ale tak, w pewnym sensie w sprawie Kaśki – odparła szybko. – Ma pani chwilę?

– Tak, słucham panią, pani Ewo. Proszę mnie nie trzymać w niepewności!

– Bo ja mam taką sprawę... poufną. Najlepiej będzie, jeśli pani to oceni. Mnie się wydaje, że to może być ważne... – Urwała, jakby nie wiedząc, czy mówić dalej, albo próbując znaleźć właściwe słowa.

– Pani Ewo, co się stało? – Spróbowałam ją delikatnie pospieszyć.

– Przepraszam. Nie wiem, od czego zacząć. To znaczy nie wiem, ile pani wie. Ale pani na pewno zna całą tę sprawę?

– Wiem o wszystkim, co się wydarzyło. Kontynuuję przecież to, co Kasia zaczęła. Niech pani po prostu powie, co się stało. O czym chciała mi pani powiedzieć?

– Dobrze. Więc tak. Siostra nadal jest w szpitalu, to znaczy w sanatorium...

– Tak. Wiem.

– Jeszcze nie odzyskała pamięci, choć jest coraz lepiej. Rodzice stale u niej przesiadują, a ja zostałam sama w domu. No i może trochę za dużo myślę. To, co Kaśkę spotkało, nie stało się przypadkiem, jestem pewna. Próbowałam to sobie ułożyć w głowie, ale nie znałam, no, faktów. Ostatnio, żeby się czymś zająć i przestać wiecznie wałkować to wszystko w głowie, zająłam się głupimi rzeczami. To znaczy, może nie głupimi, raczej codziennymi. Wie pani, sprzątaniem i tak dalej. Postanowiłam zrobić pranie, a część rzeczy zanieść do pralni. No i kiedy szukałam tych rzeczy, znalazłam na wieszaku zimowy płaszcz Kaśki, który nosiła zamiast kurtki, kiedy miała się spotkać z kimś oficjalnie. Trochę nieświeżo pachniał, więc postanowiłam go oddać do czyszczenia. Do tej pralni chemicznej. Oczywiście najpierw przeszukałam kieszenie. Normalnie nie grzebiemy sobie po kieszeniach, ale tym razem, rozumie pani, sytuacja była inna. I w wewnętrznej kieszonce płaszczka znalazłam coś... – Ewa Malinowska znowu zamilkła.

– Co to było? – zachęciłam ją.

– Wizytówka.

– Jaka? Czyja? Kasi?

– Nie, nie jej. To wizytówka kogoś z Budomaxu. Jakiejś kobiety. Nie znam tego nazwiska, proszę chwileczkę zaczekać, przeczytam je pani... – W słuchawce rozległy się trzaski, a po chwili Malinowska kontynuowała: – Dobrosława Kalicka. Sekretariat działu finansów.

– To ciekawe – powiedziałam, choć poczułam się trochę rozczarowana. Nic dziwnego, że Kaśka kontaktowała się z firmą Żelaznej, skoro prowadziła dochodzenie w sprawie jej śmierci.

– Ale to nie wszystko. – Ewa jakby wyczuła moje wahanie. – Na odwrocie tej wizytówki siostra odrębnie coś dopisała. Pismo rozpoznaję, jest na pewno Kaśki. Nabazgrane jak na kolanie. W pośpiechu albo w nerwach...

– Co takiego napisała? – Znow musiałam pociągnąć ją za język.

– Czytam: spotk. Tu kropka. Czyli skrót. Więc na pewno chodzi o spotkanie. Dalej jest data, luty. I godzina, czternasta. Sprawdziłam, chodzi o ten sam dzień, kiedy moja siostra została napadnięta. Tylko trochę wcześniej, bo ją pobili późnym popołudniem. I co? Myśli pani, że to ważne?

Zrobiło mi się gorąco.

– Myślę, że bardzo ważne! Pani Ewo, niech mi pani jeszcze raz przeliteruje to nazwisko! A mogłaby pani sfotografować wizytówkę z obu stron i przesłać mi na komórkę?

– Tak, nie ma problemu, zaraz to zrobię. Jest jeszcze coś. Numer telefonu. Bo na wizytówce jest wydrukowany stacjonarny, a Kaśka ręcznie dopisała chyba komórkowy. – Głos Ewy Malinowskiej wyraźnie się żywił.

– Super. – Czułam, jak zalewa mnie fala ekscytacji. – Dziękuję! W takim razie czekam na te zdjęcia. Aha, niech pani zabezpieczy wizytówkę, może będzie mi potrzebna, w razie czego przyjadę do pani jutro. Ciekawe, że policja jej nie znalazła?

– Bo nie szukali. Może tylko w tych rzeczach, które miała na sobie i przy sobie – wyjaśniła.

– No tak. Normalka. Przecież nie padła ofiarą zabójstwa.

Poczułam gorycz, ale lojalnie nie zdradziłam się z nią. Nie chciałam robić kwasów. Ale gdyby od razu dokładnie przeszukali jej rzeczy...

Przecież to cholernie istotne, z kim spotkała się bezpośrednio przed napadem! Za tym mogło się coś kryć.

Poprosiłam Ewę o dokładne sprawdzenie pokoju Kasi, czy przypadkiem nie znajdzie tam czegoś jeszcze, na przykład w jej biurku, szafie czy gdziekolwiek. Ale dziewczyna odparła, że po tym znalezisku przeszukała cały dom, jednak niczego więcej nie znalazła. Zapytała tylko, czy trafił w moje ręce notatnik Kasi, który bezpośrednio po napadzie przekazali pani wójt. Potwierdziłam.

Na tym zakończyłyśmy rozmowę i się pożegnałyśmy. Chwilę później usłyszałam sygnał mojej komórki obwieszczający nadejście ememesa. Malinowska błyskawicznie przesała zdjęcia. Wydrukowałam je. Wiedziałam już, co będę robić po południu...

A jednak znowu się przeliczyłam. Zamierałam przed końcem godzin urzędowania odwiedzić w pracy panią Dobrosławę Kalicką i zapytać o tamto spotkanie z moją asystantką. Nie, nie podejrzewałam tej pani o pobicie Kasi, jednak przypadkiem mogła coś wiedzieć, może na przykład Kaśka powiedziała jej, dokąd się jeszcze wybiera, albo że ktoś ją śledzi, nie wiem, w każdym razie wyglądało na to, że sekretarka była ostatnią osobą – poza napastnikami – która widziała ją przed napaścią.

Najpierw jednak postanowiłam zadzwonić i się zapowiedzieć. Nie wiedziałam, czy wpuściliby mnie do gmachu. Pamiętałam podejrzliwy wzrok portiera. Zatem kiedy obejrzałam dokładnie zdjęcia nadesłane przez Ewę, wystukałam podany na wizytówce numer telefonu. Ten wydrukowany, stacjonarny, ponieważ uznałam, że na początek lepiej spotkać się oficjalnie. Minęło dopiero południe, pora więc była idealna. Przez jakiś czas nikt nie odbierał, słychać było tylko wpadającą w ucho melodyjkę z automatu, ale cierpliwie czekałam. W końcu ktoś zareagował.

– Budomax, dział finansów, sekretariat, słucham – odezwał się młody, równie jak muzyczka melodyjny kobiecy głos.

– Dzień dobry. – Nie wiedziałam, jak zacząć. Wiedziona zapałem, nie przemyslałam tego zawczasu. – Nazywam się Felicja Stefańska, dzwonię z tutejszego urzędu gminy. Czy może... rozmawiam z panią Dobrosławą Kalicką? – zapytałam w końcu prosto z mostu. – Dobre się dodzwoniłam?

Nastąpiła chwila ciszy.

– Dzień dobry. Niestety nie – padła odpowiedź. – Nie z panią Kalicką. Ale połączyła się pani prawidłowo. Tu sekretariat. Czym mogę służyć?

– Przepraszam, ale poszukuję pilnie pani Kalickiej. Czy mogłaby pani...

– Przykro mi. Pani Kalicka już u nas nie pracuje. Nazywam się Agnieszka Skoczylas i jestem jej następczynią. Chętnie pomogę w każdej sprawie – przerwała mi gładko.

– Och! – weszłam w rolę. – I co ja teraz pocznę. Nie pracuje? Ale co się stało? Mam do niej pilną sprawę.

Ponownie chwila ciszy.

– Przykro mi.

– A mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie jej szukać? To naprawdę pilne...

Dłuższa chwila ciszy.

– Chwileczkę. Jestem w firmie nowa, pracuję tu dopiero od miesiąca, nie we wszystkim się orientuję. Ale skoro pani dzwoni z urzędu... Czy może pani parę minut zaczekać? Poproszę do telefonu koleżankę. – Dobiegły mnie szelesty oraz przytłumione dźwięki rozmowy gdzieś z oddali.

Czekałam, postukując ołówkiem o blat biurka i błogosławiąc sekretarkę, że nie kazała mi dzwonić pod kolejny wewnętrzny numer i ponownie wysłuchiwać durnej mechanicznej melodjyki.

– Halo? – W słuchawce rozległ się inny głos, bardziej szorstki, ale również kobiecy. – Pani z gminy, tak? Rozumiem, że poszukuje pani Dobrosławy Kalickiej?

– Tak. Podobno już u państwa nie pracuje. Gdzie wobec tego mogłabym ją znaleźć? Mam do niej bardzo ważną sprawę, urzędową.

– Niestety, ale jej już raczej żadne sprawy, ważne czy nieważne, nie dotyczą – odparła moja nowa rozmówczyni konspiracyjnie ściszym głosem. – Jedyne na cmentarzu mogłaby ją pani obecnie znaleźć.

– Słucham? Nie rozumiem... – Zmroziło mnie.

– Pani Dobrosława od paru miesięcy nie żyje. Zginęła w nieszczęśliwym wypadku. Przykro mi, proszę pani.

Coś mnie tknęło, więc zapytałam pospiesznie, nerwowo, zanim kobieta odłoży słuchawkę:

– Ale, zaraz! Jak to? O niczym nie wiedzieliśmy! Kiedy to się stało?

– Nie powiem pani dokładnie, nie pamiętam daty. Ale chyba w lutym. Tak, na pewno jeszcze zimą, luty albo może nawet pod koniec stycznia. Jakoś tak – odpowiedziała ponuro, po czym pożegnała się i rozłączyła.

Nie wierzę w przypadki, życie mnie tego nauczyło. A już szczególnie nie w sytuacjach... kryminalnych. Cudów nie ma. Kobieta, pracownica firmy zamordowanej Sylwii Żelaznej, najprawdopodobniej spotkała się feralnego dnia z Kašką. Albo miała się spotkać, bo czy spotkanie ostatecznie doszło do skutku, tego nie mogłam być pewna. Ale ustalę to w końcu, choć w zasadzie sam ten fakt, doszło czy nie doszło, nie ma już praktycznie większego znaczenia. Kilka godzin później moja asystentka zostaje napadnięta i brutalnie pobita prawie na śmierć. Prawdopodobnie wracając z tego właśnie spotkania. O ile się oczywiście odbyło, a sądząc z wyliczeń czasowych, raczej tak. Gdzieś Kaška przeciwieństwo w tych godzinach przebywała. I zaraz potem – znowu nie wiem, ile dokładnie, dopóki nie ustalę daty, w każdym razie jeszcze tego samego miesiąca – ta sama sekretarka ulega „nieszczęśliwemu” wypadkowi. Przypadek? Jeśli tak, to komuś na rękę. Nie, nie uwierzę, za cholere...

Zastanawiałam się gorączkowo, w jaki sposób ustalić te fakty. Najprościej byłoby rzucić to na Rybę albo nawet Pałkę. No i gdyby Artur był akurat pod ręką, zapewne właśnie tak bym postąpiła. Jednak on siedział gdzieś w Gdańsku, a jego telefon nie odpowiadał. Ryba też był niedostępny, a ja nie potrafiłam czekać. Przykro mi, cierpliwość nigdy nie należała do cnót mojego charakteru. Zaczęłam więc szukać na własną rękę. Chciałam wiedzieć więcej, zanim zadzwonię pod ten drugi numer, komórkowy, zapewne prywatny. Prawdopodobnie przez te kilka miesięcy po śmierci abonentki został już wyrejestrowany, ale warto spróbować. Może ktoś odbierze. Informacji szukałam w sieci, na oficjalnej stronie Budomaxu oraz w mediach społecznościowych. No i nawet dość szybko znalazłam podstawowe fakty. Na stronie firmy zamieszczono nekrolog czy może raczej coś w rodzaju pożegnania wieloletniej pracownicy, bo okazało się, że pani Dobrosława Kalicka pracowała tam niemal od początku. Może nawet była jedną z tych młodych wówczas kobiet, widocznych na zbiorowej fotografii z pierwszego okresu istnienia firmy. Na zdjęciu zamieszczonym przy tekście wspominkowym widać miłą, elegancką kobietę około siedemdziesiątki: pulchna uśmiechnięta twarz, modna krótka fryzura, włosy ufarbowane na ciemny brąz. I data zgonu, luty, cztery dni po napadzie na Kaškę Malinowską. Niestety, nic więcej oprócz licznych pochwalnych wypocin i standardowych wyrazów żalu. Kobieta nie miała kont na Facebooku i Instagramie, a może zostały usunięte przez rodzinę. Że jakąś rodzinę miała, wiedziałam już z nekrologu opublikowanego w sieci, pod którym podpisane zostały pogrążone w żalobie dzieci i wnuki. Szperając dalej, znalazłam w trójmiejskiej prasie online kilka słów o wypadku. Choć konkretnie nie zamieścili – wiadomo, RODO – łatwo się było domyślić, że chodzi o tę samą osobę. Jednak i tam nie było nic ponad to, że kobieta uległa śmiertelnemu wypadkowi. Raczej nie chodziło o wypadek drogowy, bo to by podali.

Z duszą na ramieniu, bo czułam się tak, jakbym wywoływała ducha, zadzwoniłam pod numer komórki zapisany przez Kasię na wizytówce. Raz i drugi, i trzeci. Nikt nie odebrał. Szlag! Ale nie było też informacji, że nie ma takiego numeru. To dobry znak. Frustracja mnie zabijała. Wysłałam esemesa do Ewy Malinowskiej, że się do niej wybieram. Chciałam odebrać oryginalną wizytówkę, żeby wręczyć ją Pałce do sprawdzenia oraz jako ewentualny dowód w sprawie. Po chwili dostałam zwięzłą odpowiedź od Ewy, że jest w domu i czeka.

Wahałam się jeszcze, czy dzwonić do Grety albo Kaśki, ale zostawiłam to sobie na później. Gdy już będę wiedziała więcej. Może, bo niekoniecznie. Kaśka i tak nie pamięta tamtego dnia, ale być może, jeśli podpowiem jej szczegóły, coś jej się przypomni. Stymulacja jest wskazana.

Zostawiłam śpiącego na kołdrze mojego Burego rudasa, ubrałam się pospiesznie i wyszłam.

Ewa Malinowska chyba czekała w oknie, bo wyszła na ganek, gdy tylko otworzyłam furtkę prowadzącą do ich ogródka. Dotarłam tam nieco później, niż planowałam, traf chciał, że po drodze wpadłam na Gretę, która akurat przyjechała do domu, by przebrać się na jakiś gminny raut czy inny bardziej oficjalny event, no i wypatrzyła mój samochód mijający w tym samym czasie jej posesję. Trudno zresztą byłoby go tutaj przeoczyć, drugiego podobnego nie ma w całym miasteczku. Pazikowie byli z Malinowskimi bliskimi sąsiadami, dzieliła ich na tym samym osiedlu tylko jedna posesja, dlatego Greta przyjaźniła się od lat z matką Kaśki i Ewy. Musiałam się jakoś wytłumaczyć, do kogo i po co jadę, więc przy okazji wprowadziłam ją w temat. Oszłupiała, gdy skojarzyła fakty. Ona także nie miała zielonego pojęcia o śmierci Kalickiej, nie znały się. Sekretarka nie była stąd, zapewne mieszkała w Trójmieście. Na szczęście Greta spieszyła się, zostawiłam ją zatem w stanie lekkiego szoku, umówiliśmy się na telefon wieczorem.

– Przepraszam za spóźnienie! – zawołałam do Ewy, zmierzając do drzwi. – Ale spotkałam po drodze Gretę...

– Zaden problem, proszę wchodzić, przez ten czas zrobiłam kawę. – Dziewczyna wprowadziła mnie do domu.

Jak zwykle uderzyło mnie jej podobieństwo do młodszej siostry, a zarazem to, jak są mimo tego podobieństwa różne. Ewa była piękną dziewczyną, brała udział w konkursach urody, z zespołem muzycznym występowała na scenie. Urodzona gwiazda. Zgrabna, wysoka ciemna blondynka, zadbana, ubierająca się dość wyzywająco, pewna siebie. Fizycznie nieskazitelna. No i Kaśka – nieduża i krępa, z włosami w nieokreślonym mysim kolorze, nosząca okulary i aparat na zębach oraz proste, bezbarwne, workowate ciuchy. Miały podobny układ twarzy w kształcie serca, kolor oczu, wysokie czoła, a także coś wspólnego w ruchach i mimice. Jednak doskonała, urodziwa Ewa nie miała wrodzonego wdzięku i uroku, jaki charakteryzował młodszą z sióstr. Kaśka podobno od dziecka czarowała nim ludzi.

Obie były bardzo inteligentne. Gdyby było inaczej, Ewa nie wpadłaby na tę wizytówkę ani tym bardziej nie zrozumiałaby jej znaczenia dla sprawy. Usiadłyśmy w niewielkiej przytulnej kuchni, popijając kawę z ekspresu i dzieląc się wrażeniami. Szybko streściłam jej to, czego zdołałam się dowiedzieć.

– Coś w tym musi być. To nie wygląda na wypadek. Jak to dobrze, że pani do nas wróciła! – westchnęła siostra mojej asystentki.

– Jednak trochę za późno. – Spochmurniałam. – Gdybym zrobiła to wcześniej, może Kaśka nie wylądowałaby w szpitalu...

– Tylko pani zamiast niej? – Ewa pokręciła głową.

– Dobra, już nie spekulujmy. Czy my nie byliśmy już po imieniu? Bo tak mi się zdaje? – zmieniłam temat.

Wzruszyła ramionami.

– Raczej nie, nie przypominam sobie. Nie ośmieliłabym się.

– Więc się ośmiel. Wolę tak, serio. Lepiej się rozmawia, a nie mam jeszcze stu lat ani fioła na swoim punkcie.

– Oki, spróbuję. – Zaśmiała się. – Luzik. Chyba uda mi się przełamać. To co, chcesz zabrać tę wizytówkę?

– Tak, dzięki. Muszę ją mieć na wypadek, gdyby policja raczyła się tym zająć.

Ewa poszła po wizytówkę. Podala mi ją ze słowami:

– Sorry, że się wtrącam. Ale przyszło mi do głowy... Może spróbujemy jeszcze raz zadzwonić pod ten numer komórkowy?

– Czemu nie – uśmiechnęłam się. – Nie zaszkodzi. Spróbujmy. – Wyjęłam z kieszeni telefon, ale się zawahałam. – Ty zadzwoń. – Położyłam komórkę przed nią na stole. – Może będziesz miała więcej szczęścia.

– Co mam powiedzieć?

– Cokolwiek, nieważne. Improvizuj. Na przykład, że jesteś znajomą pani Dobrosławy i szukasz jej od miesiąca. Na początek, żeby nie spłoszyć człowieka. O ile w ogóle ktoś się odezwie. Nie liczę już na to za bardzo...

– Okej. Dzwonię.

Ewa wystukała numer, który znałam już prawie na pamięć. Włączyła głośnik, więc słyszałam sygnał. Tak jak wcześniej. Pip, pip, piiiiiip. Czekaliśmy wytrwale. Kiedy już chcieliśmy zrezygnować, nagle ktoś odebrał telefon.



– Halo? – Głos był dziwny, niepewny, skrzekliwy, załamujący się, trudno powiedzieć, męski czy kobiecy.

Obie doznałyśmy szoku: Ewa zaniemówiła, a mnie poderwało z krzesła. Nie spodziewałyśmy się odzewu. Stałam za jej plecami, szarpiąc dziewczynę za ramię, by się odezwała.

– Dzień dobry! – zreflektowała się. – Czy, czy dodzwoniłam się do pani Dobrosławy?

Chrząknięcie.

– Niby tak. A o co chodzi?

– Czy mówię z panią Dobrosławą?

– Nie. Kto dzwoni?

Ewę znowu zamurowało, musiałam kolnąć ją paluchem w plecy.

– Przepraszam – ciągnęła. – Jestem jej znajomą, mam do niej ważną sprawę, ale od miesiąca nie mogę się z nią skontaktować. Czy mogłaby pani... pan...

– Tu wnuk. Babcią nie żyje od paru miesięcy. Ten telefon właściwie jest nieużywany. Ma być przepisany na mnie, ale na razie nie mieliśmy z mamą na to czasu. Pani nie dzwoni od operatora?

Dziewczyna odwróciła się, popatrzyłyśmy po sobie. Przynajmniej wyjaśniła się sprawa dziwnego głosu: odebrał młody chłopak, może nastolatek. Zapewne przechodził mutację.

Zamachałam dłonią, by nie przerywała rozmowy.

– Nie, skąd. Dzwonię prywatnie. Nazywam się Kowalska. Ale jak to nie żyje? Nie rozumiem. A co się stało? – Tym razem Ewka weszła gładko w swoją rolę.

– Noo... miała wypadek. Nie żyje.

– Jaki wypadek?!

– Wypadek, no. Spadła ze schodów.

– Moglibyśmy spotkać się gdzieś i porozmawiać? – Ten tekst Malinowska odczytała z kartki, którą jej podsunęłam pod nos.

– Eeee... ze mną?

– Dlaczego nie?

– To może lepiej z moją starszą? – Chłopak najwyraźniej się przestraszył.

Ewa spojrzała na mnie, skinęłam głową.

– Może być. Podasz mi adres?

– Adres? – zawahał się. – To może niech pani przyjdzie do KFC przed dworcem głównym. Matka tam pracuje. Jutro będzie do piątej. Po południu. Powiem jej.

Znów pokiwałam głową.

– W Gdańsku?

– No.

– Okej, będę tam o trzeciej. Nazwisko to samo? Kalicka?

– Nie. Skowronek. Tamara.

– Super. Dziękuję ci bardzo. Nie martw się tym telefonem, przerejestrują ci go bez problemu. Współczuję śmierci babci.

– Dzięki... – odparł zawstydzony.

– Trzymaj się. – Ewa rozłączyła się z westchnieniem ulgi. – No kurczę, ale jaja! – powiedziała. – Musiało na mnie paść!

– Miałaś farta – uśmiechnęłam się.

– Dobrze mi poszło?

– Świetnie. Mamy, cholera, kolejnego detektywa. Tylko nie idź w ślady siostry!

– Zabierzesz mnie jutro ze sobą?

– Po co? Chce ci się?

– Chce. W końcu dotyczy to też Kaśki. Mogę się przydać, choćby do towarzystwa. Będzie ci różniej.

W zasadzie czemu nie. Nie chciałam na razie mieszać w to Grety, wolałam ją oszczędzić. A tym bardziej policji. Pałka będzie musiał jeszcze zaczekać. Najpierw dowiem się więcej o wypadku Kalickiej, bo może okazać się, że to niewypał. Natomiast Ewka z przyciążającą urodą może wzbudzać ludzką sympatię i ufność, zachęcając do zwierzeń.

Zgodziłam się.

Miałam wyrzuty sumienia, kiedy wieczorem wrócił Artur. Musiałam z nim rozmawiać, jak gdyby nigdy nic, tymczasem aż mnie skręcało, żeby mu zdradzić sensację. Bo czułam, że to jest sensacja. Wiedziałam jednak, że skończyłoby się na protestach i próbach zniechęcenia mnie, o ile nie gorzej. Pałka nie potrafiłaby nas poważnie albo znowu by się o mnie bał. A ja bym się bała, że policja zaprzepści nasze odkrycie. Upierali się nie łączyć spraw. Nie wiem dlaczego, bo jestem pewna, że Artur myślał inaczej, widocznie takie były odgórne naciski. Oni wszystko muszą mieć jasne i jednoznaczne: ślady,

dowody, żadnych domysłów. A jak tu stworzyć przekonujące scenariusze bez domysłów? Bez wyobraźni? Nie da się.

Dlatego najpierw musiałam wyjaśnić do końca sytuację, żeby już nie mieli wyjścia. No i co tu kryć, również po to, bym i ja miała w tym swój udział, w końcu z tego powodu porzuciłam moje nowe życie i wróciłam tutaj, do Kryszewa, żeby zająć się tą sprawą. Nie zamierzałam rezygnować, to moja praca. Milczałam więc, dołałam siedzieć przytulona do tego silnego faceta, jeść z nim kolację, słuchać muzyki elektronicznej, a potem kochać się z nim do świtu w moim kamperze. Namiastka normalności. Nie żeby mi brakowało czegoś, czego nigdy nie zaznałam. Ale mimo to od czasu do czasu wyobrażałam ją sobie...

Palczyński miał dla mnie nowe informacje. Po części nowe, bo przecież już o tym była mowa. Podobno Kaśka odzyskuje pamięć. To znaczy coraz więcej pamięta. Potem nabrał wody w usta, obiecując, że będzie mnie informował, kiedy tylko z tego przypominania sobie coś konkretnego wyjdzie.

Pewnie oboje się w pewnym sensie nawzajem okłamywaliśmy, przemilczając pewne sprawy. Pocięszaliśmy się, że dla dobra śledztwa i nas wzajemnie. Nie chodziło o brak zaufania, bardziej o kompromis.

Tak. Byłam zakochana, po raz drugi w życiu. Nie, to nie było jak z Sebastianem. On już na zawsze pozostanie we mnie i ze mną. Nie umiałam się z nim rozstać. To coś nowego, ale... chciałam być z Arturem. Choć czułam to przede wszystkim fizycznie. Każdym milimetrem ciała. A jednocześnie było w tym coś głęboko duchowego. Nie potrafię tego do końca wyjaśnić, nawet sobie.

Zaparkowałyśmy kamperem przed dworcem, na płatnym parkingu, żeby nie krążyć, nie tracić czasu i nie szukać innego miejsca, którego o tej porze pewnie i tak raczej byśmy nie znalazły. Cud w ogóle, że nie trafiłyśmy po drodze na korki, za to pewnie między w nich godzinami tkwić, jadąc w przeciwnym kierunku. Do KFC obok hali głównej dworca miałyśmy niedaleko, ale musiałyśmy się pospieszyć, żeby zdążyć na umówioną godzinę. Wpadłyśmy do baru w ostatniej chwili, okazało się jednak, że pani Skowronek była jeszcze zajęta, i trzeba poczekać. Usiadłyśmy na ławie przy oknie, Ewa poszła po kawę, w wszelki wypadek trzy, wzięłyśmy jeszcze na spółkę lody na przeczekanie. Malinowska była przejęta, pierwszy raz miała uczestniczyć w „przesłuchaniu”, jak to nazwała.

Tamara Skowronek podeszła do naszego stolika po kilku minutach, wycierając ręce w fartuch.

– No to już jestem! – oznajmiła z uśmiechem. – Poprosiłam koleżankę, żeby mnie zastąpiła. Mam piętnaście minut...

– Super, tyle nam wystarczy. Dziękujemy – odwzajemniłam uśmiech i poprosiłam, żeby usiadła.

Rozejrzała się niepewnie, może szukając jakiegoś kierownika, ale się do nas przysiadła. Była kobietą w średnim wieku, koło pięćdziesiątki, może po czterdziestce, raczej młodsza ode mnie. Z wyglądu przeciętna tleniona blondyna, twarz nie do zapamiętania, choć miła. Ewa podsunęła jej kawę.

– Panie są znajomymi mojej zmarłej mamy, tak? – zagadnęła.

Odcchrząknęłam.

– W zasadzie to nie do końca. – Po drodze umówiłyśmy się z Ewką, że nie będziemy ściemniać i postawimy na szczerłość. – Znamy pani mamę tylko ze słyszenia. Przyjechaliśmy z Kryszewa.

– Aha. Mama tam pracowała.

– Tak. Powiem otwarcie, chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś o tym wypadku, w którym zginęła pani mama.

– Ale panie są z Budomaxu?

– Nie, w żadnym wypadku. Jesteśmy z urzędu gminy.

Słyszac wzmiankę o urzędzie, kobieta wyprostowała się i przybrała poważny wyraz twarzy. Ludzie bardzo często w ten sposób reagują. Od razu widać, że to kraj z długimi tradycjami biurokracji.

– Z urzędu? Czy coś...

– Spokojnie, pani Tamaro. To nie jest wizyta urzędowa, przynajmniej nie w tej chwili. Jestem rzeczniczką prasową gminy, prowadzę gazetę gminną. A to moja... asystentka. – Niech ma, co mi tam, pomyślałam, widząc zadowoloną minę Ewy. – Zajmujemy się teraz sprawą zabójstwa Sylwii Żelaznej, właścicielki Budomaxu, gdzie pracowała pani mama. Poszukiwałyśmy jej od pewnego czasu, żeby o tym porozmawiać, liczyliśmy na jej wiedzę.

– A jak trafiliście do mojego syna? – weszła mi w słowo. – Bo Grześ mi przekazał...

– Już wyjaśniam. Moja poprzednia współpracownica była umówiona z pani mamą, w każdym razie miała jej wizytówkę z zapisanym numerem. – Wyjęłam kartonik i pokazałam go jej. – Przypuszczalnie spotkały się, ale niestety nie wiemy tego na pewno, bo tego samego dnia nasza koleżanka została napadnięta, brutalnie pobita i nieprzytomna, z zanikiem pamięci trafiła do szpitala.

– O Jezu Chryste! – Kobieta z przerażeniem zasłoniła dłońią usta.

– No właśnie. A kilka dni później pani mama miała wypadek...

Tamara Skowronek zastygła.

– Matko boska, to prawda – jęknęła.

– Dlatego zadzwoniłyśmy pod ten numer i dopiero wtedy dowiedziałyśmy się od pani syna, co się stało. Bardzo miły chłopak, sporo nam wyjaśnił, ale nie wszystko. Trudno rozmawiać na takie tematy przez telefon. Stąd nasze dzisiejsze spotkanie.

– Grześ jest dobrym chłopcem, dziękuję. Ma osiemnaście lat, w zasadzie jest już dorosły. Ulga, bo od ponad dziesięciu lat wychowuję go sama, nie było lekko, wiedzą panie, jak traktuje się u nas samotne matki. Ale ja nie o tym. Przepraszam. Proszę pytać, o co panie chcą. Straszne to wszystko...

Napiłam się kawy, żeby sobie zwilżyć zaschnięte usta. Ewa tylko kiwała głową.

– Czy może pani słyszała coś od mamy? Nie zwierzała się pani?

Tamara zaprzeczyła wstrząśnięta.

– Nie było czasu, mama bardzo dużo pracowała, żyła tą firmą – wyjaśniła. – Ale teraz tak sobie myślę, że ostatnio była jakaś dziwna. Jakby jeszcze więcej ją ta praca pochłaniała. Choć przecież powinna już dawno być na emeryturze. Nie chciała. Mówiła, że zanudziłaby się na śmierć, siedząc w domu i oglądając seriale. A innych zainteresowań poza pracą nie miała. Dobrze jej tam płacili, więc się nawet nie dziwiłam. To prawda, że wszystko o tej firmie wiedziała. Więcej niż na przykład o swoim wnuku – dodała gorzko. – Pracowała tam od ponad trzydziestu lat. Znała wszystko i wszystkich. A teraz leży w grobie. Myśli pani, że ją też ktoś napadł i zamordował, jak waszą koleżankę i tę właścicielkę? – Spojrzała mi prosto w oczy.

– A czy pani przeszło to przez myśl? – zapytała Ewa.

– Bo ja wiem? – Tamara przeniosła na nią wzrok. – Świadomie to raczej nie. Ale trudno było mi się z tym pogodzić. Mama nie była jakąś łamagą pomimo wieku. Nie piła, nie chorowała, uważała na siebie. Cały czas nie rozumiełam tego wypadku.

– Co się wydarzyło? Co to był za wypadek? – Teraz ja zadałam pytanie.

Zamyśliła się, po czym zerknęła na zegar i podjęła pospiesznie:

– O rany, mam już mało czasu! No więc wracając z pracy, potknęła się albo poślizgnęła na stromych schodach do klatki schodowej i upadła do tyłu, uderzając głową o bruk. Od razu straciła przytomność. Podobno ciężka siatka z zakupami ją przeciążyła. A ponieważ to był wieczór, po dwudziestej drugiej... ona bardzo często tak późno wracała, bo siedziała po godzinach... więc zanim ktoś jej udzielił pomocy, było już za późno. Dopiero parę godzin później znalazł ją sąsiad wracający do domu po pijaku. – Głos jej się załamał.

– Była obdukcja? Dochodzenie?

Wzruszyła ramionami.

– Obdukcja właśnie to potwierdziła. A dochodzenie... pewnie jakieś tam było, ale z nami tylko raz rozmawiał jakiś policjant. Mówili, że nieszczęśliwy wypadek, starsza kobieta, ślisko, że to się przecież zdarza. A teraz to ja myślę jak panie! – Zerwała się. – Ona sama nie spadła z tych schodów! Znałam moją matkę przez całe życie, była ostrożna i sprawna, zdrowa mimo wieku. Muszę teraz wracać do pracy. Ale jakby co, to niech panie dzwonią pod tamten numer. Zabiorę telefon synowi, to znaczy tylko pożyczę, potem mu go oddam, bo markowy, wypasiony, jak to oni teraz mówią. Nie darowałby mi. – Uśmiechnęła się smutno, zgniatając papierowy kubek. – Do widzenia.

W milczeniu dopiłyśmy kawę, lody Ewa zjadła z nerwów – jak potem się tłumaczyła – już wcześniej.

– Czas wracać – stwierdziłam. – Może jeszcze unikniemy największych korków. Omówimy wszystko w drodze.

\*\*\*

Wszystkie trzy – bo i Greta, która za cholere nie dała się splawić, z uporem życzyła sobie osobiście we wszystkim uczestniczyć – byłyśmy głęboko przekonane, że tajemniczy wypadek Kalickiej nie był żadnym wypadkiem. Takie rzeczy się nie zdarzają. Za tym kryły się przynajmniej dwa brutalne morderstwa z premedytacją, wliczając w to śmierć Żelaznego sprzed lat, ciężkie pobicie, z którego Kaśka tylko cudem wyszła żywa, oraz strzelanie do mnie (w mój samochód) plus próba zastraszenia. A teraz idiotyczny śmiertelny „wypadek” potencjalnego dobrze zorientowanego świadka. Wszystkie te zdarzenia musiały być ze sobą powiązane. A także bez wątplenia i w oczywisty sposób musiały być powiązane z interesami małżeństwa Żelaznych, konkretnie z firmą Budomax.

Tylko jak miałam powiedzieć o tym Pałce?! Jak go przekonać? W najlepszym razie odetnie mnie od sprawy, w najgorszym – porzuci. Obrazi się, uzna za idiotkę, hienę dziennikarską. A teraz już trudno

było mi wyobrazić sobie dalsze życie bez niego. Cholernego gliny...

– Może powiedziec Rybie? – podsunęła Greta. – Zygmunt podpowie, co dalej robić. Zawsze był pomocny.

– Tak, ale on teraz też już się wygryzł! Ważny się zrobił. Będzie po stronie Palczyńskiego, jestem tego prawie pewna.

– Może jednak nie. „Prawie” robi różnicę.

– Zobaczymy. Muszę się zastanowić. Ale masz rację, jeśli nie znajdę jakiegoś sposobu, żeby przekonać Artura, chyba spróbujemy wziąć w obroty Rybkę. Bo co innego nam... – urwałam, ponieważ usłyszałam z dołu trzaśnięcie drzwiami i okrzyk:

– Felicja?! Jesteś tam?!

– Jestem, jestem! – odkrzyknęłam. – Muszę kończyć – powiedziałam pospiesznie do Grety. – Pałka tu idzie!

Rozłączyłam rozmowę i podbiegłam do drzwi, przy których uwijał się Bury, poszczekując radośnie i machając z entuzjazmem puszystym ogonem. Gdy otworzyłam, Paczyński już był na podeście, uśmiechnięty i emanujący pozytywną energią. Bez słowa wziął mnie w objęcia i podniósł, podczas gdy psiak skakał wokół nas jak dzikus.

– Stęskniłem się – wyznał. – Bardzo! Dasz kawy? A buzi?

– Dam jedno i drugie. Wchodź wreszcie, zanim Bury ściągnie nam tu gospodynię!

– Bez obawy. Nie ściągnie. Gospodyni poszła do sklepu. – Śmiejąc się, zdjął kurtkę i odwiesił ją na wieszak.

Zamknęłam drzwi i poszłam do aneksu kuchennego, by nastawić ekspres.

– Skąd wiesz?

– Spotkałem gospodarza w ogródku. Sam mi powiedział. Dlatego drzwi były otwarte.

– A, no tak... Chcesz coś zjeść?

– Nie, dzięki, tylko kawy. Jadłem na mieście.

– Znowu w biegu. Co jadłeś? – wyrwało mi się. „Jednak głupia miłość zmienia człowieka”, pomyślałam z autoironią. Choć to raczej nie faceci, a chyba o wiele bardziej Bury nauczył mnie troski o innych.

– Hamburgera z frytkami. Nieważne. Mam coś nowego! – oznajmił z tryumfem, bawiąc się z psem.

– Chyba nareszcie jest konkret, może nawet przełom...

Zamilkł, rzucając Buremu piłkę.

– Co takiego? – ponagliłam go podekscytowana, nalewając kawę do filiżanek w różyczki, z odzysku po zdekompletowanym serwisie Pazików. – No mów, cholera, nie denerwuj mnie!

– No to siadaj i nie wiś nade mną jak sęp. Daj wreszcie tej kawy, bo padam z nóg. – Ku rozczarowaniu kundelka zaniechał zabawy i padł na wersalkę. – Praca nad Kasią Malinowską nareszcie przyniosła skutek. Chyba z pięćdziesiąt razy, jeśli nie więcej, oglądaliśmy z nią to cholerne nagranie. Zbliżenia, zwolnione tempo i tak dalej, w kółko Maciejowi. Do tej pory coś jej tylko majaczyło, ale nie wiedziała co. No i dzisiaj... eureka! Rozpoznała logo na kurtce tego gnojka!

Napił się kawy i spojrzał na mnie z wyrazem samozadowolenia.

– Tam było jakieś logo?

– Było, ale widoczne tylko na dużym zbliżeniu. Choć i tak niewyraźne. Małe złote kółko z tyłu, pod kołnierzem, z wizerunkiem gryfa. Wiesz, co to gryf?

– Pewnie, że wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Lew ze skrzydłami i głową drapieżnego ptaka, chyba orła? Symbol Kaszub między innymi.

– Zgadza się. Sprawdziliśmy to, nie istnieją na rynku kurtki typu motocyklowego z takim znakiem firmowym, więc to nas zainteresowało. Zwłaszcza że ten drugi osobnik, który na filmie tylko mignął, nosił chyba ten sam emblemat na swoim wdzianku, nasz spec jest prawie tego pewny. Czyli byłby to wspólny mianownik. No i wiadomo już, że to te same bydłaki. Teraz będziemy szukać skurwielu po tym właśnie znaku! Znajdziemy ich, to kwestia czasu.

Zamyśliłam się.

– Ciekawe, dlaczego akurat gryf. Lokalni patrioci? Zdaje się, że to mityczne stworzenie o bogatej symbolice. Ale nie za bardzo się na tym znam...

– Więc masz pole do popisu, kochanie! – Pałka naprawdę był przejęty. – Sprawdź dla nas tę symbolikę, dobrze? Na wszelki wypadek. Bo ona czasem może wskazywać na przykład na pewne cechy grupy, sekty, gangu, który się takim symbolem posługuje. Jesteś w tym świetna. A my zaoszczędzimy czas.

– Jasne, że sprawdzę. Gryf ma chyba nawet szersze związki lokalne, z morzem, z Pomorzem, nie wiem, co jeszcze, ale się dowiem.

Widziałam, że odetchną z ulgą, przyznając mi to „zadanie bojowe”. Liczył, że wsiąknę w te poszukiwania literacko-kulturowe i dam sobie spokój z resztą, ale nie zdradziłam się tą wiedzą. Tymczasem przyszedł mi do głowy jeszcze jeden pomysł. Z nim też wolałam się nie wrywać.

No i znowu nie powiedziałam mu o wypadku Dobrosławy Kalickiej. To nie był raczej dobry moment...

– Jutro pójde do biblioteki. Pani Renaty nadal chyba nie ma, ale żona Ryby tam teraz rządzi, na pewno znajdzie mi wszelkie możliwe źródła i informacje, jest w tym oblatana – obiecałam tylko.

– Świetnie. Ryba oczywiście wie o wszystkim, uczestniczył w sesjach z Malinowską. Więc pewnie jego żona się nawet nie zdziwi. A nam takie info może okazać się bardzo przydatne. – Objął mnie i pocałował.

I na tym skończyła się nasza rozmowa.

Nazajutrz w południe byłam w bibliotece, chcąc mieć tego gryfa jak najszybciej z głowy i zając się poważniejszymi sprawami, mianowicie poszukiwaniem osób, które mogłyby coś wiedzieć na temat tajemniczy sekretarki Dobrosławy Kalickiej, tajemnicy, którą zabrała ze sobą do grobu (prawdopodobnie z cudzej woli). Przecież musiała się komuś zwierzyć, ludzie zwykle to robią! Miała chyba przyjaciółki, koleżanki z pracy czy nie z pracy, sąsiadki. Jeśli posiadała jakiś dowód albo wiedziała coś, za co ktoś zepchnął ją z tych schodów, żeby jej zamknąć usta, to z pewnością uległaby pokusie.

Tymczasem siedziałam w pustej czytelnicy nad stosem książek, z otwartym notatnikiem przed nosem. Na szczęście biblioteka nie była zbyt uczęszczana o tej porze, przynajmniej Justynka mogła poświęcić mi czas. Znalazła i przyniosła mi książki, a czego tam nie było! Pozycje naukowe i popularnonaukowe, opracowania heraldyczne, baśnie i legendy. Tak jak przypuszczałam, zapaliła się do tematu, aż jej oczy błyszczały. Rzeczywiście chyba ta praca to jej pasja. Od godziny wertowałam te materiały, aż mnie w końcu niepostrzeżenie wciągnęło. Też lubię takie sprawy, zwłaszcza że zaczynałam dostrzegać w tej symbolice pewien sens.

– Widzi pani, pani Felicjo? – perorowała Justynka Ryba podnieconym szeptem, chyba z nawyku, bo przecież byliśmy tu same. – To się składa! Złoto i klejnoty, obrona bogactw, szukanie tych skarbów, pilnowanie ich, waleczność, odwaga, ale także agresja wobec ludzi. Później jeden z symboli zaanektowanych przez chrześcijaństwo. No i występuje w herbach Pomorza, także Kaszub.

– No, składa się. Rzeczywiście odwaga i waleczność, a także chrześcijańskie miłosierdzie! – parsknęłam szyderczo. – Bić młode dziewczyny, straszyć, mordować starsze kobiety. Bardzo po chrześcijańsku. Brawo.

– Składa się, mówię pani! Przecież różni gangsterzy na pewno mają swoją misję i uważają siebie za bohaterów. Mogli przyjąć taki znak! Albo na przykład jakaś tajna sekta... – rozochociła się bibliotekarka.

Westchnęłam.

– No mogli, zgadzam się – przyznałam. – Do ochroniarzy też by pasowało. A Ry... mąż coś pani mówił? Rozmawialiście na ten temat?

Justynka zarumieniła się lekko.

– Zna pani mojego Zygmunia – odparła. – Raczej niechętnie dzieli się swoją pracą. Ale coś tam bąknęła mi o tym gryfie. Dlatego się nie zdziwiłam, że pani tego szuka. A mnie to akurat bardzo zainteresowało, tylko nie chciałam tak wprost na niego naciskać, jest na tym punkcie przewrażliwiony.

Zamknęłam się, bo z mojego punktu widzenia Ryba zawsze raczej chętnie dzielił się swoją pracą.

Zrobiłam zdjęcie smartfonem, sporządziłam notatkę dla Pałki i wreszcie – po ponad dwóch godzinach – zwróciłam jej książki, choć każała mi zostawić je na stole. Chciałam z nią jeszcze zamienić kilka słów. To wykształcona i w sumie niegłupia dziewczyna. Prowadząc własne dochodzenie, lubię posłuchać opinii różnych ludzi. Czasem zdarzało się, że tkwiło w nich ziarno prawdy. A przynajmniej coś, jakiś szczegół, drobiazg, pozwalający spojrzeć na sprawę z innej strony.

– Dziękuję, pani Justynko – powiedziałam szczerze. – Bardzo mi pani pomogła, sama chyba straciłabym na poszukiwanie tych informacji co najmniej kilka dni.

– Nie ma problemu! Zawsze do usług, z przyjemnością! To coś ożywczego dla mnie. Nie samo siedzenie w bibliotece, bo mimo że kocham książki, można się tu zanudzić... Trochę zazdrościsz pani pracy dziennikarki śledczej.

– Miałaby pani do tego zmysł – pochwaliłam ją. – A ma pani swoją teorię na temat tych zabójstw?

Widać było, jak Justynka puchnie z dumy.

– Czasem o tym myślę – wyznała.

– I?

– Wie pani, literatura to moja pasja. A ona jest jak życie, bo się z życia rodzi. „Zbrodnia to niesłychana, pani zabiła pana”... cytat z Mickiewicza. Zna to pani? Odwieczna prawda o ludzkich namiętno-

ściach, a ja we wszystkim czuję emocje. Choć Zygmunt sądzi inaczej, że tylko pieniądze, interesy. Ale ja tam nie wierzę w to. Ludźmi zawsze kierują uczucia. Nawet teraz. Ten tyran, co rozpetał wojnę. Bardziej niż o granice chodzi mu o nienawiść – dodała pewna siebie.

– Może i ma pani rację. O tak, jasne, że znam ten kawałek! Poznają go, to ballada *Lilije*. – Uśmiechnęłam się. – No dobrze, o tym tu już od dawna się powszechnie trąbi, że pani zabiła pana. Oczywiście, mogło tak być. Ale wobec tego kto zabił panią?

Bibliotekarka ani trochę się nie zmieszała. Chyba musiała często na ten temat rozmyślać.

– Może druga pani? – zasugerowała skromnie i zadeklamowała: – „Bodajbyś umarła! To sen... to sen... Ha? Rozum już przywyknął do twojej śmierci. Skorobym otarła krew z mojej ręki... byłabym szczęśliwa”. Rozpoznaje pani?

– *Balladyna*?

– Oczywiście! „Odeszła i splamione krwią obmyje szaty. Ale na czole plama zostanie czerwona. Nie ostrzegłam jej, próżno byłoby ostrzegać, ta plama nie zejdzie z czoła” – dopowiedziała z emfazą.

Zaskoczyła mnie. Na to nie wpadłam, do tej pory nawet nie brałam tej możliwości pod uwagę.

– W tym dramacie, o ile sobie dobrze przypominam, to siostra zabija siostrę. Czy tak pani uważa? – nacisnęłam ostrożnie.

Justyna machnęła ręką.

– Och, nie trzeba aż tak dosłownie tego rozumieć! – wyjaśniła lekko. – Ale co do tej siostry, podobno... cóż, nie dałabym za nią złamanego grosza. One nie żyły ze sobą w zgodzie, pani Żelazna i jej siostra. Tak słyszałam. Dużo tam było między nimi zawiści. Może to właśnie ta plama na czole?

#### NOTATKA SYMBOLIKA GRYFA

*Gryf – mityczne zwierzę, hybryda. Wizerunek wykorzystywany w sztuce, symbolice, heraldyce. Najczęściej przedstawiany z ciałem lwa i głową oraz skrzydłami orła, czasem dodawano mu również ptasie szpony. Postać gryfa wywodzi się ze starożytności. Niektórzy naukowcy wiążą jego powstanie ze starożytnym Egiptem i przedstawieniami faraona z głową (sokoła) Horusa na lwim ciele. Horus był bogiem nieba i opiekunem Egiptu, każdy faraon był jego wcieleniem. Lew z kolei symbolizował siłę władcy. Natomiast najstarsze klasyczne wizerunki gryfa znaleziono na terenach Mezopotamii (3000 lat p.n.e.), na Krecie, Cyprze oraz w Persji. Biblia (Stary Testament) również o nim wspomina. W czasach antyku symbol gryfa wykorzystywali w literaturze i sztuce Grecy, prawdopodobnie pod wpływem legend scytyjskich. Był też popularnym motywem u Celtów oraz w epoce średniowiecza, gdy ludzie wierzyli jeszcze w realne istnienie tej hybrydy. Chrześcijaństwo wykorzystali postać gryfa jako symbol Chrystusa, odwołując się do jego dwoistej natury (połączenie pierwiastka boskiego i ludzkiego). W tym znaczeniu gryf pojawia się w Boskiej komedii Dantego, gdzie ciągnie wóz będący symbolem Kościoła:*

Pośrodku, między czterema zwierzęty,  
Wóz tryumfalny dwukółny pomykał,  
Do szyi Gryfa misternie przypięty.  
Gryf po trzy smugi skrzydłami przenikał,  
Sam zaś pod niemi brał miejsce środkowe:  
Do nieba sięgał, ale barw nie tykał.  
Cudny twór złotą miał szyję i głowę,  
A reszta ciała była barwy mlecznej,  
Z którą się złąły barwy purpurowe.

Dante Alighieri, *Boska komedia*, przekład: Edward Porębowicz

*W późniejszych czasach jako zwierzę legendarne gryf często pojawiał się w literaturze i sztuce, współcześnie w literaturze fantasy – od Raju utraconego Milтона i Alicję z Krainy Czarów Lewisa Carrolla po Opowieści z Narnii czy prozę Sapkowskiego.*

*Jako element zdobniczy częsty również w rzeźbie i architekturze. Już Herodot w V wieku p.n.e. opisywał budowle ozdobione wizerunkami gryfów. Podobnie Pausaniasz u progu naszej ery. Od początku postać gryfa wiązano ze złotem i skarbami. Nie tylko strzegły skarbów, ale też wydobywały je z ziemi lub skał. Już w starożytnej Grecji był uważany za strażnika złota i wcielenie Nemezis (bogini przeznaczenia, zemsty i sprawiedliwości). Legenda o gryfach pilnujących skarbów (złota, szlachetnych kamieni) zyskała następnie popularność w średniowieczu. Często opisywany był w bestiariuszach. Wierzono, że gryfy są okrutne i dzikie, polują na zwierzęta i ludzi, zwłaszcza śmiatków chcących zawładnąć pilnowa-*

*nyymi przez nie skarbami. Gryfy miały zakładać swoje gniazda na szczytach wysokich niedostępnych gór. Symbolizowały zachłanność i pychę, ale również siłę, szybkość, czujność, waleczność, odwagę oraz wytrwałość, dlatego stały się popularnym motywem heraldycznym. Tu pojawia się nowa postać gryfa: gryf morski z rybim ogonem. Występuje między innymi w heraldyce Pomorza, Pomorza Zachodniego (herb pomorskiej dynastii Graftów), a także Kaszub – czarny na złotym polu, z koroną. Na Pomorzu wiązany także z wojskowością (na odznakach itp.).*

*Co ciekawe, heraldyczne gryfy są zwykle rodzaju żeńskiego, a jeśli męskiego, to bez skrzydeł.*

\*\*\*

W biurze opracowałam i wysłałam Pałce notatkę jeszcze tego samego popołudnia. Czekałam na odpowiedź, ale nie odpisywał, widocznie był zajęty w terenie, nie przy biurku. Zadzwoił natomiast telefon. Miałam nadzieję, że to on, jednak na wyświetlaczu pojawiło się zdjęcie mojej matki. Odebrałam z mieszaniną radości – bo to jednak matka – i niechęci – bo jest, jaka jest, czyli jak zwykle:

– Halo, mamus...

– Felu! Dlaczego ty do mnie nie dzwonisz, co z ciebie za córka? A ja tu się zamartwiam o ciebie! – Głos pełen pretensji, radość skisła.

– Mamo, nie miałam czasu, pracuję. Chciałam zadzwonić, uprzedziłaś mnie.

– Moja droga, bez tych wymówek. Rodzina jest najważniejsza w życiu! Praca to tylko praca. Zwłaszcza ta twoja – odparła autorytatywnie.

– Ale z tej pracy żyję.

– Nie musisz. Gdybyś tylko wreszcie zmądrzała, moje dziecko. Mówiłam ci setki razy, że ci znajde lepszą. Zarabiałabyś więcej i nie siedziałabyś w pracy całymi dniami, narażając się do kompletu.

No i znów udało jej się mnie wkurzyć.

– Nie mówmy o tym – poprosiłam, siłąc się na spokój. – Nie chcę. Wiesz doskonale, że lubię tę pracę.

– Cóż, zawsze byłaś dziwaczką. Ale lepsze to niż te twoje wojaże zagraniczne. Nie dość, że po nocach z nerwów nie spałam, bo mogłaś mieć przecież wypadek, to na dodatek ta okropna epidemia...

– Epidemia już odwołana – podchwyciłam ochoczo, licząc na zmianę tematu. – Za to mamy wojnę.

– Och, już nic mi nie mów! Strasznie to przeżywam! Twój ojciec się ze mnie śmieje, ale ja jestem przygotowana, mam zapasy w spiżarni, grunt to przezorność. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. A ty, dziecko? Macie tam na tej prowincji przynajmniej jakiś schron, jakby nie daj Bóg...

– Mamy tu piwnicę. Ale, mamo, spokojnie. Wojna nie jest u nas.

– A tam, nie u nas! W każdej chwili może być i u nas. A ja już kolejnej wojny nie przeżyję. Tamtą jeszcze pamiętam...

Parsknęłam śmiechem.

– Mamus, nie przesadzaj, byłaś wtedy małym dzieckiem. Bardzo małym dzieckiem. Jak niby możesz pamiętać?

– Jak się wojna skończyła, miałam prawie trzy lata – odpowiedziała z godnością. – Dobrze pamiętam. Takich rzeczy się nie zapomina.

– No dobrze, już dobrze. Tylko bez paniki, bo ona w niczym nie pomaga. – Ucieszyłam się, że rozmowa zeszała na wojnę, a nie na moje śledztwo. – U nas tutaj jest wielu uchodźców, gmina im pomaga, ludzie też.

– To chwalebne – ucięła temat. – Ale zaraz, chciałam zapytać, co ty tam właściwie teraz robisz. Bo słyszałam, że ta twoja młoda podwładna została... zaatakowana!

Westchnęłam.

– Kasia nie jest moją podwładną – wyjaśniłam. – Tylko asystentką. Zatrudnia ją gmina, tak jak mnie. Rzeczywiście, jest w sanatorium, dochodzi do siebie.

– Zdaje mi się jednakże, że ta napaść była związana z waszą pracą?

– Mamo, uspokój się. – Nie miałam pojęcia, ile faktycznie wie, ale postanowiłam ściemniać do upadłego. – Kaśka po prostu komuś podpadła i tyle. Wszystko już jest w porządku, nic mi nie grozi.

– No nie wiem, ty wiesz się w coś ładujesz. Od małego. Koniecznie masz być u nas w niedzielę na obiedzie, to jeszcze o tym porozmawiamy. I basta. Słyszysz? Zrozumiałas? Twojemu ojcu też to się przyda. Przyrządź twoje ulubione gołąbki. W sosie pomidorowym, tak jak lubisz.

Już miałam na końcu języka, że gołąbki były moim ulubionym daniem w dzieciństwie, czyli ze czterdziści lat temu, jednak w tym momencie usłyszałam sygnał nadchodzącej wiadomości. Rzuciłam okiem na ekran komputera, to był mail od Artura. Jak to dobrze, że matka o nim nie wie! Miałaby

o czym gadać. Choć od lat powtarza, że mam sobie wreszcie „znaleźć chłopą”, to i tak każdy będzie zły. Na dodatek gliniarz... wykończyłby mnie. Mecenas może by ją na krótką metę zadowolili.

– Przepraszam cię, mamusi, muszę kończyć. Praca mnie ściga. Dbaj o siebie i uściskaj tatę. Zdzwonimy się, pa! – Rozłączyłam się pospiesznie i z ulgą.

Mail od Pałki – z prywatnego konta na prywatne konto (ze służbowego, na które wysłałam notatkę, przyszło tylko potwierdzenie odbioru):

*Kochanie, notka świetna, wyczerpująca, wielkie dzięki. Szybko Ci to poszło! Już widzę tam kilka wątków bardzo ciekawych. Połączenie ochrony „skarbów”, zemsty i misji wymierzania sprawiedliwości z tym przesłaniem militarnym/paramilitarnym, daje pewne wskazówki, gdzie powinniśmy szukać. A fakt, że przypuszczalnie ci sami napastnicy w dwóch różnych napadach oraz w dużych odstępach czasowych noszą na jednakowych kurtkach ten sam symbol, wydaje mi się wskazywać, że nie jest on dla nich wyłącznie ozdobą. Prawdopodobnie, że chodzi tutaj o zorganizowaną grupę przestępczą. Tak też uznał zresztą nasz psychol (czyli, jak się pewnie domyślasz, policyjny ekspert od psychologii). Skupimy się na tym emblemacie i czuję, że szybko ptaszków zlokalizujemy. Bardzo mi pomógłś (zresztą nie po raz pierwszy). Przy okazji przekazać przez Rybę podziękowania dla jego małżonki za pomoc Tobie i nam. Będzie chłopak bardziej zmotywowany ;-)*

*Kocham i tęsknię już mocno.*

*Artur*

Odpisałam od razu:

*Fajnie, że jesteś zadowolony. Złapcie ich szybko! Też tęsknię. Ale przecież widzimy się wieczorem?*

Na co otrzymałam odpowiedź następującą:

*Skarbie, to może się niestety odwlec. Mamy teraz cholernie dużo roboty, bo kiedy wchodzi podejrzenie działania zorganizowanej grupy, sprawa robi się priorytetowa. Więc może będę musiał być tutaj dzień i noc. Dlatego bardzo Cię proszę, bądź ostrożna. Nie wychodź sama z domu wieczorami, nie rób nic bez porozumienia ze mną. Dobrze? Obiecay mi to. Poproszę Rybę, żeby do Ciebie zaglądał, jak będzie na miejscu, lub dał człowieka, który byłby w razie czego pod ręką. Będę dzwonił. Całuję.*

Odpisałam, że się zastosuję, choć żaden „człowiek” nie będzie mi potrzebny. Bo i tak nie miałam pojęcia, co mogłabym zrobić więcej. Jedyne, co mi przyszło do głowy, to Zgorzel. Wątpiłam, żeby policja zwróciła się do niego, ale gdyby nawet, to „bezpieczeństwo” i tak by im nie pomogło. Co innego mnie. Przyjaciółce Grety, która była jego obsesją. Od razu wysłałam mu esemesem opis tego emblematu...

\*\*\*

Jeszcze tego samego dnia pod wieczór znów zadzwonił telefon, wyrwijając ze snu Burego okupującego moje kolana. Siedziałam nad tabletem, wyszukując na chybił trafił informacji o różnych emblematkach i ich wykorzystywaniu przez różne grupy społeczne, zawodowe, religijne, przestępcze i tak dalej. Natrafiłam w sieci na ciekawe materiały i zaczytałam się, więc i mnie niespodziewany dzwonek komórki o tej porze nieco zaskoczył i wystraszył, aż podskoczyłam. Pewnie dlatego Bury się obudził, bo na dźwięki raczej słabo reaguje, trochę już niedosłyszy. Oboje zeskokczyliśmy z kanapy, pies z niesmakiem udał się na antresolę, a ja dopadłam telefonu w ostatniej chwili. To nie Pałka, bo on dzwonił tylko na prywatny, a tym razem odezwała się moja komórka służbowa. Mogła to być ponownie matka, bo często mylą jej się numery. Osiemdziesięciolatce trudno się w zasadzie dziwić, poza tym zawsze była roztargniona. Zerknęłam na wyświetlacz, na szczęście to nie ona. Numeru w pierwszej chwili nie skojarzyłam, choć wydawał mi się jakby znajomy.

– Felicja Stefańska, rzecznik prasowy gminy Kryszewo, słucham? – wysapałam na wdechu do służawki.

– Dobry wieczór. Mówi Tamara Skowronek...

Od razu stałam się czujna.

– O! Dobry wieczór, pani Tamaro!



– Przepraszam, że tak późno, ale zadzwoniłam na ten numer, z którego panie wtedy dzwoniłyście do syna, a wcześniej nie mogłam – urwała.

Była spięta.

– I słusznie pani zrobiła, nie ma problemu – uspokoiłam ją. – Późno chodzić spać. Czy coś się pani przypomniało?

– Tak. To znaczy nie. Ale to, o czym rozmawialiśmy, mnie gryzło. Myślałam o tym i myślałam, aż w końcu nie wytrzymałam i zaczęłam rozpytywać po znajomych mamy. Ona nie była zbyt towarzyska, ale miała kilka koleżanek, zwłaszcza z firmy. Z jedną nawet dość blisko się przyjaźniła, bo były w podobnym wieku, tamta także na emeryturze, ale siedziała nadal na pół etatu w księgowości. Od lat tam razem pracowały, czasem umawiały się na kawę poza pracą. Cud, bo mama rzadko spotykała się z kimś prywatnie. Była pracoholiczką, poza firmą nie istniała. Więc pomyślałam, że jeśli ktokolwiek cokolwiek o niej wie, to tylko ta kobieta. I trafiłam. Pozostałe znajome niby były w żałobie, ale tak naprawdę zapomniały już o mamie i w ogóle niczego już nie pamiętały. A ja udałam, że wciąż nie mogę się pogodzić z jej śmiercią i poszukuję różnych ciekawostek o mamie, rozumie pani, takich okruczeństwa życia. Zresztą to nie do końca kłamstwo...

– Rozumiem, oczywiście.

– No i ta kobieta powiedziała mi ciekawą rzecz. Przypomniało się jej, że krótko przed tym wypadkiem coś się zdarzyło w biurze. Dziwna sprawa, której obie nie rozumiały i właśnie przy kawie o niej rozmawiały. Jak to opowiedzieć, no bo rzeczywiście dziwnie brzmi. Mieli tam jakąś uroczystość z okazji awansu jednego z dyrektorów i przyjęcia go do zarządu, coś w tym stylu, ja się na tym kompletnie nie znam. I pani Żelazna, wie pani, prezeska tej firmy, ta, która później została zamordowana... Boże drogi, mniej więcej w tym samym czasie! No więc pani prezes przyszła do gabinetu tego dyrektora, żeby mu osobiście pogratulować i wręczyć jakiś dyplom, nominację czy coś takiego. Siedzieli w tym gabinecie i nagle prezeska wyszła, i poprosiła mamę, żeby zrobiła jej z tym dyrektorem zdjęcia. Dała jej w tym celu swój iPhone. One znalazły się od początku, pani prezes ufała mojej mamie, a mama była od niedawna sekretarką tego dyrektora. Bo wcześniej pracowała dla innego, ale to nieważne. No więc mama weszła tam za nią. Na biurku dyrektora było mnóstwo kwiatów z oficjalnej uroczystości, pani Żelazna z tym panem ustawili się do zdjęć na ich tle, on trzymał dyplom tak, żeby był dobrze widoczny na zdjęciach. Odświętnie wystrojony w galowy garnitur, z muchą, wybrylantowany, na palcu złoty sygnet, uśmiechał się do obiektywu, wyglądał na zadowolonego z siebie. Ten dyrektor, oczywiście. Ale za to pani prezes zachowywała się niespokojnie. Była nieswoja i podenerwowana. Po wszystkim pogratulowała mu jeszcze i wyszła zaraz za mamą. Podeszła do niej i odebrała swój telefon, nerwowo przejrzała zdjęcia i podziękowała. Już wychodziła, ale zawróciła od drzwi i poprosiła mamę o dyskrecję, to znaczy, żeby w żadnym wypadku nie rozpowszechniała w firmie o tych zdjęciach, które nazwała sesją zdjęciową. Mama się tym zdziwiła, no bo niby co to za tajemnica. Czyba nie mieli romansu? Prezes znacznie starsza od tego mężczyzny, mógłby być jej synem. Ale oczywiście mama danego słowa dotrzymała, nikomu nie mówiła, tylko tej przyjaciółce się zwierzyła, bo ją to gryzło, kiedy pani Żelazna... zginęła. To w sumie chyba wszystko. Ale dziwne, prawda?

– Bardzo dziwne. Ciekawe... – odparłam zamyślona. – Czyli Żelazna telefon od razu zabrała. Zdjęcia nigdzie nigdy nie wypłynęły? Nie ma ich na stronie firmy?

– Nie ma. Sprawdziliśmy razem z synem.

– No to na co jej były? Prywatnie chciała je mieć? – rozmyślałam na głos.

– Na to wygląda. Może jednak mieli romans? Bo podobno pani prezes lubiła mieć facetów w różnym wieku...

– Możliwe. Było ją na nich stać. Ale to już mógłby być jakiś motyw. Dobrze, że pani do tego dotarła i do mnie zadzwoniła, pani Tamaro. Dziękuję za informacje, mogą okazać się bardzo ważne. Spróbuję znaleźć te zdjęcia.

Odszukałam jeszcze raz stronę Budomaxu i ponownie przejrzałam fotografie: żadnych podobnych do opisanych nie znalazłam. Wpadły mi w oczy podobizny Żelaznej, które już wcześniej oglądałam, teraz jednak zwróciłam uwagę na jej nieprzeciętny urok tajemniczej, zjawiskowej, eterycznej blondynki. Trzeba przyznać, że kobieta miała klasę i jakby w ogóle się nie starzała. Do końca wyglądała jak piękna porcelanowa lalka. Zapewne była to też zasługa operacji plastycznych i forsy na pielęgnację urody, ale nie tylko. Greta na przykład wyglądała świetnie, lecz mimo wszystko jak kobieta z krwi i kości, nie jakiś gładki elf z baśni. Być może Sylwia Żelazna wcale nie musiała sobie tych młodych chłopów kupować... Możliwe, że jej pieniądze były dla nich tylko dodatkową atrakcją, miłym dodatkiem do ekscytującego seksu? Kto wie, nie kierujemy się stereotypami.

Poszukałam jeszcze informacji, czyją sekretarką była pani Dobrosława. Dział finansowy. Interesujące. Na podstronie widniało czarno-białe zdjęcie szefa działu: miniaturka niewiele mówiła, ale było

widać, że to młody facet. Dominik Koziół, głosił podpis. Gdzieś już go widziałam. Tylko gdzie i kiedy? Przez ułamek sekundy coś mi zaświtało, po czym umknęło.

Ponieważ było jeszcze przed północą, nie wahałam się, chwyciłam za telefon i zadzwoniłam do Pałki. Raz kozie śmierć. Ze snu go nie wyrwę. Nawet po całym dniu intensywnej pracy nie chodził spać przed drugą: cierpiał na bezsenność.

– Cześć, Artur, nie obudziłam cię? – zapytałam dla formalności.

– Mnie? Skąd! Tak się cieszę, że cię słyszę, kochanie. Chciałem dzwonić, ale bałem się, że już śpisz...

– Ja, o tej porze? – roześmiałam się. – W życiu. Co słychać w pracy?

– Nic nowego. Na razie. Bo uruchomiłem już poszukiwania w podziemiu kryminalnym. A co u ciebie?

Odetchnęłam głęboko.

– No właśnie – podjęłam. – Zadzwoniła do mnie pewna kobieta, córka wieloletniej sekretarki z Budomaxu. Ta sekretarka też już nie żyje, zginęła w wypadku zaraz po śmierci Żelaznej. Nazywała się Kalicka. To długa historia, ale ta Kalicka podobno... Nie, bo zapłaczę się, może jednak zacznę inaczej. Z drugiej strony. Czy w trakcie śledztwa zabezpieczyliście komputery i telefony Żelaznej?

– Oczywiście, że tak! – odparł zdumiony i nagle ostrożny.

– I coś na nich znaleźliście?

– Wiele rzeczy, ale nic, co wiązałyby się bezpośrednio z zabójstwem. Nasz technik dokładnie wszystko przejrzał, sprawdził bilingi, wiadomości tekstowe z jej telefonów, pocztę elektroniczną, wszystkie pliki, również usunięte, w obu komputerach osobistych, stacjonarnym i laptopie, a także na sprzęcie z pracy, historię przeglądarki i tak dalej. Miała tam różne rzeczy związane z firmą, notatki, poza tym prywatne wiadomości, zdjęcia z wakacji, z imprez, towarzyskie...

– A na swoim prywatnym telefonie komórkowym?

– Nic ciekawego, uwierz mi.

– Jakies zdjęcia?

– Pełno. Jak mówilem, zwyczajne fotki z codziennego życia. Ale czego ty właściwie szukasz? Co spodziewałabyś się tam znaleźć? – zapytał z dość kiepsko ukrywanym zainteresowaniem.

– Właśnie takich fotek. Czy mógłbyś je jeszcze raz ze mną przejrzeć? Albo zgrać je i mi przesłać?

– Po co ci one?

– Później ci wytłumaczę, bo to trochę skomplikowane. Zaufaj mi! Przecież bez powodu nie proszę. Chwila milczenia.

– Dobrze – westchnął. – Niech ci będzie, rano będziesz je miała na wirtualnym dysku. I chcę poznać całą historię, która za tym stoi. Słyszysz? Nie igrzaj ze mną, skarbie. Obiecałaś, że nie będziesz niczego przede mną ukrywać.

– I nie ukrywam. Wszystko ci jutro opowiem, tylko sprawdzę, czy to w ogóle ma jakiś sens. Dzięki, Artur.

– Okej. A ja, głupi, myślałem, że dzwonisz, bo się za mną stęskniłaś... – Znów dramatycznie westchnął.

– To przy okazji, wariacie. Przecież wiesz, że stale za tobą tęsknię!

Roześmiałam się.

– Jesteś bezpieczna? – zaczął dociekać. – Nikt cię nie niepokoił?

– Wszystko w porządku, wyluzuj.

– To dobrze. Nie zamierzam w tym przypadku wyluzować, za dobrze cię znam. Uważaj na siebie, nie szalej.

– Obiecuję. Dobranoc, kochany.

– Śpij słodko.

\*\*\*

Rano szybko włączyłam komputer i weszłam na wirtualny dysk: zdjęcia doszły, było ich kilkadziesiąt. Artur dotrzymał słowa, nie zapomniał. Zaczęłam łądować pocztę, żeby wcześniej odpowiedzieć na służbowe maile, i poszłam się umyć. Potem nastawiłam ekspres i przygotowałam śniadanie dla siebie i Burego. Wskoczyłam w wysłużony dres, włosy związałam gumką, żeby nie przeszkadzały w pracy. Z kanapką w rękę i mocną kawą wróciłam do biurka, sprawdziłam wiadomości, odpisałam na kilka najpilniejszych. Wreszcie mogłam wrócić do zdjęć. Najpierw przejrzałam je pobieżnie: większość to pamiątkowe foty z różnych egzotycznych wakacji i wyjazdów służbowych. Te pominęłam, nawet ich

nie otwierałam. Aż wreszcie dotarłam tam, gdzie trzeba. Znalazłam serię wykonanych na gorąco ujęć, to musiała być właśnie ta „sesja”: elegancki gabinet, kwiaty, sztywna, sztucznie uśmiechnięta Żelazna oraz szczerze i radośnie wyszczerzony do kamery ulizany młody człowiek w garniturze. Przystojny brunecik, którego gęba wciąż wydawała mi się znajoma. Zaraz, zaraz... to chyba właśnie on mignął mi wtedy na parkingu firmowym Budomaxu! Tak, to mógł być ten sam lalkowaty brunecik. Choć dziwne, bo facet już wtedy wydał mi się znajomy. Dlatego – pomijając oczywiście jego zachowanie przy moim samochodzie – w ogóle zwróciłam na niego uwagę.

Skupiłam się na zdjęciach. Część fotek pstryknięta z dystansu, rzut oka na całą scenę, bukiety, dyplomy na ścianach. Najciekawsze było ostatnie zdjęcie. Zbliżenie obu postaci, ewidentnie starannie upozowanych do fotografii. Oczywiście Żelazna ustawiona dyskretnie za plecami bohatera dnia. Piękna jak zawsze, chłodna, tym razem się nie uśmiechała, zerkająca na swojego towarzysza z dziwnym wyrazem twarzy. Było w jej spojrzeniu napięcie w połączeniu z czymś jeszcze... z obawą? Nienawiścią? Groźbą? Nie wiem, to raczej zadanie dla psychologa. Dla mnie ważniejszy był pierwszy plan, a na nim młody – bardzo młody, z bliska oceniałam, że może nawet poniżej trzydziestki – paniczek, dyrektor finansowy, za wielkim rzeźbionym gdańskim biurkiem, tuż obok wielkiego kosza czarnych róż, dumnie eksponujący coś w rodzaju wielkiego pamiątkowego dyplomu. Przybliżyłam go. Znajdowały się na nim gładkie, konwencjonalne gratulacje najwyraźniej z „żartobliwym” przesłaniem: witamy w zarządzie, życzymy połamania stołka, takie tam korporacyjne bzdurki. Dalej podpisy, najpewniej członków zarządu. Niżej podpis prezski. A bezpośrednio pod nim podpis dyrektora: Dominik Koziel. I jeszcze niżej purpurowa, stylizowana na średniowieczną, ozdobna pieczęć z logo Budomaxu. Jeszcze większe zbliżenie. Facet trzymał dyplom obu dłońmi, na palcu prawej miał wielki złoty sygnet. Rzucił się w oczy. Nie był tutaj dobrze widoczny – przy zbliżeniu trafił na ostrości – niemniej jednak rozpoznawalny. Gorączkowo zastanawiałam się, czemu Żelazna robiła z tych zdjęć taką tajemnicę. Co to za spisek? Nadal tego nie rozumiałam, ale czułam, że to kluczowa kwestia.

O sygnecie wspominała Greta oraz Ryba i Pałka, a także Kaśka w swoim notatniku. Ale miał to być pierścień „starego” Żelaznego.

Pierścień, który zaginął.

Za dużo pierścieni w tej sprawie...

Przynajmniej wiedziałam, gdzie szukać. Sięgnęłam po telefon i zadzwoniłam do Pałki, by zdać mu relację ze swoich ostatnich ustaleń.

Kilka godzin później, kiedy wróciłam do domu z Budomaxu, gdzie nie zostałam wpuszczona, ponieważ nie umówiłam wcześniej wizyty, zniecka zadzwoniła Kaśka.

– Masz czas? – zapytała na wstępie. – Bo coś ci chciałam...

– Mów, nie owijaj w sreberka. Doskonale wiesz, że gdybym nie miała czasu, tobym nie odebrała.

– Bo był u mnie ten twój... ten komisarz. Pytał mnie o jakieś zdjęcia, dyplom z pieczęcią i o sekretarkę z firmy Żelaznych. Mówił, że to od ciebie wyszło. Wiesz, ciągle jeszcze nie do końca wszystkich pamiętałam, ale coraz więcej mi się przypomina. No i w związku z tym coś mi się przypomniało. Muszę ci o tym opowiedzieć.

– No to wal, Kaśka! – zachęciłam ją, jednocześnie sypiąc do miski warzywno-mięsne chrupy dla Burego.

– Dobrze. – Lekkie zawahanie. – To może prosto z mostu. Nie pamiętam sekretarki, ale myślę, że spotkałam się z nią tamtego dnia. Mam w pamięci jakieś obrazy, bardzo niewyraźne. Jeden z nich jest jednak dość ostry. Tylko ten jeden. Ktoś pokazuje mi zdjęcie na telefonie. Widnieje na nim dyplom z pieczęcią. Kolorowy, złoczone brzegi... Pieczęć w staroświeckim stylu, dekoracyjna, bordowa. Ze stylizowanym napisem: BUDOMAX. Nie taka sobie zwyczajna pieczęćka. To tylko obraz, ale musiał mi mocno utkwic. Od dawna czułam, że to jest ważne, bo śniło mi się to. Na początku mówiłam wam o karcie z pieczęcią. Wtedy jeszcze nic więcej nie pamiętałam, tylko mgliście coś mi świtało...

Usiadłam na fotelu, by się skupić.

– To, cholera, bardzo ważne – odparłam. – Spróbuj sobie przypomnieć, ile możesz. Było tam więcej zdjęć?

– Gdzie? – nie rozumiała.

– Na tym telefonie! Jacyś ludzie?

– Nie, chyba nie. Chyba było tylko to jedno. Sam dyplom, zbliżenie. Myślę, że pokazała mi je ta sekretarka, która zaraz potem... Kurczę! – Kaśka wybuchła. – Która zaraz po mnie została zepchnięta ze schodów, jestem tego pewna! Dopiero teraz zrozumiałam, że tylko cudem nie zginęłam!

– Nie myśl o tym, na szczęście przeżyłaś. Co jeszcze pamiętasz?

– W sumie nic więcej. Nawet nie pamiętam, jak wyglądała. Później napad, łysole na czarno z tym... logo. – Głos jej zadrział.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo pomogłaś z tym emblematem.

– Mam nadzieję, że złapią tych sukinsynów – dodała mściwie.

– Powiedziałaś Palczyńskiemu o tym dyplomie?

– Jeszcze nie. Chciałam najpierw tobie, po pierwsze, żeby się nie ośmieszyć, jeśli się mylę, po drugie... bo jestem lojalna. To nasze śledztwo!

Zaśmiałam się.

– Doceniam. Ale nie możemy w ten sposób myśleć. Oficjalnie to policja prowadzi śledztwo. Dobra, jakby co, biorę to na siebie. Sama to przekażę Palce. A jeśli ktoś od nich znowu przyjdzie cię wypytywać, to im powiedz i dodaj, że właśnie sobie przypomniałaś.

– Okej.

– A ja zyskam trochę czasu.

– Zaczekaj! – Kaśka wzięła głęboki wdech. – Jeszcze coś mi się kojarzy. To chyba bardziej intuicja niż konkrety, ale... idź do urzędu, do archiwum. Możesz przez panią Gretę, możesz przez bibliotekarkę. Tam są stare kroniki i książki pamiątkowe. Przejrzyj je, chodzi mi przede wszystkim o te z czasów, kiedy firma Żelaznych dopiero raczkowała – zawiesiła głos w oczekiwaniu na moją reakcję.

Uderzyło mnie to jak ubuchem w głowę. Oczywiście, że tak! Ależ idiotka ze mnie! Jak mogłam zapomnieć o starych kronikach, przecież już raz doprowadziły mnie do rozwiązania innej zagadki.

– Masz rację, Kasiu, dzięki za podpowiedź – odezwałam się skruszona. – Jasne. Jutro z samego rana tam pójde. Myśl dalej, może coś ci się jeszcze przypomni. Wtedy dzwoń nawet w środku nocy!

– Oczywiście. Felicja, uważaj na siebie. Teraz jesteś w tym samym punkcie, w jakim byłam wtedy.

– Nie martw się o mnie. Teraz jest trochę inaczej. Gliny są już na ich tropie, a tutaj też mnie pilnują, dlatego mam trochę utrudnione zadanie. I fakt, dobrze kombinowałaś, współniczko. Chciałabym być o krok przed nimi. Głupia ambicja zawodowa, wiem, ale to jest silniejsze ode mnie...

– Przecież rozumiem – zachichotała. – Powodzenia!

Po tej rozmowie, zapominając o kurtce, którą wciąż jeszcze miałam na sobie od powrotu z Budomaxu, wystukałam numer Tamary Skowronek, myśląc, że takiego boomu na telefony – w sensie połączeń przychodzących i wychodzących – nie miałam już od dawna.

– Pani Stefańska? O, dzień dobry! Czy już coś wiadomo? – Z nadzieją odezwała się córka nieżyjącej sekretarki.

– Pani Tamaro, ja właśnie w tej sprawie. Na razie mam do pani tylko jedno pytanie, ale bardzo ważne...

– Tak, słucham.

– Prozę sprawdzić w komórce mamy, czyli tej, na którą teraz dzwonię, czy jest tam zdjęcie dyplomu.

– Dyplomu? Aha, tego dyplomu, rozumiem! Ale jak? Gdzie?

– Zapewne w galerii zdjęć albo w wiadomościach. Proszę poszukać.

– Ale ja się na tym telefonie w ogóle nie znam, to taki kosmos, a syna akurat nie ma w domu – usłyszałam rozpaczliwe wyznanie. – Zwłaszcza że... teraz rozmawiamy, to już zupełnie nie wiem, jak szukać.

Westchnęłam. Będę musiała być cierpliwa.

– Pani Tamaro, wobec tego rozłączam się, a pani niech wejdzie najpierw w galerię. Jeśli nie będzie tam takiego zdjęcia, to może w esemesach. Niech pani dokładnie sprawdzi i oddzwoni, dobrze?

– Dobrze.

Wyłączyłam się i czekałam z bijącym sercem, spoglądając w okno, za którym zachodzące słońce barwiło chmury w pastelowej złotoróżowej tonacji. Dopiero teraz zdjęłam kurtkę i wpuściłam Burego, który skakał w ogrodzie pod okiem gospodarza, a teraz witał się ze mną po raz wtóry. Po drugiej stronie ulicy, pod segmentem sklepów na skraju osiedla, stał radiowóz, podobno od paru godzin. Tak przynajmniej twierdził gospodarz. Ciekawe, czy to ktoś od Ryby, pomyślałam z roztargnieniem. Bo Pałki tu nadal nie było, więc może mnie pilnują?

Liczyłam czas, pewnie dlatego cholernie mi się dłużył. Kiedy w końcu usłyszałam ostry sygnał przychodzącego esemesa, aż podskoczyłam. Dotknęłam ekranu, na którym pojawiła się fotka. Dyplom. Ten sam, co na zdjęciach u Żelaznej. Widocznie sekretarka niepostrzeżenie go też uwieczniła – na przykład wynosząc filiżanki z gabinetu – i zdążyła pokazać Kaśce kilka dni przed swoją śmiercią. Tutaj, na zbliżeniu, stylizowana na średniowieczną pieczęć widniała w całej okazałości.

Wszystko się zgadzało. Idealnie!

Po chwili rozległ się dzwonek telefonu. Tamara.

– Znalazłam! – Jej głos był rozradowany. – To ten, prawda? Był w tej galerii. Dobrze, że syn przypadkiem nie wykasował. Bo poza tym zdjęciem mama w zasadzie nic tam nie miała. Z trudem, ale w końcu doszłam, jak toto otworzyć, i nawet udało mi się przesłać go do pani! – trajkotała z dumą.

– Tak, to ten. Dziękuję, pani Tamaro. Świetnie sobie pani poradziła.

– Czy to jakiś dowód? Pomoże wam?

– Myśle, że bardzo. Zadzwoń, jeśli tylko dowiem się czegoś więcej – obiecałam, nie zdradzając jednak, że wreszcie wszystko zaczęło mi się układać.

Zdjęcie dyplomu od razu wysłałam Kasi. Natychmiast je rozpoznała. Była pewna, że tę samą fotkę ktoś – teraz już było wiadomo, że sekretarka – pokazywał jej na wyświetlaczu smartfona. Przesłałam je także do Pałki z dopiskiem: „Pieczęć!!!”. Uznałam, że to mu powinno wystarczyć, i jesteśmy kwita z policją w tej sprawie. Dalej niech sami kombinują, w końcu znaleźliśmy się w tym samym punkcie.

\*\*\*

O poranku pognałam do gminy, najpierw uprzedzając o tym Gretę i prosząc ją, żeby była na miejscu, bo będę potrzebowała pomocy. Wiedziałam już, czego szukać. Noc miałam do bani, emocje nie pozwoliły mi zasnąć, a jak już wreszcie przysnęłam, to budziłam się co chwilę dręczona koszmarami.

Przed szóstą wkurzyłam się i wstałam gotowa do działania. Bury spał w najlepsze, posapując, więc zostawiłam mu napełnioną ulubionymi chrupkami miskę, zmusiłam się do zjedzenia czegoś w rodzaju śniadania, na które składały się jogurt, mocna kawa i kilka pierwszych, dorodnych – zapewne jeszcze z importu – truskawek. O tej porze dnia pojęcie „głód” dla mnie nie istnieje. Po kawie wypilałam kubek czarnej herbaty, po czym ubrałam się i zostawiłam na dole w drzwiach kartkę dla gospodyni, żeby zajęła się psem, jeśli szybko nie wróce.

Greta stanęła na wysokości zadania i czekała na mnie z kluczem. Urząd był jeszcze zamknięty. Wydawała się bardziej senna i niewyspana ode mnie, ale nie pisnęła ani słowa na ten temat. Nawet nie zrobiła makijażu, widocznie nie zdążyła. Mimo to wyglądała elegancko jak zawsze, chociaż tym razem miała na sobie zwykłe dżinsy i lekki lawendowy sweterek. W jego wycięciu połyskiwały dyskretnie srebrny łańcuszek. Pomyślałam zazdrośnie, że Greta nawet w piżamie prezentowałaby się jak dama. Ma klasę, trzeba jej to przyznać. Też byłam w dżinsach i swetrze, a nie wyglądałam tak jak ona. Nawet w wieczorowej sukni mogłabym się przy niej schować, bo i tak przypominałabym gawrosza w kobiecym przebraniu.

– To czego potrzebujesz? – zapytała, gdy weszliśmy do środka. Dziwne wrażenie sprawiał ten gmach, kiedy świecił pustkami. Z nawyku skierowała się do swojego gabinetu, ale powstrzymałam ją.

– Archiwum – wyjaśniłam. – Potrzebuję waszych ksiąg pamiątkowych. Tych samych, które już kiedyś razem oglądaliśmy, szukając regionalnych legend. Pamiętasz?

– Pewnie, że pamiętam! To nie było aż tak dawno. Chodzi ci o kroniki gminne. Myślałam tylko, żeby najpierw napić się kawy...

Na myśl o kolejnej kawie zrobiło mi się niedobrze.

– Wiem, że się przeze mnie wyspałaś. Sorki, Gretka. Zaprowadź mnie tam i wróć do gabinetu – zaproponowałam. – Potrzebuję twojej pomocy w znalezieniu odpowiednich roczników.

– Nie ma sprawy. Idziemy. A potem zaparzę sobie morze kawy, a tobie herbatę, bo pewnie wolisz?

– Wolę – uśmiechnęłam się.

Szybko uporaliśmy się z rocznikami, po czym Greta zostawiła mnie na chwilę samą w pokoju archiwum, obiecując, że wróci, gdy wleję w siebie odpowiednią porcję kofeiny. Zaczęłam wertować księgi, poczynawszy od roku dziewięćdziesiątego, i szybko znalazłam właściwe strony. Była tam relacja najpierw z uroczystego otwarcia w Kryszkowie budynku firmy Budomax, przecinanie wstęgi w towarzystwie ówczesnego wójta i obowiązkowo proboszcza parafii, rozpoznawałam na zdjęciach oboje Żelaznych oraz kilka osób z gminy i firmy. Ale nic, co by mnie zaskoczyło lub zaintrygowało. W kronice z następnego roku uwieczniono kolejne wydarzenie: huczne przekazanie do użytku hali sportowej z basenem dla dzieci z terenu gminy. Znaczący udział w inwestycji miał lokalny sponsor, firma Żelaznych. Bez niej obiekt prawdopodobnie jeszcze długo pozostawałby nieukończony. Mnóstwo fotek, już kolorowych, robionych zapewne tak modnym wtedy „głupkiem” – zautomatyzowanym aparacie kompaktowym. Grupy, grupki, wszyscy wystrojeni, roześmiani, w objęciach, w parach, pełno podobnych do siebie ujęć. I nagle dostrzegłam to, o co mi chodziło. Duże zdjęcie. Na nim Aleksander – Olek – Żelazny, młody, energiczny, rozradowany, z jakąś kolorową „laurką” od swojej firmy dla dzieciaków w rękę, którą dumnie prezentował do obiektywu. Rzuciła mi się w oczy ozdobna pieczęć, ewidentnie ta sama! A na palcu

darczyńcy sygnet. W tym przypadku nie mogłam mieć pewności, lecz wyglądał identycznie z tym, który widziałam na zdjęciach u dyrektora Dominika Kozieła. Tego się spodziewałam, a przynajmniej miałam nadzieję, że coś takiego tu znajdę. Jednak co innego przykuło moją uwagę...

Wpatrywałam się w fotografię ze zmarszczonym czołem, gdy do archiwum wróciła Greta, otwierając sobie drzwi łokciem. Przyniosła kubek kawy i herbatę dla mnie.

– No i co tam? – zapytała, stawiając kubki na stole za kronikami. – Znalazłaś to, czego szukałaś?

– Znalazłam. Ale popatrz na to! – Pokazałam jej zdjęcie.

Greta zerknęła i wruszyła ramionami.

– No, Żelazny. Tak wyglądał. Dobrze go pamiętam. Muszę przyznać, że miał osobowość, choć za nim nie przepadałam. To z jakiejś gminnej uroczystości. A co?

– Przyjrzyj się dokładnie. Po pierwsze, pieczęć, którą zapamiętała Kaśka. I sygnet, zapewne ten, który podobno zaginął. Jednak nie o to mi chodzi. Czy nic nie zwróciło twojej uwagi?

– Nie wiem. – W napięciu przyglądała się fotografii. – Nie kojarzę. Swoją drogą, jaki on był inny niż ich syn, kompletne przeciwieństwo...

– Patryk? Daj mu spokój! – zniecierpliwiałam się. – Uczepiliście się wszyscy tego chłopaka. Patryk jest zupełnie inny, to fakt, nie ten typ urody: blondyn, smukły, podobny do matki. Ale nie o niego chodzi. Popatrz uważnie.

Pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia, nic więcej nie widzę – westchnęła wreszcie zrezygnowana.

– Zaraz ci powiem. Mogę to sfotografować?

– Jasne. Nie ma przeszkód. A potem chodźmy do mnie, tam wszystko mi wyjaśnisz.

Powiedziałam jej. Najpierw zdawała się zaskoczona, ale bardzo szybko przyznała mi rację.

– Patrz, do głowy by mi nie przyszło! – Wciąż przypatrywała się zdjęciom, tym razem na ekranie mojego telefonu. – Nadal trudno mi to ogarnąć...

– Umknęło ci. Tak to jest, kiedy ma się przed oczami oczywistości, przestajemy je zauważać. Dopiero teraz na to wpadłam, choć coś mi już wcześniej świtało. Ale jestem tu nowa, nie znałam wcześniej tych osób, więc może mam świeższe spojrzenie – pocieszyłam ją.

– Prawdopodobnie tak – odetchnęła. – Cholera. A powinnam pierwsza to zauważyć! Znałam ich z tamtych lat.

– Dobra, szkoda czasu na robienie sobie wyrzutów. Co teraz?

Greta dopiła kawę i odstawiła kubki.

– Po co pytasz. Dobrze wiesz, co – odparła.

– Masz czas? Bo wolałabym iść tam z tobą.

– Znowu mam robić za obstawę?

– Coś w tym rodzaju, Gretko. Ciebie nikt nie odważy się splawić. Za chwilę jedziemy, tylko zadzwonię do Pałki...

– Zamierzasz mu powiedzieć? – zdziwiła się.

– Nie do końca. – Mrugnęłam. – Częściowo muszę, choćby po to, żeby zabezpieczyć sobie tyły.

– No to dzwoń, dzwoń, jak najbardziej popieram. Wolałabym raczej nie zadzierać z policją.

Wybrałam numer Palczyńskiego, ale długo nie odbierał, włączała się poczta głosowa. Dopiero za trzecim razem mi się udało.

– Felicja, wybacz, skarbie, ale jestem na naradzie...

– Zajmę ci tylko chwilę.

– Czy coś się stało? – W głosie Pałki zabrzmiał niepokój.

– Nic się nie stało. Czy będziesz wieczorem?

Odetchnął.

– Chciałbym, ale...

– Okej, nie ma sprawy, doskonale rozumiem. Zresztą tak myślałam, chciałam się tylko upewnić.

– Mamy cholernie dużo roboty – wszedł mi w słowo. – Ale posuwamy się naprzód. Wiesz, te zdjęcia. Miałaś rację, dają nowy punkt widzenia. Właśnie omawialiśmy to w zespole.

– No właśnie, Artur. Chcemy z Gretą jechać zaraz do Budomaxu.

– Ale po co? Zostawcie to nam.

– Tylko pogadać. Nie martw się, nie zrobimy niczego głupiego. Pojawię się tam jako dziennikarka. Nie odpuszczę, mam do tego prawo. Mówię ci o tym na wszelki wypadek, bo jestem już dużą, rozsądną dziewczynką.

Westchnął przeciągle.

– Błagam, tylko uważajcie! Bądź ostrożna, Felicjo. Obiecuję.

– Obiecuję. Oczywiście, mój komisarzu. – Czasem tak do niego mówiłam. Śmiał się, ale lubił to określenie.

– I tak będę się martwił. Zdzwońmy się później, muszę wracać na zebranie. Kocham.

– Ja też. – Rozłączyłam się z lekkimi wyrzutami sumienia i motylami w brzuchu. Tak na mnie działał.

– Załatwione. Zbierajmy się! – rzuciłam do Greta.

– Jeszcze chwileczkę. – Stała przy drukarce. – Tylko coś wydrukuję. Może nam się przyda...

Do Budomaxu pojechałyśmy samochodem Greta. Zaparkowałyśmy przed wejściem do firmy, bez problemów, bo strażnik pilnujący parkingu rozpoznał panią wójt. Zazwyczaj pytali, w jakim celu ktoś chce wjechać, czy jest klientem albo współpracownikiem, czy wizyta została umówiona i tak dalej. Tylko pracownicy firmy mieli stałe miejsca i identyfikatory. Dziś na szczęście obyło się bez tłumaczeń. Obie byłyśmy i tak wystarczająco spięte, idąc do wejścia.

– Ciekawe, czy go zastaniemy – odezwała się Greta.

– Zastaniemy – odparłam, wskazując ręką w stronę parkingu, gdzie stało lśniące sportowe auto w kolorze dojrzalej wiśni. – O, tam stoi jego wozik. Drugiego tak wypasionego chyba nawet tutaj nikt inny nie posiada.

Zdziwiła się.

– Skąd wiesz? Myślałam, że go nie znasz.

– Bo nie znam. – Wzruszyłam ramionami. – Ale raz mi tu przemknął. Mówiłam ci. Wtedy jeszcze nie miałam pojęcia, że to on.

– A, racja, coś sobie przypominam. Mam nadzieję, że nie idziemy właśnie na spotkanie z mordercą. Dobra, to teraz poważny wyzwał twarzą! Skup się i wyprostuj, do diabła, postawa! Wchodzimy...

Z portierem też nie było kłopotów. Gdy dowiedział się, kogo ma przed sobą, od razu sięgnął po słuchawkę, by zaanonsować nas „panu dyrektorowi”. Na mnie zerkał podejrzliwie, być może mnie zapamiętał, o ile to ten sam pracownik. Chyba tak, a może po prostu tutaj nie pasuję?

Widocznie otrzymał stosowne polecenie z góry, bo poprosił, żebyśmy chwilę zaczekały, aż ktoś po nas zejdzie. Dalej wszystko potoczyło się tak jak zwykle, czyli jak za mojego ostatniego pobytu w tym szacownym miejscu. Po kilku minutach pojawił się ulizany android – nie wiem, czy ten sam, bo oni wszyscy wydawali mi się identyczni – i zawiózł nas na piętro, a następnie wprowadził do gabinetu, którego wnętrze rozpoznałam ze zdjęć. Na szczęście tutaj nie było włóchatych dywanów, tylko wyfroterowana do połysku podłoga. Na powitanie zza wielkiego biurka podniósł się Dominik Kozieł. Wyglądał niczym szlachetniejsza matryca wszystkich pozostałych zatrudnionych w firmie Żelaznej androidów. Szczupły, ale wysportowany, zapewne dobrze wytrenowany w siłowni. Bardzo młody, szczególnie jak na dyrektora tak ważnego działu. Mimo kiepskiej tegorocznej wiosny opalony na kawowy brąz, co podkreślało idealną, wręcz nienaturalną biel zębów. „Chyba że są sztuczne”, pomyślałam z rozbawieniem. Ciemne włosy, modnie przycięte, utrzymywała w perfekcyjnej formie lśniąca brylantyna. No i elegancki garnitur. Greta pewnie zna markę, ja nie śledzę modowych trendów. Prawdę mówiąc, wisi mi to.

– Witam szanowne panie – odezwał się z bijącym po oczach uśmiechem. – Zapraszam uprzejmie. Proszę usiąść.

Usiadłyśmy.

– To dla mnie zaszczyt, pani wójt. Z czym panie do mnie przychodzą? – Ten też zerkał na mnie ukradkiem.

Wstęp pozostawiłam Grecie, tak jak się umówiłyśmy. Siedziałam, milcząc i tylko obserwując rozwój sytuacji. Greta wyjęła z torebki przygotowaną kartkę i położyła ją na biurku, tuż przed nosem Dominika.

– Potrzebuję pańskiej pieczętki, panie dyrektorze – wyjaśniła grzecznie, włączając swój najlepszy zawodowy uśmiech. Choć uzębieniem, mimo najszczerzych chęci, nie mogła mu dorównać. Miała zdrowe, ale naturalne zęby.

– A cóż to jest? – zapytała.

– Formalność. Potwierdzenie darowizny od państwa firmy w związku z organizacją przez gminę imprezy sportowej dla młodzieży szkolnej z ostatnich wakacji. Dla naszej księgowości – wyjaśniła.

– Ach, oczywiście. Ale czy myśmy już tego nie potwierdzali?

– Być może, ale nie mogłam znaleźć tego dokumentu, a nie udało nam się skontaktować z pana asystentką... panią, o ile sobie dobrze przypominam, Kalicką, która prowadziła dla nas tę sprawę. Nie pamiętam zresztą, czy to pan już zajmował wtedy to stanowisko, czy też może jeszcze pańska mama? – dodała z troską.

Dyrektor spochmurniał.

– Nie ma znaczenia, kto się zajmował. Poza tym zgadza się – odparł sucho. – Od paru miesięcy mam nową sekretarkę. W zasadzie ona by do tego paniom wystarczyła, ale nie ma problemu, już podpisuję...

Machnął zamaszty podpis i wyjął pieczętkę, podbił, oddał papier Grecie. Greta podała go mnie. Zerknęłam: to był zwykły firmowy stempel.

– Pan miał ładniejszą pieczęć, taką stylizowaną, ozdobną. Wygrawerowaną na sygnecie, jak u średniowiecznego króla. Prawda? – włączyłam się do rozmowy.

– Słucham? – zwrócił się do mnie uprzejmie, lecz w jego głosie dało się wyczuć napięcie. – Czyżby ta pieczętka państwu nie wystarczyła? Właśnie się zastanawiałem, po co do tej prostej biurokratycznej czynności potrzebna jest urzędowi gminy... prasa. Bo chyba dobrze panią identyfikuję. Pani dziennikarka od dziwnego pojazdu. Prawda? – Odpłacił mi pięknym za nadobne.

– Panie dyrektorze, tamto pismo to nie wszystko, z czym do pana dzisiaj przychodzimy – wtrąciła spokojnie Greta.

– Aha. Rozumiem, pani wójt. Z czym więc...

– Dobrze mnie pan identyfikuje. Felicja Stefańska, rzeczniczka prasowa urzędu gminy. Ale wróćmy może do pieczęci – podchwyciłam. – Czy posiada pan taki sygnet ze stylizowaną pieczęcią?

– Nie wiem, o czym pani mówi. Pierwsze słyszę. – Rozparł się w swoim fotelu, prezentując kamienny wyraz twarzy.

„Teraz mój kolejny ruch”, pomyślałam z satysfakcją. Wyjęłam komórkę i odszukałam na niej zdjęcie dyplomu. Powiększone na cały ekran podsunęłam mu pod nos. Zauważyłam, że drgnęła mu powieka. Znieruchomiał, jakby skamieniał, trwając jak posąg – albo odłączony od zasilania robot – przez dłuższą chwilę.

– Co to ma być?! Skąd to zdjęcie i jakim cudem znalazło się w pani telefonie?! – zaatakował z trudem hamowaną furją.

– Może ja to panu dyrektorowi pokrótce wyjaśnię – zaproponowała Greta. – To dłuższa historia...

Gdy Greta relacjonowała ciąg zdarzeń – nie wszystko, oczywiście, tylko tyle, ile wymaga konieczność, już w drodze omówiliśmy tę kwestię – Dominik Koziół siedział napuszony i bawił się złotym piórem. Ręką lekko mu drżała, co usiłował ukryć, i nerwowo mrugał. Gdy umilkła, jeszcze przez chwilę skupił się na piórze, po czym rzucił je na biurko i wzruszył ramionami.

– No dobrze – rzekł butnie. – Miałem taką pieczęć. I co w związku z tym? Jakie panie macie właściwie uprawnienia, by mnie przesłuchiwać?

– Panie dyrektorze, ta pieczęć wiąże się z sygnetem, który zaginął po zabójstwie Aleksandra Żelaznego. I ma prawdopodobnie ścisły związek ze śmiercią jego żony parę miesięcy temu – powiedziała Greta. – Chcemy to wyjaśnić dla pańskiego dobra. Proszę mi wierzyć, przyjechałam tutaj nie tylko oficjalnie, z urzędu. Jestem to winna pana matce, z którą znamy się od młodych lat.

– Ale jeśli pan sobie tego nie życzy – podchwyciłam – to nie ma problemu. Możemy od razu dzwonić na policję, tam już na pana czekają. Przyjadą, założą panu kajdanki, wyprowadzą na oczach wszystkich pracowników firmy, a potem wsadzą do radiowozu i zawiozą na komendę, gdzie odbędzie się oficjalne przesłuchanie – dodałam mściwie.

– Może pan nie wie, ale obecna tu pani rzeczniczka współpracuje z policją. Mogę zaręczyć, że doskonale się w tym wszystkim orientuje. – Greta postarała się, by w jej głosie zabrzmiała autentyczna troska.

Mężczyzna najpierw spaśował, a następnie zbladł. Najwyraźniej gorączkowo myślał, bo po chwili odezwał się już zupełnie innym tonem, bardziej ugodowym:

– W porządku. Ale co ja mogę powiedzieć...

– Prawdę – odpowiedziała mu Greta.

– Dobra. To powiem, jak było, a wnioski same wyciągnijcie. Jakiś czas temu matka pokazała mi ten sygnet. Wypadł jej przy okazji szukania czegoś i wtedy powiedziała mi o nim. Że należał do pana Żelaznego, ale jeszcze jakiś czas przed swoją śmiercią dał go mojemu ojcu, zrozumiałem, że na przechowanie. Bo wątpię, żeby w prezencie. Kolegowali się, ojciec był wtedy w zarządzie firmy. Bywali razem na różnych biznesowych spotkaniach. Możliwe, że pan Żelazny z jakiegoś powodu nie chciał się z tym sygnetem obnosić. Tam miały miejsce różne... no, różne kontakty. Z politykami, biskupami, z mafią, ze służbą bezpieczeństwa. Nie znalazłem tego, jeszcze mnie nie było na świecie. W każdym razie po jego śmierci ten pierścień został u moich rodziców, a później, gdy się rozwiedli, u matki. Nikt wtedy o niego nie pytał. Najpierw o nim zapomniiała, a potem, jak mi się przyznała, bała się ujawnić, bo wokół zabójstwa pana Aleksandra za dużo się działo. No i moja wina, bo... teraz wiem, że głupio... uznałem, że po tylu latach niebezpieczeństwo minęło. Proszę mnie zrozumieć. Wtedy jeszcze wszystko wyglądało inaczej. Sylwia, pani prezes, żyła. Sprawa zabójstwa jej męża była od dawna zamknięta. To już historia! O sygnecie nikt nie pamiętał. Pomyślałem, że warto go jej zwrócić, przecież to dla niej pamiątka



rodzinna. Mój błąd, że nie skonsultowałem tego z matką, tylko jak gówniarz założyłem go sobie na palec przy okazji uroczystości wprowadzającej mnie do zarządu firmy. To miała być niespodzianka dla Sylwii. No i chyba była, sądząc z tego, co panie opowiadacie... – Zamilkł, spoglądając na nas z mieszaniną wstydu i poczucia winy. Sprawiał wrażenie niesforemno chłopca na dywaniku u dyrektora szkoły.

– I co było potem? Oddał go jej pan?

– Próbowalem, ale nie było okazji. Ona wtedy wyszła od razu po tej sesji zdjęciowej. Teraz już rozumiem, czemu była taka zdenerwowana. Chyba radość i duma z awansu przyćmiły mi rozum. Matka się wściekła i kazała mi schować sygnet do sejfu. Powiedziała, że sama chce go Sylwii zwrócić, ale w stosownym momencie, i że to jej decyzja, nie moja. A potem Sylwia została zamordowana i o sygnecie znowu zapomnieliśmy. – Kozieł sięgnął po pióro zapewne po to, by zająć czymś trzęsące się dłonie.

– Czy to pan zamordował Sylwię Żelazną? – wypaliłam ostro. Chciałam go zaskoczyć tym pytaniem.

I udało się. Dominik wyprostował się w fotelu. Ponownie spaśnowiał, a tik zdominował rysy jego twarzy.

– Skąd! – wykrzyknął rozpaczliwie. – Pani oszalała? Po co miałbym to robić?! Z powodu tego głupiego pierścionka?! Aż tak cenny nie jest, żeby dla niego zabijać! I to niby kogo, ją? Byliśmy bardzo blisko z Sylwią. – Odetchnął głęboko, powoli się uspokajał. – Jak w rodzinie. Z matką przyjaźniły się chyba od studiów. Papużki nierozłączki. Kiedy byłem mały, mówiłem do niej „ciociu”. Uwielbiała mnie, zresztą z wzajemnością. Traktowała jak drugiego syna, bo Patryk, jej pierworodny, się na nią wypiął. Dla mnie też była jakby drugą matką. Cieszyła się, że może mnie osobiście wprowadzić do zarządu firmy. Jak matka syna. Jak w tej sytuacji mógłbym chcieć jej śmierci, to czysty absurd!

Dałam Grecie znak, że kończymy, i wstałam.

– Spokojnie, szanowny panie dyrektorze – uśmiechnęłam się. – Przecież my o nic pana nie oskarżamy, tylko pytamy.

– A policja...

– Za nią nie mogę się wypowiadać. Nie wiem zresztą. Ale – przypomniałam sobie kultową od pewnego czasu formułkę – jeśli jest pan niewinny, to nie ma pan się czego bać. Niech pan woła tego anioła stróża, żeby nas odprowadził. Do widzenia.

– I co sądzisz? – zapytała Greta, gdy wsiadłyśmy do samochodu. – On to zrobił? Mnie się wydaje śliski.

– Ma talent aktorski, trzeba mu to przyznać. Świetnie gra. Jeszcze nie wiem, czy to on. Ale przypadkiem powiedział coś, co nie daje mi spokoju. Coś się nie zgadza...

– Co takiego? – Greta przekreśliła kluczyk w stacyjce. – Przyłapałaś go na czymś? No mów!

Pokręciłam głową i zapaliłam papierosa.

– Jeszcze nie teraz. Później ci powiem, jak będę pewna. Najpierw muszę to sobie ułożyć w głowie.

– Gdybym cię nie znała, przyłożyłabym ci teraz – westchnęła. – Ale przez te lata nauczyłaś mnie cierpliwości. Więc co robimy dalej? – Spojrzała na zegarek. – Chyba powinnam wracać do pracy.

– Wracajmy. Wyszadzisz mnie po drodze, mam coś jeszcze do załatwienia.

– Przestań się wygłupiać!

– Spokojnie, kobieto. – Zamrugałam niewinnie. – Od razu wygłupiać! Po prostu muszę zrobić sobie zakupy.

Oczywiście skłamałam, ale tylko dlatego, żeby jej nie narażać. Tę ostatnią rundę powinnam rozegrać sama. Wiedziałam, że zrobię to, teraz się już nie cofnę, nie potrafię, nigdy nie potrafiłam. Kiedy coś zaczynam, muszę doprowadzić do końca, inaczej chybabym zwariowała. A byłam prawie pewna, że mam rację. PRAWIE – i właśnie dlatego miałam dylemat, czy zawiadamiać Artura. Normalnie bym to zrobiła i zaczęła spokojnie na ruch policji, jednak czułam, że nie potraktowałiby mnie poważnie. Tymczasem odliczanie już się zaczęło. Spóźniona reakcja mogła okazać się tragiczna w skutkach. Ktoś znowu mógł zginąć. Greta? Kaśka, bo tylko ona – po odzyskaniu pamięci – mogła być naocznym świadkiem. Jeszcze ktoś inny? Może nawet ja. Dlatego postanowiłam zagrać na swoich warunkach.

Nie przez przypadek jestem dziennikarką śledczą. Starej daty.

Gdy Greta wysadziła mnie w centrum Kryszewa, pomachałam jej i udałam, że idę w kierunku centrum handlowego. Dopiero jak zniknęła mi z oczu, skierowałam się na przystanek, skąd złapałam autobus do pobliskiej miejscowości w naszej gminie znajdującej się nad zalewem. Dotarcie tam zajęło mi około dwudziestu minut. Wysiadłam. Było tu pięknie, jak w Bieszczadach. Wyniosłe wzgórza, rzeczka, lasy... i jezioro. Sztuczne, lecz niezwykle malownicze. Otoczona zielenią tafla wody zdawała się niemal czarna. Wokół cisza i spokój. Nic dziwnego, że na zamieszkanie tutaj mogli sobie pozwolić jedynie najbogatsi. Uprzywilejowani.

Z jednej strony jeziora znajdowało się ogrodzone murem luksusowe osiedle domków jednorodzinnych. Po drugiej zaporą wodną, a za nią miejsce, do którego zmierzałam. Byłam już mniej więcej w połowie drogi, kiedy odezwał się telefon. Miałam cichą nadzieję, że to Artur. Jednak to nie był jego numer. Przysiadłam na murku i odebrałam. Dzwonił Zgorzel.

– Ja w sprawie tego logo – zakomunikował. – Zrobiłem małe rozeznanie i już wiem, kto zatrudnia ochroniarzy legitymujących się takim znakiem.

– Panie Marianie – przerwałam mu, zapalając papierosa. – Ja chyba też już się domyślam. Powiem panu, a pan potwierdzi albo zaprzeczy. Zgoda?

– Zgoda.

– Powiedziałam mu, nie zaprzeczyl.

– Właśnie tam idę – wyznałam.

– Pani Felicjo! Niech pani absolutnie tego nie robi! – Nagle przestał być opanowanym, chłodnym i cynicznym „ubekiem”. – Proszę się nie narażać. Proszę to zostawić glinom. Pani jest dziennikarka, pani rola już się skończyła. Z wariatami nie warto zaczynać, bo są zdolni do wszystkiego!

Byłam ślepa i głucha na argumenty.

– Liczę się z tym, będę ostrożna. Poradzę sobie, panie Marianie. Ale bardzo panu dziękuję za pomoc i troskę. – Rozłączyłam rozmowę i dopaliłam papierosa.

Mimo wszystko wysłałam Pałce esemesa. Zwykłego, z informacją, że działam i zadzwonię do niego później. „Namierzam mnie”, pomyślałam. Ruszyłam pobudzona adrenaliną. Do rezydencji przedzierałam się leśną ścieżką, żeby nikt mnie za wcześniej nie zobaczył na drodze, która wiodła wzdłuż jeziora.

Nacisnęłam dzwonek domofonu i czekałam. Nikt nie odebrał, ale nie miałam zamiaru rezygnować, postanowiłam dzwonić do skutku. Rozpoznałam samochód na podjeździe willi, czyli raczej dobrze wymierzyłam czas. Fart. Nadal nie było reakcji, jednak po jakimś czasie przy bramie pojawił się napompowany strażnik. Ochroniarz. Morda zakazana, nadęta. Zapytał, czego chcę. Przedstawiłam się.

– Muszę pilnie zobaczyć się z panią Alicją. Przed chwilą rozmawiałam z jej synem. Mam dla niej ważną informację – powiedziałaam zwięźle, żeby nie wdawać się w szczegóły i nie wymyślać za dużo.

Zmierzył mnie wzrokiem z pogardą, tak mi się przynajmniej wydawało. Mimo to zadzwonił gdzieś. Ściszonego głosem powiedział do słuchawki kilka słów i poczekał na odpowiedź. Gdy się odwrócił, zauważyłam na jego czarnej skórzanej kurtce emblemat z gryfem. Przeszły mnie ciarki. Za chwilę wrócił do bramy, wcisnął jakiś guzik i wpuścił mnie furtką do ogrodu, który piął się pod górę wypielegnowanym szpalerem kwitnących barwnie drzew i krzewów. Spomiędzy bujnej majowej zieleni wychylały się gdzieniegdzie białe torsy pseudoklasycznych marmurowych posągów.

– Jest pani sama czy może z ukrytym gdzieś w krzakach towarzystwem? Nie chcemy tu być kojarzeni z policją ani z prasą. Czy ktoś panią widział?

– Nie – odparłam z bijącym sercem.

– To dobrze. Moja pracodawczyni ma dla pani kilka minut. Zaprowadzę panią – dokończył oficjalnym tonem, po czym nagle zatrzymał się, nachylił do mojego ucha i dodał cicho: – A potem zabieraj pani dupę w troki i spierdalaj stąd w podskokach. Zanim ci ją odstrzele, tym razem skutecznie.

Nie odezwałam się, pomaszerowałam za nim. W zgodnym milczeniu podeszliśmy do ganku wspartego na klasycznych kolumnach. Ostentacyjnie zastukał ciężką mosiężną kołatką – w kształcie gryfa, a jakże! – chyba tylko po to, by dać komuś znak, że oto zbliża się persona non grata, bo gdy nacisnął rzeźbioną klamkę, drzwi były otwarte. Wpuścił mnie do mrocznego holu, lekko popychając, i wyszedł bez słowa, ponieważ w holu czekała już na mnie sztucznie uśmiechnięta Alicja Domagała. Miała na sobie doskonale wyprofilowane kremowe drewniaki na koturnach, granatowe dżinsy i długi beżowy kardigan, spod którego wystawał kołnierzyk błękitnej bluzki. Jej krótkie czarne włosy były modnie wymodelowane. Przy nodze warował wielki czarny doberman, patrząc mi w oczy z zimną obojętnością. Wiedziała, że z tą samą obojętnością gotów byłby mnie rozszarpać. Dokładnie tak, jak jego pani i jak wszyscy z jej środowiska.

– Pani Felicja Stefańska! – wykrzyknęła z nieukrywaną ironią. – Co za niespodzianka, jakże miło, że zdecydowała się pani odwiedzić mnie w domu, pani rzecznik. Witam, witam! Proszę śmiało, zapraszam na salony. Nie, nie, nie musi się go pani obawiać. – Wskazała na psa. – To dobry piesek. Prawda, Zawiszo, moje kochanie? – zagruchała czule do pupila, który nie zareagował.

– Dzień dobry. Nie przyszedłam z wizytą towarzyską – odparłam sucho, ale ona już się odwróciła i z psem u nogi poszła w głąb holu. Ruszyłam za nią, nie licząc, że usłyszała. Ona jednak zerknęła na mnie przez ramię.

– Nie? Czyli w jakim celu? Może chce pani przeprowadzić ze mną wywiad? – ironizowała, wprowadzając mnie do dużego, nowoczesnie urządzonego salonu. Nie umywał się do apartamentów Sylwii

Żelaznej, ale za to najbardziej reprezentacyjny pokój Pazików wyglądał przy nim jak barak. Choć przecież byli dość zamożni w porównaniu ze zwykłymi ludźmi, na przykład ze mną.

– Coś w tym rodzaju – potwierdziłam. Może to sobie nazywać wywiadem, skoro ją kręcą takie rzeczy. Zresztą niech określa, jak chce.

Zatrzymałam się w progu. Domagała zrobiła szeroki gest ręką, zapraszając mnie dalej. Na środku wielkiego pokoju, na wprost przeszklonej ściany wychodzącej na ogród, stał niski długi stół i kilka klubowych foteli.

– Kawy? A może drinka? – zaproponowała.

– Nie, dziękuję.

– Pani wybór. – Wzruszyła ramionami z szerokim uśmiechem. – W takim razie pozwoli pani, że ja się napiję.

Domagała nalewała sobie czegoś do szklanki z grubym dnem. „Pij, pij”, pomyślałam. „Im więcej wypijesz, tym lepiej dla mnie”.

Rozglądałam się po salonie i znalazłam coś ciekawego. W tym modernistycznym wnętrzu znajdowało się jednak coś o charakterze sentymentalnym: dwie pamiątkowe fotografie w ramkach. Stały na lustrzanej komódce, w której najwyraźniej mieścił się barek. Na pierwszej kolorowy portret Dominika z lat szkolnych, od razu go poznałam, niewiele się zmienił. Drugie zdjęcie było fotografią ślubną. Czarno-białe, studyjne: przejęta rolę panna młoda w koronkowym welonie to Domagała, bez dwóch zdań. Obok niej duży tęgi blondyn o pyzaty, dobrodusznym obliczu. Co tylko potwierdziło moje domysły...

Oderwałam wzrok od zdjęć, bo w tym momencie biznesmenka wróciła z pełną szklanką w dłoni.

– Usiądźmy! – Zrobiła to pierwsza, więc zajęłam fotel naprzeciwko niej. Na wprost była przeszklona ściana, w której przeglądała się zielen. Blisko mnie przysiadł doberman, sennie (być może z pozoru) obserwując każdy mój ruch. – W takim razie przejdźmy do konkretów – kontynuowała. – Czym mogę służyć? Mój czas jest cenny, niestety nigdy nie mam go za wiele.

Wprowadziłam ją w temat i pokazałam zdjęcia, jednocześnie obserwując mimikę. Była teraz wyrażnie spięta i chyba zła. Przestała się uśmiechać, nie odzywała się, popijała drinka małymi łykami. Również pies jakby odzyskał czujność, choć nie ruszył się z miejsca.

– Pani syn zasugerował, że sygnet osobiście otrzymał od Aleksandra Żelaznego pani mąż jakiś czas przed jego śmiercią – powiedziałam. – Prawdopodobnie w depozyt. Czy pani to potwierdza?

– Owszem. – Znowu wzruszyła ramionami. – Tak właśnie było.

– Ile czasu przed morderstwem? Kilka dni? Tygodni?

– Czy pani się zdaje, że ja to wszystko tak ze szczegółami pamiętam?! – Uniosła się. – Przecież chodzi o wydarzenia sprzed trzydziestu lat!

– Proszę jednak spróbować sobie przypomnieć.

Wstała i dołąła sobie alkoholu.

– Może dni, może tygodni – odparła niechętnie, krążąc ze szklanką po pokoju, a pies wodził za nią wzrokiem. – Raczej dni. Chyba około tygodnia. Może dłużej. Przynajmniej tak mi się wydaje, ale mogę się mylić.

– Rozumiem. I potem sygnet został u pani?

– Tak. – Ponownie usiadła, trochę uspokojona. – Aleksander nie żył, a kiedy mąż ode mnie odszedł, nie wzięł go ze sobą. Może nie pamiętał, a może uznał, że nie wypada, nie wiem. Więc został u mnie, praktycznie zapomniany, aż do dziś. Tylko raz syn się wygłupił, mam wyrzuty sumienia, bo biedna Sylwia musiała to przeżyć... Trzymam go w swoim sejfie, w gabinecie. Chce pani zobaczyć?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo nagle zerwała się i szybkim krokiem przeszła pod łukiem do sąsiedniego pomieszczenia. Po chwili wróciła i położyła przede mną na stole duży złoty pierścień, który znałam ze zdjęć. Na wszelki wypadek wolałam go nie dotykać.

– Jest bardzo ładny – zauważyłam. – I chyba cenny?

– Tak, sporo waży. Dobrej jakości kruszec. Został wykonany na zamówienie, Żelazny był z niego dumny. Ma wygrawerowaną pieczęć – dodała obojętnie.

– Dlaczego w takim razie dał go pani byłemu mężowi?

– Nie mam pojęcia! Raczej mu nie dał, tylko zostawił na przechowanie. Może miał jakieś kłopoty i nie chciał stracić tego sygnetu z uwagi na pieczęć albo go pożyczył mojemu mężowi. Teraz już się nie dowiemy. Obaj nie żyją. Mój eks odszedł kilka lat temu na zawal. Za dużo interesów.

Oparłam się wygodniej o zagłówek fotela.

– Czy to nie dziwne – zaczęłam ostrożnie – że ten pierścionek jest powiązany z dwoma zabójstwami, może nawet trzema? Jakby przynosił pecha. Przeklęty przedmiot. Nie sądzi pani?

– Jak to z dwoma zabójstwami?

– Najpierw odegrał rolę w zabójstwie Żelaznego, a teraz pani Żelaznej...  
– Co pani sugeruje?! Że ktoś morduje ludzi dla tego świecidełka? Przecież to bzdura! Może i jest dość cenny, ale bez przesady. I że niby kto? Mój ciapowaty syn?! – Parsknęła śmiechem, jednak jej oczy zdradzały silne emocje.

Nabrałam powietrza, kątem oka zerkając na psa. Siedział bez ruchu, jak posąg z hebanu.

– Sugeruję, że państwo to jednak zrobili. Prawdopodobnie wspólnie zamordowaliście Sylwię Żelazną. Nie, nie dla pierścienia. Ale widzi pani, mój facet jest policjantem, a ja zajmuję się tym tematem jako reporterka śledcza. Tak się złożyło, że czytałam akta sprawy, a także inne materiały z nią związane. Obu spraw, również sprawy pana Żelaznego. I wiem, że w dniu swojej śmierci miał na palcu ten sygnet. Są świadkowie, którzy to potwierdzą. Nie pomyślała pani o tym. Każdy popełnia błędy, gdy zbyt konfabuluje. Już w opowieści pani syna coś mi się nie zgadzało. Miałam w pamięci ten fakt. Kłamie pani i pani syn także skłamał, świadomie lub nieświadomie. A Żelaznego zabiła pani? Osobiście? Czy może pani były mąż?

– Skoro nie dla sygnetu, to po co? – rzuciła Domagała.

– Pani mi to powie.

– Tak?

– Myślę, że tak. Zresztą nie tylko to. Przy okazji wyjaśni pani, kto i dlaczego zlecił swoim ochroniarzom pobicie mojej asystentki, a także napad na mnie. W tym pierwszym przypadku była to nieudana próba zabójstwa. Kolejna natomiast już się powiodła. Chodzi mi o wypadek śmiertelny sekretarki Dobrosławy Kalickiej, który został upozorowany. W czym zawiniła? Może tym, że znalazła się zbyt blisko pani syna? Nawiasem mówiąc, bardzo ładne to zdjęcie ślubne, a mąż całkiem przystojny...

– Serio? – uśmiechnęła się. – Tak pani uważa?

Wstała, wzięła ze stolika szklankę i podeszła do barku. Gdy się odwróciła, miała w ręku pistolet.

– Proszę się nie ruszać. Zawisza to co prawda dobry piesek, ale bywa nerwowy. Pieter! – zawołała.

Z pomieszczenia obok, tego za łukiem, pojawił się kolejny ponury osiłek w czarnej skórze. Nie mogłam tego stąd dostrzec, ale założyłabym się, że również miał na niej emblemat gryfa.

– Dołącz do chłopców i pilnujcie dobrze obejścia – rozkazała. – Ta pani nie może się stąd wydostać bez mojego pozwolenia.

– Ale...

– Czegoś nie zrozumiałeś?

– Nie potrzebuje pani pomocy?

– Jak będę potrzebować, to się o tym dowiesz. Na razie wystarczy mi Zawisza. Mam tu coś do wyjaśnienia z moim miłym gościem i nie chcę, żebyś podsłuchiwał. No już, zasuway do chłopaków! – Odwróciła się do mnie z uśmiechem. – A my się może dogadamy...

Nie myślałam się. Gdy ochroniarz się odwrócił, ujrzałam wyraźnie gryfa. Był czarny na srebrnym tle. Osiłek potulnie wyszedł bez słowa. Ciekawe, ilu ich tu jest. Znam trochę sztuki walki. Wprawdzie dawno temu ukończyłam kurs samoobrony dla kobiet. Nie trenuję od lat, lecz coś tam jeszcze pamiętam. Już kilka razy mi to pomogło. Gdyby tylko udało mi się obezwładnić te psychopatki, co wtedy?

Trchę mnie mdliło, lecz bałam się mniej, niż powinienam w mojej sytuacji, zapewne dlatego, że musiałam się na niej skupić. Sama w sobie nie wydawała się groźna. Gdyby tylko nie trzymała tej pukawki.

Poza tym działała adrenalina.

– Nie wyjdiesz stąd, słonko, nie kombinuj – ostrzegła mnie Domagała. – To ci nic nie da. Chyba że dojdziemy do porozumienia. Ty klepiesz biedę, ja jestem bogata. Czasem to dobry układ. Może cię zatrudnię, co? – Puściła do mnie oko.

– Nie stać pani na mnie.

– Nie mów hop, póki nie przeskoczysz – zaśmiała się. – Bo alternatywa jest taka, że na wieki pozostaniesz gościem w moim ogródku. Nikt cię tu nigdy nie znajdzie. Wiem już, że lazaś przez las, nasze kamery cię nie uchwyciły. A mam je zamontowane wzdłuż całej drogi. Nikt cię nie widział.

– Jest pani pewna? A może rozrabiłam dookoła, że się tu wybieram?

– Ha, ha, ha! No i co z tego? Ale nie doszłaś. Nagranie to potwierdzi.

– A przy bramie?

– Miej więcej zaufania do moich chłopców. Bo ja im ufam. Nie ma cię tutaj. Nigdy nie było. Jak myślisz, kto podważa moje słowa?

– Jakie to teatralne! – westchnęłam. – Pani jest szalona.

Skrzywiła się.

– Może i tak. Ale mogę być. Stać mnie, to nie przeszkadza w interesach. No, dobrze... – Udała, że się zastanawia. – Więc co chcesz wiedzieć, pani dziennikarko? Z przyjemnością sobie powspominam.

– Wszystko, od samego początku – odparłam ze spokojem, który kosztował mnie trochę wysiłku. Spróbowałam się odprężyć, spokój był mi teraz potrzebny niczym tlen. Nie dość, że nie spuszczało mnie z oka potężne psisko, to jeszcze wariatka przez cały czas trzymała mnie na muszce. – Naprawdę lubię słuchać wspomnień.

### ALICJA DOMAGAŁA (znotowane z pamięci)

Wszystko, mówisz... To nie takie proste, bo „wszystko” ma gdzieś swój początek, a w moim przypadku trudno go uchwycić. Ale powiedzmy, że „wszystko” zaczęło się w chwili, kiedy na pierwszym roku studiów poznałam Sylwię, jeszcze wtedy nie Żelazną. Przyjaźniłyśmy się, ale i rywalizowałyśmy ze sobą. Najpiękniejsze dziewczyny na wydziale! Byłyśmy zupełnie różne, lecz i w jakiś sposób podobne do siebie. Jak ogień i woda. Z tym że to ja byłam w tym duecie ogniem. Przeciwnieństwa: brunetka i blondynka, temperament i opanowanie, gorąca krew i zimny lód. Jedno miałyśmy wspólne: bezwzględność i szaloną ambicję. No i talent do interesów. Już w tamtym czasie było go widać. Rządziłyśmy na roku. Ech, złote czasy! Byłyśmy zresztą zdolnymi studentkami, nauka nie sprawiała nam kłopotów i nie musiałyśmy poświęcać jej za wiele uwagi. To były lata osiemdziesiąte, inna epoka. Ale to pewnie wiesz, boś też już nie pierwszej młodości, zdaje mi się. Nie było wtedy tylu możliwości, wymian, stypendiów, z jakich mogą korzystać obecni studenci. Za to miałyśmy czas na zabawę i flirty. Więc bawiłyśmy się, biegając z imprezy na imprezę. Na jednej z nich poznałyśmy się przypadkiem z Olkiem Żelaznym. Nie studiował z nami, przyszedł jako gość, ktoś go na pewno przyprowadził. Od razu zwróciłyśmy na niego uwagę. Prawdziwe ciacho! Przystojny chłopak, elegancki, no i błyskotliwy, zabawny, pewny siebie, a do tego świetnie tańczył. Już wtedy robił biznesy, znał różnych ludzi i zawsze miał na zbyciu towar, to znaczy trawkę, hasz. Obie natychmiast zagięłyśmy na niego parol, a on także lubił z nami przebywać. Nie mógł się zdecydować, którą z nas woli, więc kręcił z jedną i drugą. Na początku nam to wcale nie przeszkadzało, nawet opowiadałyśmy sobie nawzajem o naszych randkach z nim, o seksie, chichotałyśmy, jak to młode dziewczyny. Jednak z czasem zrobiło się poważniej, szczególnie Sylwia zaczęła tak to traktować. Chciała mieć Olka na własność. I w końcu dopięła swego. Przepraszał, tłumaczył mi się, że jako brunet woli blondynki. Ale tak naprawdę chodziło o to, że ona pochodziła z lepszej rodziny. Moja była biedna, wielodzietna, to ja się w niej jako pierwsza i jedyna wybiłam. Nie miałam do Olka żalu, do Sylwii też nie, a przynajmniej nie dopuszczałam do siebie takich emocji. W tym czasie poznałam mojego przyszłego męża, nie był może aż tak przystojny, ale też niczego sobie. Oni zaręczyli się, a krótko po studiach pobrali. Świadkowałam na ich ślubie, na weselu byłam królową parkietu. Z wyglądu tylko ja mogłam rywalizować z panną młodą. Tańczyłam z każdym, nie tylko z moim partnerem. Z Olkiem także, choć Sylwia go pilnowała. Ha! Ale i tak za słabo. Pijany Olek jeszcze przed nocą poślubną próbował się do mnie dobrnąć. Dostał w papę nie przez lojalność ani nie z zemsty. Po prostu nie chciałam kłopotów...

No dobra, przejdźmy dalej. Mimo wszystko nie przestałyśmy się przyjaźnić, tyle że teraz kumpłowałyśmy się już we czwórkę. Po jakimś czasie i ja się chajtnęłam, a Olek z Sylwią założyli firmę. Już wcześniej Olek zakładał różne działalności, dobrze mu z tym szło, mówiłam, że miał żylkę do interesów. Potem oni te biznesy połączyli i takie były podwaliny Budomaxu. Działo się to po upadku komuny. Nazwę zresztą wymyśliłyśmy razem, opijając powstanie firmy w ich gdańskim mieszkaniu. Było do przewidzenia, że zaproponują mi współpracę, no i tak się stało. Oboje z mężem zostaliśmy tam od samego początku zatrudnieni. Sami nie moglibyśmy o czymś takim nawet pomarzyć, Żelazni już wtedy byli przy nas bogaczami. Propozycja wyszła od Sylwii, ale Aleksander nie miał nic przeciwko, chyba był z tego zadowolony. Myślę, że dalej chciał mieć nas obie. Plus inne panienki na dokładkę, żeby stale potwierdzać swoją męskość. Potem już wspólnie rekrutowaliśmy pierwszy zespół. Firma rosła, zaczęliśmy budować siedzibę tutaj, w Kryszewie, bo to było wtedy najlepsze miejsce do inwestycji w okolicy. Zaczynały się lata dziewięćdziesiąte. Tak na marginesie dodam, że teraz wszyscy plują na tamte czasy, a dla mnie one były najlepsze! Epoka dla najlepszych, najsprytniejszych. Ale wróćmy do wątku. Co ja tu będę owijając w bawełnę: razem z firmą rósł też mój ognisty romans z Olkiem. Z tym, że z głupiego młodzieńczego flirtu zmienił się w coś całkiem na serio. Pikanterii dodawał mu fakt, że musieliśmy się starannie ukrywać. Mój mąż o niczym nie wiedział, przynajmniej wtedy. Natomiast Sylwia była dużo bystrzejsza od niego i chyba zaczęła się czegoś domyślać. Ale że sama nie była święta, to dopóki w niczym jej to nie zagrażało, dopóty miała to gdzieś. Doskonale wiedziała, że jej ukochany Olutek to pies na kobiety. Tolerowali nawzajem swoje skoki w bok, choć jednocześnie byli o siebie wręcz chorobliwie zazdrośni. Oboje. I to jak! Dziwni ludzie. Być może dlatego, że już mieli dwójkę dzieci. Przy dzieciach każdemu odbija. Jednak jestem pewna, że Sylwii bardziej niż na nim, a nawet bardziej niż na dzieciach, zależało na firmie. Kochała pieniądze, władzę i wpływ. Ponad wszystko.

Spotykaliśmy się z Olkiem w hotelach i motelach, ale najczęściej w budynku starej papierni, który w tamtym czasie kupił. Tak, tej samej papierni, z której korzystała bezpieka, niszcząc kompromitujące materiały i dowody zbrodni. Nie tylko własnych. Działali również na zlecenie, bo te palone akta często dotyczyły polityków i wyższego duchowieństwa, biskupów. A Kościół zaczynał właśnie rządzić z tylnego siedzenia, wszyscy zabiegali o jego akceptację. Nawet komuniści. Byli komuniści. Komitywa to była, a jakże! A dla nas wtedy dodatkowo dreszczący. Wyobrażasz sobie uprawiać ostry seks w miejscu owianym grozą? Może byś spróbowała? Jeśli przeżyjesz.

W każdym razie nasze wieczorne randki w papierni stały się zwyczajem, rytuałem, niemal każdy dzień tam kończyliśmy. Olek mógł ze spokojnym sumieniem twierdzić, że był w pracy – bo w sumie rzeczywiście był – a ja zakradałam się tam, pozostawiając samochód przy stacji kolejowej, by nikt nas razem nie namierzył. I tak aż do momentu, kiedy zaszłam w ciążę...

Jasne, że mogłam usunąć. W tamtych czasach aborcja na życzenie była legalna. Ale ja tego nie chciałam. Chciałam mieć dziecko. Z nim. Podejrzewam, że mój mąż był bezpłodny. Poza tym wtedy romans zaszedł tak daleko, że zaczęłam poważnie myśleć o naszym związku. Może nawet się w nim zakochałam. Widziałam siebie na miejscu Sylwii. Uwierz, nie byłabym od niej gorsza. Gdyby tylko on to zrozumiał, gdyby mnie nie odrzucił, gdyby od niej odszedł, gdyby... Pewnie żyłby do dziś, a ja byłabym panią Żelazną i drugim prezesem Budomaxu. Miałam do tego takie same prawo jak ona. A kompetencje może nawet wyższe. Już na studiach lepiej mi szło. Lecz on tego nie zrozumiał. Wściekł się, drwił, szydził ze mnie. Kazał mi „zaskarżać na zabieg w podskokach” i uznał że idiotkę, która nawet nie potrafi się zabezpieczyć. Nawet mnie nie chciał wysłuchać, oznajmił, że to już koniec, mam usunąć ciążę – on za to zapłaci – i odwalić się od niego, inaczej mój mąż się dowie, że jestem zwykłą dziwką. Powiedział mi jeszcze, że już dawno mu się znudziłam i ma nowe młodsze dupy... Dupy. Tak powiedział. Naprawdę. Podpisał tym samym na siebie wyrok. Nie mogłam pozwolić się w ten sposób gdtować. Rozumiesz, prawda?

Wynajęłam zbirów z półświatka, z którymi dobrze się znałam, bo w firmie to ja załatwiałam takie sprawy jak zatrudnianie ochroniarzy, kontakty z mafią czy pertrakcje z politykami. Wszelkie brudy to była moja działka. Doskonale znałam środowisko lokalnych gangusów, całe to kryminalne podziemie. O tym oczywiście nikt nie wiedział, z wyjątkiem Olka, ale widocznie nie wziął pod uwagę tego, że obróć te znajomości przeciwko niemu. Umówiłam się z nim po raz ostatni w papierni po oficjalnej imprezie biznesowej, w której uczestniczyliśmy. Zgodził się, myślał, że się dogadamy. Pojechałam do domu, wystawiłam go. Chłopy się spisali. Mieli niczego nie kraść, chciałam, żeby to wyglądało na porachunki gangsterskie. Dość im zapłaciłam, nie żałowałam. Zresztą z lewej kasy firmy, o ironio. Na dowód kazałam dostarczyć sobie jego sygnet. Tak znalazł się w moim posiadaniu. No to teraz już wiesz.

Wiedzieli, że gdyby sprawa wyszła na jaw, nie wybroniliby się. Nieważne, że byli tylko kilerami, płatnymi zabójcami. I tak poszliby odsiedzieć dożywocie. Wtedy nawet istniała formalnie kara śmierci. Wprawdzie jej nie wykonywano, ale w tym kraju nigdy nie można było mieć pewności. Tajemnica nas połączyła zмовą milczenia. Dlatego milczeli i nadal milczą, o ile jeszcze żyją, bo w ich światku żywot jest krótki. Zresztą sprawa została szybko wyciszona: nikomu chyba nie zależało na wyjaśnianiu „gangsterskich porachunków”, a wyżsi rangą policjanci i prokuratorzy też się bali, że przy okazji wypłynie coś na nich. Dziennikarze, czyli ludzie z twojego środowiska, nie byli lepsi. Wśród tej ferajny trzymającej władzę nie było niewinnych. Jedna zgnilizna.

Urodziłam syna, potem rozwiodłam się z mężem, choć on się wcale nie domyślał, że to nie jego dziecko. Dominik zachował jego nazwisko, ja wróciłam do panińskiego. Nikt niczego nie podejrzewał, nawet Sylwia, chociaż... ale to później, dojdę jeszcze do tego. Dominik jest podobny do swojego biologicznego ojca, kiedy ten był w jego wieku. Ma rysy twarzy Olka, lecz charakter raczej mój. Jednak jak się kogoś zna od urodzenia, to się takich rzeczy nie dostrzega. Dopiero ta kretynka Kalicka, moja dawna sekretarka, a później Dominika, jakimś cudem zauważyła to podobieństwo. I na dokładkę tę cholerną pieczętkę, którą mój głupiutki synek się pochwalił. Tego nie przewidziałam. To piekielne babsko znało nas od lat, od samego początku, więc kojarzyło. Ale mogła przecież siedzieć cicho. Prawda? Nie wytrzymała. Sama dokonała wyboru i na co jej to było? Złe skończyła. Teraz ty jesteś nazbyt dociekliwa.

Dobrze. Po kolei. Dalej wiesz. Sprawa przyschła, upływ czasu ostatecznie ją pogrzebała. Firma się rozrosła, stała się potężna. Muszę przyznać, że Sylwia świetnie sobie z nią poradziła, choć wciąż borykała się z oskarżeniami o mężobójstwo, a potem jeszcze o śmierć córki. Co akurat było absurdem. Nie bronię jej, to nie była dobra kobieta, zasłużyła na swój los, ale własnego dziecka by nie zabiła. Nie była kompletną dewiantką. Jestem tego pewna, na tyle ją znam.

Pomogłam jej w rozkręceniu firmy, a nasza przyjaźń jeszcze się zacieśniła. We trójkę z moim synem stanowiliśmy prawie rodzinę, bo ja się już dawno od swojej odciąłam, a jej została tylko ta siostra, szara mysz, z którą nigdy nie miały wspólnego języka. Sylwia uwielbiała Dominika, była jego matką

chrześną. Widziała w nim swojego następcę, zwłaszcza kiedy Patryk się od niej odwrócił. Nie mógł darować matce utraty ojca – jest przekonany o jej winie – a ona jemu preferencji seksualnych. Wbrew pozorom była ortodoksyjna, konserwatywna, a nawet na swój sposób religijna. Nie, to nie było na pokaz, przynajmniej nie wyłącznie. Tyle tylko, że traktowała te kwestie dość wybiórczo. Za to aż do przesady, jeśli dotyczyły innych ludzi, byle nie jej. Ona była ponad. W pewnym sensie to hipokryzja, wiem. Uśmiechasz się. Zabawne? Może...

Minęły lata, które pominię, bo nie mają znaczenia dla sprawy. I w ten sposób dochodzimy do wspólnych wydarzeń. Wszystko się skomplikowało. Nagle, jakby bez powodu. Już od pewnego czasu obserwowałam w Sylwii jakąś rezerwę. Zaczęła mnie inaczej traktować, odsuwała się, unikała kontaktów, rozmów, zwierzeń. Czasem dziwnie na mnie patrzyła, ukradkiem. Zadawała dziwne pytania, robiła różne aluzje. Nie miałam pojęcia, że od paru lat prowadziła swoje prywatne „śledztwo” w sprawie zabójstwa Olka. Wyznała mi to dopiero przed swoją śmiercią. Że zdobyła albo znalazła materiały, które mnie obciążają. I że od dawna mnie podejrzewała, a teraz już niby miała pewność. Chciała mnie zniszczyć, zemścić się.

To na szczęście nie przeniosło się na Dominika. Wprowadziła go do zarządu i oddała część udziałów, tak jak obiecała. Ale po tym już w ogóle nie chciała ze mną rozmawiać. Nadal nie wiedziałam, o co chodzi, myślałam, że się o coś obraziła. Obrazalska zawsze była, to fakt. Dopiero kiedy Dominik przyznał mi się do tej historii z sygnetem, spanikowałam. Jezu, mało i jego wtedy nie zabiłam! Oczywiście żartuję. Przecież dla niego to wszystko. Syn jest całym moim życiem. Moją dumą. Wiem, że mógłby osiągnąć to, o czym sama marzyłam: zostać bossem całej korporacji. Dlatego przygotowałam się, wtajemniczyłam moich chłopców i umówiłam się z nią u niej w domu na rozmowę. Zgodziła się, bo chciała mnie szantażować. Przede wszystkim tym, że odbierze Dominikowi stanowisko, usunie go z zarządu, wszystko upubliczni. Że nas zniszczy. Wyrzygała mi to tamtego wieczoru. Pokazała te zdjęcia, wydruki, a także materiały, które gdzieś znalazła, w jakiejś starej teczce, nie wiem gdzie, powiedziała, że u siebie na strychu. Były to liściki, które wymienialiśmy z Olkiem, w tamtych czasach nie pisało się eśemesów, tylko listy i kartki. Jego telefon komórkowy, wielki grzmot z anteną, nawet nie miał takiej funkcji. Bardzo uważaliśmy, żeby się nie afiszować, nie rozmawiać prywatnie przez telefon, nie przypuszczałam, że on te listy zachowuje. Inaczej się umawialiśmy, ja wszystko paliłam, choć z żalem, bo niektóre były słodkie. A on je trzymał, cóż, zapewne jako dowód, przecież nie z sentymentu. Zawsze był przebiegły. Wśród nich była również odrębna notatka: przez niego oboje zapisana data i godzina naszego ostatniego spotkania, obok moje inicjały i dopisek: „załatwić ginekologa i ZAKOŃCZYĆ TO”!

Bydlak.

Ona też podpisała na siebie wyrok. Kiedy się tam miotła, nie zdzierżyłam, chwyciłam świecznik i gdy się odwróciła, walnęłam nim w jej głowę. Prawdopodobnie od razu wyzionęła ducha, to był silny cios. Moi chłopcy dokończyli robotę, a potem pozacierali ślady, zrobili teatrzyk, a raczej może scenografię, żeby wyglądało na „wyrok”, przeszukali chatupę, zabrali, co się dało, oczywiście w pierwszej kolejności te liściki. Spaliłam je później u siebie w kominku. Nie pomyśleli o drugim telefonie, ale to dlatego, że Sylwia ukryła go głęboko pomiędzy książkami, a miała ich mnóstwo, głównie dla szpanu. Dopiero policja znalazła. Chłopcy wyczyścili tylko służbowy. Pomyślałam jednak, że nikt i tak nie wpadnie, co te fotki znaczą, nie znając kontekstu. Wyglądają jak zwykłe pamiątkowe zdjęcia z telefonu. I tak się stało. Dopiero twoja młoda podrzędniczka załapała, dlatego musieliśmy ją wyeliminować. Nie do końca wyszło, ale przynajmniej straciła pamięć. Jeśli jej wróci, niech lepiej milczy. Inaczej zginie. Jak Kalicka. Albo jak ty, o ile nie przyjmiesz mojej oferty. Jesteś zdolna i uparta, przydałabyś mi się. A, no właśnie, jeszcze ta napaść z bronią na ciebie. Nie miałaś wtedy zginąć. Jeszcze nie byliśmy pewni, ile wiesz. Chciałam cię tylko postraszyć. Lecz co ma wisieć, nie utonie.

Jeszcze szybko o tej sekretarce. Ona lubiła późno wracać z pracy, a to był luty, ciemno, ślisko. Miała w rękę swoją torbę oraz ciężką siatkę z zakupami, które zrobiła po drodze w marketce otwartym do późna. Schody strome, ośnieżone, oblodzone, spółdzielnia nie zadbała. Wystarczyło tylko lekko popchnąć. Pewnie prędzej czy później i tak by z nich spadła.

Z twoją asystentką wyszło gorzej, bo młoda i bronila się, a na dodatek ktoś się zbliżał, jacyś przechodnie i spłoszyli moich ludzi. Dlatego przeżyła. Cieszę się ze względu na ciebie.

Jak widzisz, jednak się myliłaś. Mój Dominik nie miał z tym nic wspólnego. O niczym nie wiedział. Nie mogłam mu powiedzieć, bo on uwielbiał Sylwię. Podejrzewam, że nawet trochę się w niej od czasów chłopięcych podkochiwał. Coś jak kompleks Edypa. Teraz, kiedy wyjdzie na jaw, że jest synem Żelaznego, będzie mógł ubiegać się o spadek. Myślę, że to byłoby sprawiedliwe.

Tak więc mój syn jest niewinny. Niezorientowany. Wie tyle, ile mu powiedziałam. Od brudnej roboty mam swoich chłopaków. Dwóch już poznałaś. Musisz wiedzieć, że to nie są zwykli ochroniarze, jakich

*miała na przykład Sylwia. Moi są ze mną bardzo związani i absolutnie wierni. Tworzymy razem pewną grupę... nieformalną. Spod znaku sprawiedliwego gryfa. Możesz ją nazwać, jak chcesz: gangiem albo sektą. Ja ją nazywam stowarzyszeniem, czasem bractwem. Wiążą nas wspólne idee i sekrety. No i czyny. Jeśli tylko zechcesz, możesz zostać jego członkinią.*

Wysłuchałam tego ze zgrozą, ale i w pewien sposób zafascynowana chorymi wynurzeniami psychopatki, jej pokrętnym myśleniem i niezrozumieniem ludzkich uczuć. Z kimś podobnym jeszcze nie miałam do czynienia. A przy pierwszym spotkaniu wydawała się sympatyczna!

Musiłam jednak grać na zwłokę i udawać Greka, nie okazując przy niej śladu szoku. Przez cały ten czas, siedząc naprzeciwko mnie, bawiła się swoją „procą”, ale to akurat drobiazg – gorszy był jej pies: czujny i napięty, zapewne gotów mnie zaatakować przy bodaj najmniejszym poruszeniu.

– Dziękuję za ofertę – odparłam w końcu. – Ale raczej jej nie przyjmę. Z natury jestem aspołeczna. Nigdy nie należałam do żadnych grup, formalnych czy nieformalnych. Nawet do harcerstwa albo do Kościoła.

– Ja bym na twoim miejscu dobrze się zastanowiła. Może do tej pory nie odkryłaś „swojej” grupy?

Pokiwałam głową.

– Oczywiście, zastanowię się – obiecałam. – Ale ciekawi mnie, dlaczego właśnie gryf?

– Nie ruszaj się! – zawołała, gdy poprawiłam się na siedzeniu. – Dlatego gryf, że od dziecka lubię tę postać. Odkąd przeczytałam o nim w jakiejś legendzie. To była smutna bajeczka o pięknym dzielnym gryfie broniącym tego, co kochał, i mszczącym się na swoich wrogach. Potem sporo o nim czytałam. O tym, że budził strach, że od dawna był patronem ukrytych skarbów, zemsty i sprawiedliwości. Czyli tego, co i dla mnie było ważne. Tak więc kiedy zakładałam moje bractwo, bez wahania uczyniłam go jego symbolem – uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Czyli symbol siły i bogactwa...

– Dokładnie.

– To prawda, że pasuje idealnie – zauważyłam z przekąsem, którego chyba nie odczytała, bo przytaknęła z zapalem.

– No więc jak... – zaczęła, ale urwała, bo z zewnątrz dobiegły odgłosy zdradzające jakieś poruszenie: zduszone okrzyki, trzaski, następnie tupot butów, coraz bliżej, już wewnątrz domu.

Obie byłyśmy równie zdezorientowane, gdy do salonu wtargnęli ludzie w policyjnych mundurach, było ich kilku.

– Nie ruszać się! – krzyknął jeden z nich, podczas gdy wszyscy mierzyli z broni do gospodyni. – Ręce nad głową! Rzuć broń!

Domagała zastygła, ścisnąc w rękę swoją pukawkę i nie przestając mierzyć do mnie. Muszę przyznać, że w tym momencie nieomal podziwiałam jej zimną krew. Na równe łapy zerwał się natomiast doberman, ale jego pani krzyknęła ostro: „Wróć! Na miejsce!” i pies od razu posłuchał. Znieruchomiał.

Tymczasem zza swoich pleców usłyszałam znajome głosy:

– Felicja?! – zawołał Pałka, podbiegając do mnie.

I prawie równocześnie:

– Felka! – Głos Ryby.

– Proszę się odsunąć, komisarzu! – rzuciła ostrym tonem Domagała. – Na bok. Bo zastrzelę albo ją, albo pana. Nie żartuję. A potem możecie sobie zrobić ze mną, co chcecie. Gdzie moi chłopcy?

– Bezpieczni. Siedzą grzecznie w bransoletkach, zapuszkowani w naszym wozie – odpowiedział jej złośliwie Ryba.

Nawet nie zwróciła na niego uwagi.

– Odsuń się, komisarzu – powtórzyła.

Palczyński jednak stał twardo, zasłaniając mnie własnym ciałem.

– Spokojnie. Lepiej oddaj mi tego gnata, kobieto. – Wyciągnął do niej rękę, a ona w tym momencie w desperacji nacisnęła spust.

Również w tym samym momencie zerwałam się z dzikim wrzaskiem i z całej siły pchnęłam Artura. Walczyłabym do upadłego. Miałam tylko jedno w głowie: straciłam pierwszą miłość, nie uratowałam Sebastiana. Tym razem tak nie będzie...

Przewróciliśmy się oboje na podłogę. Pistolecik wypalił, lecz chybiła, a pocisk trafił w ścianę. Może zresztą nie chybiła, mierzyła dobrze, tylko nas już nie było na linii strzału. Domagała prawdopodobnie też doznała szoku, gdyż broń wypadła jej z dłoni. Wtedy funkcjonariusze rzucili się na nią i obezwładnili.

– Zawisza, Zawisza! – krzyknęła, jednak pies się nie poruszył. Otrzymał wcześniej od niej komendę i zrozumiał, że ma siedzieć. Biedny psiak, ale głupi. Nie to co Bury, on nie zna komend, za to myśli samodzielnie. Wreszcie któryś z funkcjonariuszy zarzucił na psa siatkę obezwładniającą i wystrzelił



zastrzyk usypiający. Nie był to przyjemny widok, bo biedak się szarpał, lecz szybko nareszcie zasnął. Obudzi się za kilka godzin. Miałam nadzieję, że wtedy już Dominik się nim zajmie.

Pałka wstał, podnosząc przy okazji i mnie. Następnie przekazał moją kłopotliwą osobę pod opiekę Ryby, a sam podszedł do gliniarzy trzymających szarpiącą się Domagałę. Nałożył jej kajdanki. Zanim to zrobił, usiłowała napluć mu w twarz.

– Koniec przedstawienia. Zabrać ją – polecił. – Niech jak najszybciej dołączy do swoich podwładnych.

Przed domem kręciło się jeszcze kilku funkcjonariuszy, zabezpieczali ślady. Na drodze przed bramą stały też wozy policyjne i kilku gapiów. Tacy – nie wiadomo skąd – zawsze się znajdują.

– Jak mnie tu znaleźliście? – zapytałam Palczyńskiego, który nie wypuszczał mnie z objęć, jednocześnie kontrolując wzrokiem sytuację. – Namierzylście telefon?

– Jego zapytaj. – Wskazał brodą Rybę. – Hej, Zygmus! Słyszałeś? Felicja pyta, skąd my się tutaj wzięliśmy!

Ryba, który mówił coś do mundurowych, zbliżył się, wzruszając ramionami, lecz na twarzy miał trochę niepewny uśmiech.

– Możesz podziękować swojemu ubekowi – oznajmił. – To on zadzwonił na komisariat i powiedział, dokąd się wybierasz. I o tych ochroniarzach z gryfem. Podobno usiłował powstrzymać cię przez telefon, ale się rozłączyłaś. Od razu dałem znać komisarzowi, który zaczął natychmiast organizować akcję, a ja dla pewności podjechałem pod twoje biuro. Zobaczyłem, że kamper stoi na podjeździe przed domem, ale ciebie nigdzie nie było, a Bury na przemian przeraźliwie piszczał i szczekał. Był niespokojny, czuł, że zagraża ci niebezpieczeństwo, i... jakby mnie poganiał. Wróciłem na komisariat i chwilę zaczekałem na resztę ekipy. Na szczęście zdążyliśmy. A ty znowu narozrabiałaś – dodał bez przygany, może bardziej z rezygnacją.

Nie skomentowałam.

– Można tu zapalić? – zapytałam. – Bo mnie emocje zabijają.

– Można – odparł Pałka. – Sam chętnie się sztachnę.

Wyjęłam papierosy, ale znowu rozproszyły mnie jakieś krzyki. Przy bramie ktoś wyklócał się z pilnującym jej funkcjonariuszem. Podeszłam tam, gdyż z daleka rozpoznałam awanturującego się osobnika.

– To syn właścicielki – wyjaśniłam. – On tutaj mieszka.

– Co tu się dzieje?! Co z moją matką?! – wrzasnęła Kozieł.

– Spokojnie, panie dyrektorze, pani Alicja żyje. Na szczęście nikogo więcej nie udało jej się zabić.

– Co?! O co tu chodzi?! Kogo zabić?! Moja matka? Chcę tam wejść, chcę wejść do mojego domu!

– Proszę zaczekać – odezwał się mundurowy. – Zaraz ktoś się panem zajmie. Już idzie pan komisarz...

W chwili gdy Pałka podszedł do bramy, przypadkowo rzuciłam okiem na ulicę. I zdębiałam. Poza gromadką podekscytowanej „widowni”, kilka metrów dalej, stał przy samochodzie siwy facet. Był to Zgorzel. Z całą pewnością. Pomachałam do niego, chciałam mu podziękować za pomoc i wsparcie. Odmachał mi z porozumiewawczym uśmiechem, wsiadł do auta i odjechał.

Bez słowa.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem i wreszcie zapaliłam papierosa.

## EPILOG

– Nigdy bym nie przypuszczała! – Greta wciąż nie mogła uwierzyć. – Powiem szczerze, że nawet ją lubiłam, chyba jako jedyną w tym środowisku ufoludków... czy jak ty to określasz: androidów.

– Dobrze się maskowała. Nigdy nie powinno się oceniać ludzi po pozorach – odparła Felicja, obserwując dryfujące na tafli wody dzikie kaczkę. – Alicja Domagała to ewidentna socjopatka. Tacy ludzie są inteligentni, potrafią udawać. Dla mnie to też szok. I nie chodzi mi tylko o winę Domagały, ale przede wszystkim o to, że czego innego spodziewałam się po tej sprawie. Zwiodło mnie środowisko. Byłam pewna, że za tymi zabójstwami kryją się grube pieniądze, jakieś przekręty, korupcja, polityka, interesy, a tu patrz... zemsta zranionej kobiety! Miała rację nasza Justynka od Ryby, że to uczucia są najpotężniejszą siłą sprawczą. Uczucia, emocje, zwłaszcza te negatywne.

Siedziały na ławce nad jeziorem. Wcześniej wypili kawę na przystani, potem – zachęczone piękną majową pogodą – udały się na spacer wzdłuż brzegu jeziora.

– No ale zemsta i zranione uczucia to chyba tylko w przypadku Aleksandra? – zauważyła Greta. – A co z zabójstwem Sylwii Żelaznej po trzydziestu latach? Albo tej nieszczęsnej sekretarki? To już nie uczucia, to wyrachowanie!

– Strach. To też potężne uczucie. Gdyby się wydało, mogła wszystko stracić. Reputację, szacunek, dobre imię. Zresztą straci. Ale to nie wszystko. Zwróć też uwagę, że jeszcze nie upłynął termin przedawnienia, chodzi mi oczywiście o sprawę Żelaznego. Minie dopiero jesienią, a był luty. Ona doskonale wiedziała, że to ostatni dzwonek, żeby skazać winnych. Udało się.

– No tak, masz rację. No i ten Zgorzel. Uratował cię... Ale tego, że poszłaś tam sama, nie daruję ci! Dlaczego mi nie powiedziałaś, nie ufasz mi?

– Nie chciałam cię narażać. Domyśliłam się wszystkiego po naszej rozmowie z jej synem. Wiedziałam, że to niebezpieczna kobieta. A ty musisz żyć, masz ważną misję do wypełnienia!

– Co? Misję?

– No. Przecież masz kiedyś wystartować w wyborach prezydenckich. Ogólnokrajowych!

Greta Pazik wybuchła śmiechem.

– No dobra, rozbroiłaś mnie. A wiesz, że nasza Kaśka wychodzi z sanatorium w ten weekend?

– Tak, słyszałam od Artura. Wreszcie! Zrobimy imprezę powitalną. A nie orientujesz się, czy odyskała już pamięć?

– Nie do końca. Ale to powolny proces. Szybko nie wróci do pracy, jeszcze długo będzie na zwolnieniu, więc musisz ciągnąć gazetę sama. – Greta wystawiła twarz do słońca.

– Poradzę sobie. – Felicja machnęła ręką. – To akurat żaden problem. Ale dobrze, że o tym wspomniałaś, bo...

– Co? – Pazikowa usiadła prosto zaniepokojona. – Tylko mi nie mów, że znowu chcesz od nas uciekać!

– Spokojnie, opalaj się dalej. Nie to miałam na myśli. Tylko chciałam uprzedzić, że będę się ubiegać o dwumiesięczny urlop latem, w lipcu i w sierpniu.

– To da się zrobić, możesz wziąć drugi miesiąc bezpłatnego. A co planujesz?

– Wyprawę kamperem w świat! – Felicja uśmiechnęła się radośnie. – Dostałam już oficjalnie zlecenie od tej samej amerykańskiej gazety, co ostatnio. Mam kontynuować mój przewodnik po basenie Morza Śródziemnego. Poza tym pociąga mnie to...

– Ty jednak jesteś wariatką. Nie rozumiem, co w tym takiego pociągającego!

– Nie wiem. Tęsknię za podróżowaniem. Za życiem w kamperze. Za jazdą przed siebie, za wolnością. Nie umiem ci tego wytłumaczyć, skoro tego nie czujesz.

– Jedziesz z Arturem?

Felicja zapatrzyła się na jezioro, na wierzby przeglądające się jego tafli, na refleksy światła. Lekka bryza znad wody przyniosła żywiczny zapach sosnowego lasu z przeciwnego brzegu, ale coś jeszcze... intensywną woń tataraku.

– Nie, tylko z Buryem – odparła po chwili. – Dobrze mi z Arturem, ale on należy do innego świata, do mojego życia tutaj. Rozumiesz?

– Chcesz od siebie odpocząć? – Przyjaciółka chyba nie zrozumiała.

„Trudno, nikt normalny by tego nie zrozumiał”, pomyślała dziennikarka.

– Nie o to chodzi – wyjaśniła. – Podróżowanie kamperem jest tylko moje. Dla Sebastiana, dla jego pamięci. On o czymś takim marzył. Mieliśmy wyruszyć w podróż poślubną autem po Europie. Nie

dożył jej! Ale ja żyję i robię to za nas oboje. Myślę, że z Arturem znajdziemy sobie inny wspólny zwyczaj. Podobno lubi żeglować. Może mnie tego kiedyś nauczysz. Ale to już inna bajka.

– I nadal się nie boisz? Samotna wyprawa? Teraz? Kiedy sytuacja taka niepewna? Przecież trwa wojna, może jeszcze nie światowa, ale angażująca przynajmniej całą Europę. I do tego nieprzewidywalna. Nie wiadomo, kiedy to się skończy, co z tego wyniknie! Wątpię, żeby coś się wyjaśniło do wakacji – westchnęła Pazikowa.

Stefańska zrobiła smartfonem kilka zdjęć ptakom na wodzie. Przydadzą się na portal. Dopiero potem odpowiedziała Grecie:

– Już o tym kiedyś rozmawialiśmy, Gretko. O tym, że zawsze trwa jakaś wojna. Taka czy inna. Światowa albo lokalna. Mała czy duża. Jawna lub ukryta. Religijna, domowa, obronna, podjazdowa. A najczęściej toczy się wiele wojen jednocześnie. W różnych krajach, w miastach, mieszkaniach, na ulicach, w korporacjach. Wszędzie, zawsze. O wielu z nich nigdy się nie dowiemy, ewentualnie poznamy ofiary. I tak będzie zawsze, bo taka jest ludzkość i natura ludzka.

– I nie przeraża cię na przykład groźba konfliktu nuklearnego?

– A ciebie przeraża? Be sensu. Jeśli ludzie są tak głupi, by do tego dopuścić, to znaczy, że na to zasługują. Że powinniśmy zniknąć jako gatunek. Żadna strata! – Felicja uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– Nie możemy się wszystkiego bać, co ma być, to będzie. Choć wolę wierzyć, że przetrwamy.

KONIEC